

Martha Grimes (ur. 1931) -

amerykańska autorka bestsellerowych

kryminałów. Studiowała

na uniwersytecie w Maryland,

pracowała jako nauczycielka. Obecnie

mieszka w Waszyngtonie i Santa Fe;

często odwiedza Anglię.

Zadebiutowała w 1981 roku

powieścią Pod Huncwotem (W.A.B.

2008), pierwszą z cyklu o Richardzie

Jurym. Kolejne tytuły to Pod

Przechytrzonym Lisem (W.A.B. 2008),

Pod Anodynowym Naszyjnikiem (W.A.B.

2009) i Pod Zawianym Kaczorem.

Nakładem Wydawnictwa W.A.B.

ukazała się także trylogia kryminalna

z Emmą Graham: Hotel Paradise

(2006), Stacja Cold Fiat Junction (2007)

•

oraz Hotel Belle Rouen (2007).

MARTHA GRIMES

POD ZAWIANYM KACZOREM

Gianríco Carofiglio

Mariusz Czubaj Ryszard Ćwirlej Martha Grimes

Arnaldur IndriSason Jean-Claude Izzo

Tomasz Konatkowski

Marek Krajewski

Marek Krajewski, Mari

Jens Lapidus Henning Mankell

Aleksandra Marinina

Zygmunt Miłoszewski Denise Mina

3

OC Z

Heinrich Steinfest Joanna Szymczyk

Świadek mimo woli Z zamkniętymi oczami Ponad wszelką wątpliwość 21:3 7

Ręczna robota

Hotel Paradise

Stacja Co/c/ Fiat Junction

Hotel Belle Rouen

Pod Huncwotem

Pod Przechytrzonego Lisem

Pod Anodynowym Naszyjnikiem

W bagnie

Grobowa cisza

Total Cheops

Szurmo

So/ea

Przystanek Śmierć Wilcza wyspa Nie ma takiego miasta Widma w mieście Breslau Festung Breslau  
Dżuma w Breslau Głowa Minotaura usz Czubaj Aleja samobójców Róże cmentarne Szybki cash Morderca  
bez twarzy Psy z Rygi Biała lwica

Mężczyzna, który się uśmiechał

Falszywy trop

Piąta kobieta

O krok

Zapora

Chińczyk

Kolacja z zabójcą

Gra na cudzym boisku

Ukradziony sen

Złowroga pętla

Śmierć i trochę miłości

Męskie gry

Zabójca mimo woli

Płatki giną pierwsze

Uwikłanie

Pole krwi

Martwa godzina

Subtelny nos Lili Steinbeck

Ewa i złoty kot

N U

o' oc z

MARTHA GRIMES

POD ZAWIANYM KACZOREM

PRZEŁOŻYŁA ANNA JARZĘBOWSKA

Świadek mimo woli Z zamkniętymi oczami Ponad wszelką wątpliwość 21:37

Ręczna robota Hotel Paradise Stacja Co/d Fiat Junction Hotel Belle Rouen Pod Huncwotem Pod  
Przechytrzone Lisem Pod Anodynowym Naszyjnikiem W bagnie Grobowa cisza Total Cheops Szurmo  
Solea

Przystanek Śmierć Wilcza wyspa Nie ma takiego miasta Widma w mieście Breslau Festung Breslau  
Dżuma w Breslau Głowa Minotaura Marek Krajewski, Mariusz Czuba

Aleja samobójców Róże cementarne Szybki cash Morderca bez twarzy Psy z Rygi Biała Iwica

Gianrico Carofiglio

Mariusz Czubaj Ryszard Ćwirlej Martha Grimes

Arnaldur Indriáason

Jean-Claude Izzo

Tomasz Konatkowski

Marek Krajewski

Jens Lapidus Henning Mankell

Aleksandra Marinina

Zygmunt Mitozewski Denise Mina

Heinrich Steinfest Joanna Szymczyk

Mężczyzna, który się uśmiechał Fałszywy trop Pięta kobieta O krok  
Zapora Chińczyk Kolacja z zabójcą Gra na cudzym boisku Ukradzony sen Złowroga pętla Śmierć i trochę  
miłości Męskie gry Zabójca mimo woli Płatki giną pierwsze Uwikłanie Pole krwi Martwa godzina Subtelny  
nos Lilii Steinbeck Ewa i złoty kot

MARTHA GRIMES

POD ZAWIANYM KACZOREM

PRZEŁOŻYŁA

ANNA JARZĘBOWSKA

Tytuł oryginału: The Dirty Duck Copyright © 1984 Martha Grimes. All rights reserved. Copyright © for  
the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010 Copyright © for the Polish translation by  
Wydawnictwo W.A.B., 2010 Wydanie I Warszawa 2010

Niech tę książkę przyjmą Katherine i J. Mezzanine

Poświęcam ją także pamięci George'a Rolanda 1930-1983

Stratford

Nie kochał ten, co w pierwszym nie kochał spojrzeniu.

William Szekspir, Jak wam się podoba, akt III, scena 5 (przełożył Leon Ulrich)

1

Przez drzwi Królewskiego Teatru Szekspirowskiego wylała się po raz kolejny fala publiczności - prosto w strugi paskudnego deszczu, który jak zwykle znał co do minuty czas zakończenia spektaklu. Dziś grano Jak wam się podoba, więc na twarzach widzów malował się charakterystyczny wyraz zagubienia, świadczący o tym, że nie bardzo wiedzą, gdzie są, bo dzięki jakiejś magicznej przemianie poprzez otaczające ciemności i mżawkę wciąż prześwieca bukoliczna zwiewność i beztroska Ardeńskie-go Lasu.

Wkrótce też wszyscy rozeszli się krętymi uliczkami i poznikali - a to w zaparkowanych samochodach, a to w pobliskich pubach. Światła wokół teatru pogasły, a wraz z nimi z powierzchni rzeki zniknęła jasna poświata. Pomyślałby kto, że mechanik teatralny, przekręcając wyłącznik po przedstawieniu, sprawił, że wszystko naokoło także pogrążyło się w ciemności.

Pub „Pod Czarnym Łabędziem” - czy też, w zależności od punktu widzenia danego klienta, „Pod Zawianym Kaczorem” - miał wyjątkowo dogodne położenie. Znaj-

dował się bowiem naprzeciw bocznego wejścia do teatru. Jego podwójny szyld (z łabędziem w locie po jednej stronie i pijanym kaczorem po drugiej) powodował nieraz, że ludzie nieznanymi miastami, którzy umówili się na spotkanie pod jednym ptakiem, natrafiwszy na drugiego, czuli się całkiem dezorientowani.

Dzisiaj, pięć minut po zapadnięciu kurtyny, pub wypełniali spragnieni goście robiący wszystko, by przed jego zamknięciem zdążyć się zalać w pestkę. Ten tłum z wewnętrznego pomieszczenia wylewał się teraz na ogrodzony murkiem zewnętrzny taras, nad którym w nocnym powietrzu wisiała przypominająca dawny londyński smog mgła papierosowego dymu. Było lato, sam szczyt turystycznego sezonu i naokoło dało się słyszeć przeważnie amerykański akcent.

Jedną z amerykańskich turystek raczących się trunkami „Pod Kaczorem” była panna Gwendolyn Bracegirdle z Sarasoty na Florydzie - osoba, która dotychczas, jeżeli w ogóle coś pijała, to najwyżej odrobinę słodkiego sherry. I czyniła to, siedząc na werandzie swojego ogromnego domu o otynkowanych na różowo ścianach. W tej chwili natomiast, stojąc z kimś drugim w pogrążonym w mroku rogu tarasu, doprawiała się na całego.

- Och nie, kotku, dosyć! To przecież już druga szklaneczka. A... jak to się nazywa?

- Dżin - padło ze śmiechem w odpowiedzi.

- Dżin! - Gwendolyn zachichotała. - Naprawdę już nie mogę!

Jednak gest, którym podsunęła szklanę, świadczył, że mogła.

- Po prostu powiedz sobie, że to jest takie bardzo wytrawne martini.

Gdy ten ktoś wziął od niej szklanę, by ją ponownie napełnić, panna Bracegirdle zachichotała znowu, bo przecież dla niej, a kto wie, czy nie dla całej ludzkości, przejście od słodkiego sherry do martini bywa naprawdę wielkim krokiem.

Uśmiechając się z roztargnieniem, rozejrzała się po tarasie. Spoglądała na innych gości, ale nikt nie odwzajemnił jej uśmiechu. Gwendolyn Bracegirdle nie była bowiem kimś, kto zapadał innym ludziom w pamięć w równym stopniu, jak oni zapadali w jej własną. „Jeżeli już się na czymś znam - powiedziała do towarzyszącej jej osoby - to na ludzkich twarzach”. Sama natomiast była kobietą, której się nie zapamiętywało - niską, korpulentną i wyondulowaną. A dzisiaj jedyną rzeczą, która ją wyróżniała spośród tłumu, było to, że wystrofiła się przesadnie w naszywane koralikami brokaty.

Jej wzrok padł na starszą, kościstą damę o zażawionych oczach, której ponure spojrzenie przywiodło jej na myśl własną matkę. Skutek był taki, że natychmiast trochę wytrzeźwiała. Mamuśka Bracegirdle bowiem nie była zwolenniczką napojów wysokowych, z wyjątkiem tych oczywiście, które sama w celach leczniczych, ze względu na szeroki wachlarz nekających ją chorób, pochłaniała w dużych ilościach. W tej chwili, pomyślała Gwendolyn, biorąc pod uwagę pięciogodzinną różnicę czasu, mamunia najprawdopodobniej wachluje się zawzięcie, siedząc na werandzie Różowego Horroru. „Różowy Horror” to było określenie, które nasuwało się jej teraz, po pewnym okresie przebywania o trzy tysiące mil od domu i oglądania autentycznych pól i strzech.

- Nie mam pojęcia - powiedziała, kiedy kolejny wręczony z przyjaznym uśmiechem zimny drink znalazł się w jej dłoni - jak teraz znajdę drogę do mojego pokoju.

A był to pokój dość obskurny, znajdujący się na najwyższym piętrze w tylnej części domu - pomieszczenie z łóżkiem, w którym materac miał mnóstwo wybojów, oraz umywalką z oddzielnymi kranami z gorącą i zimną wodą. A także łazienką - ale w drugim końcu korytarza. Gwendolyn Bracegirdle mogła sobie pozwolić na coś znacznie lepszego, wybrała jednak pensjonat Diamond Hill, bo mieszkanie w pokoju ze śniadaniem wydało jej się tak bardzo angielskie i tak różne od luksusu na amerykańską modłę, który oferowano w Hiltonie, gdzie zakwaterowała się reszta uczestników jej wycieczki. Gwendolyn, która święcie wierzyła w prawdziwość porzekadła „Kiedy wszedłeś między wrony...”, nie miała ochoty jak w Stanach wylegiwać się w eleganckim apartamencie, wzywając co chwila obsługę hotelową.

- Naprawdę nie mam pojęcia, czy zdołam tam dojść o własnych siłach - powiedziała znowu z nieśmiałym uśmiechem.

- Ja cię odprowadzę - padła obietnica, w chwili gdy młoda barmanka ogłosiła, że pub już się zamyka.  
- Wypijmy jeszcze po jednym.

- Jeszcze po jednym? Ale ja... No, zresztą dobrze, skoro nalegasz...

Kiedy została na chwilę sama, przejrzała się pospiesznie w kieszonkowym lusterku. Przeciągnęła małym palcem wokół ust uszminekowanymi pomadką w kolorze kwiatu passiflory. A potem, patrząc na blade wargi i pozbawione różu twarze wielu obecnych tutaj kobiet, które wśród ciemności i dymu majaczyły niczym duchy, pomyślała, że z tym kolorem to chyba przesadziła.

- Ojej - zawołała, wachlując się dłonią, kiedy czwarta kolejka dżinu pojawiła się przed nią na stole. - Te puby są takie okropnie zatłoczone. 1 jest tu chyba większy upał niż w Sarasocie. Do Stanów przyjeżdża teraz tylu Anglików. Ale chyba raczej wolą Miami, choć tak naprawdę najpiękniej jest na Zachodnim Wybrzeżu... A ta dzisiejsza sztuka... czy nie jest cudowna? I czy nie cudownie byłoby żyć sobie w Lesie Ardeńskim i przez cały dzień się obijać? Nie rozumiem, dlaczego ten... jak on się nazywałby! taki strasznie smutny...

- Jakub...

- Mhm. Przypomina mi kogoś z Sarasoty. To znaczy ten aktor jest do tego człowieka podobny. Moja mama zawsze mówi: „Gwennie, to niesamowite, jak ty pamiętasz twarze”. Twierdzi też, że potrafię w nich czytać jak niewidomy.

W rzeczywistości jej matka nigdy niczego takiego nie twierdziła. Zresztą nigdy nie usłyszała od niej niczego miłego na swój temat. Zapewne właśnie z tego powodu ją samą, Gwendolyn, nękał pewien kompleks. Poczula teraz, że palą ją policzki, więc szybko zmieniła temat.

- Szkoda - powiedziała - że cię nie spotkałam, zanim rozpoczęło się przedstawienie, bo obok mnie aż do przerwy było wolne miejsce. Potem dopiero usiadł tam jakiś chłopak. A z balkonu dobrze było widać?  
- W odpowiedzi dostrzegła tylko kiwnięcie głową, a barmanka po raz drugi ogłosiła, że czas zamykać. Gwendolyn westchnęła: - Szkoda, że oni te puby zamykają tak wcześnie. No, bo zaledwie człowiek się rozkręci, już musi wychodzić... Czy nie byłoby miło przejechać się teraz samochodem?

Wypowiedziawszy te słowa, przypomniała sobie starego cadillaca, którego jej matka przez cały czas trzymała w garażu i wyprowadzała tylko z okazji ślubów i pogrzebów. Gwendolyn nazywała go Żelazną Dziewicą i kojarzył jej się z mamuszką odzianą nieodmiennie w czarne albo szare wdzianko z materiału o metalicznym połysku, patrzącą szarymi oczami o cętkowanych tęczęwkach i układającą swe siwe włosy z tyłu w przypominający dekiel koczek.

- Możemy pójść jeszcze na spacer. Lubię chodzić nad rzekę.

- Świetnie - odrzekła Gwendolyn.

Dopiła drinka, prawie krztusząc się cierpkim dżinem, który mamuska uważała za przepustkę do piekła, i wzięła wyszywaną koralikami torebkę. W swoich niebieskich brokatkach czuła się nadmiernie



wystrojona. No, ale kiedy człowiek ma się stroić, jeżeli nie wtedy, gdy wybiera się do Teatru Szekspirowskiego w Stratfordzie? Chociaż z drugiej strony, niektórzy z tu obecnych, pomyślała, wychodząc, nawet na koronację króla czy królowej ubraliby się w dzinsy.

„Zawiany Kaczor” opustoszał w ten tak charakterystyczny dla pubów, niemal magiczny sposób. Kiedy angielski pub się zamyka, to na amen. Jego właścicielowi wyrasta pięć dodatkowych rąk do zbierania pustych szklanek ze stołów, a goście dopijają drinki tak, jakby ten ostatni łyk, ta ostatnia kropla były jedyną rzeczą, która może ich uratować od śmierci.

W chwili przekraczania jezdni światła w pubie już przygasły. Pogrążona w mroku ścieżka prowadziła wokół centrum estampażu\* w stronę kościoła. Ich niespiesznemu spacerowi towarzyszyła rozmowa o dopiero co obejrzanej sztuce.

Za kościołem Świętej Trójcy nastąpił przystanek.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - spytała Gwendolyn, mając nadzieję, że zna przyczynę.

Próbowała stłumić rosnące wewnątrz ciała podniecenie. Ono jednak pojawiło się tak jak wcześniej nienawiść na myśl o matce. Rozstrajało ją i było czymś, czego nie rozumiała i czego się bardzo wstydziła. Ale w końcu, powiedziała sobie w pewnym momencie, w dzisiejszych czasach nie ma nic złego w tym do kogo żywi się takie uczucia. Zdała też sobie sprawę, że wstyd stanowi nieodłączną część podniecenia. Twarz jej płonęła. Wszystko to wina matki, myślała dalej, gdyby przez wszystkie te lata nie trzymała mnie jak pod kluczem...

Tok jej myśli został przerwany.

- Przepraszam - usłyszała - ale wiesz, te wszystkie drinki... Tu są toalety.

Niewielki budynek, z którego w ciągu dnia korzystali turyści, teraz stał ciemny jak nieoświetlona ścieżka, która do niego prowadziła. Gwendolyn szła w tamtą stronę, a jej podniecenie rosło.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ oczywiście, że nie - zachichotała Gwendolyn. - Ale zaraz... Tutaj jest jakaś kartka... Awaria.

Estampaż - technika kopiowania na papier tablic upamiętniających w kościołach (zwykle na posadzce), datowana na wieki XII-XVI (przyp. tłum.).

Gwendolyn Bracegirdle była w swoim życiu najbliższa doświadczenia tego, co Szekspir nazywał „baraszkowaniem po ciemku”\*, kiedy pewnego razu musiała usunąć rękę jakiegoś nachalnego mężczyzny ze swego kolana. A poza tym już od bardzo dawna zdawała sobie sprawę, że nie ma za grosz seksapilu.

Dlatego trzeba się odnieść z prawdziwym uznaniem do faktu, że gdy wepchnięta lekko do publicznej toalety poczuła na ramionach czyjeś ręce, których dotyk sprowadził na nią jakieś ogólne rozluźnienie - tak jakby nagle spadły z niej brokaty, stanik i halka - to zamiast bronić się przed tą zniewagą, powiedziała

sobie w duchu: „Do diabła z tym, mamusiu! Za chwilę mnie tu ktoś zniewoli, a ja mam zamiar oddać się rozkoszy!”

Zaraz potem dziwne łaskotanie w okolicy piersi sprawiło, że omal nie zachichotała, myśląc: „Co za kretyn- stwo... Piórko...”.

Ale to nie było piórko. To była brzytwa.

Król Lir, akt III, scena 4, przeł. Józef Paszkowski; William Szekspir, Dzieła dramatyczne, PIW, Warszawa 1964, s. 262 (przyp. tłum.).

2

Od różowawych murów teatru ku kościołowi Świętej Trójcy, pośród wierzb i potoków światła, toczyła swoje wody rzeka Avon. Kaczki przycupnęły uśpione wśród sitowia, a jakby wyjęte z sennego marzenia łąbędzie dryfowały z prądem.

W taki poranek i w takim miejscu z pewnością nikt by się nie zdziwił, spotkawszy Rozalindę czytającą przyspione do drzew wiersze albo Jakuba pogrążonego w melancholii nad brzegiem\*.

Ktoś mógłby także wziąć damę i dżentelmena spacerujących między teatrem a starym kościołem za postacie, które ze stron Szekspira zstąpiły w ten sielski pejzaż z rzeką, żeby nakarmić łąbędzie.

Całość stanowiła wręcz arkadyjską idyllę, pełną zadumy i sennych marzeń...

Jednak nie do końca.

Rozalinda i Jakub - postacie z komedii Jak wam się podoba Williama Szekspira (przyp. tłum.).

- Oddałeś moją ostatnią babeczkę łąbędziom, Mel-rose - powiedziała dama niebędąca wcale Rozalindą, wtykając nos do białej papierowej torebki.

- Była nieświeża - odrzekł dżentelmen, który, choć pełen melancholii, nie był jednak Jakubem, tylko Mel-rose'em Plantem. Właśnie się zastanawiał, czy rzeka w tym miejscu jest na tyle głęboka, by można się było w niej utopić. A zresztą, pomyślał zaraz, po co ja sobie tym problemem zawracam głowę? Przecież za pięć minut i tak umrę z nudów.

- Ale ja odłożyłam sobie te babeczki na drugie śniadanie - powiedziała lady Agatha Ardry opryskliwym tonem.

Melrose popatrzył na srebrzyste wody Avonu i westchnął. Cóż za sielski obrazek. Brakuje tu tylko pasterki czy młodej dziewczyny dojącej krowy Tak, pasterka o fiołkowych oczach bardzo by się tu przydała. Myśli Melrose'a, niby okruchy chleba unoszone prądem rzeki, popłynęły w kierunku Littlebourne, gdzie mieszkała Polly Praed. Nie mógł sobie jednak wyobrazić Polly pasającej bydło ani dźwigającej wiadro pełne mleka.

- Przedpołudniową kawę wypijemy wszyscy w herbaciarni „Pod Pajęczyną”. Spodziewam się, że

zsiądziesz ze swojego wysokiego konia i przyłączysz się do nas - powiedziała lady Agatha tonem pełnym wyrzutu.

- Nie, ciociu - zaprzeczył Melrose Plant. - Zamierzałem właśnie zjeść drugie śniadanie, siedząc na swoim wysokim koniu.

- Oj, Plant, ty to naprawdę potrafisz się wywyższać. Czy nie za wiele w tobie egocentryzmu?

- Jeżeli chodzi o wywyższanie się i egocentryzm, to nie ma ich w moim postępowaniu ani odrobiny. Ale podkreślam, nie mam zamiaru pić przedpołudniowej kawy w herbaciarni „Pod Pajęczyną”.

- Przecież ich nawet jeszcze nie poznałeś.

- W rzeczy samej.

Ci oni, o których mówiła lady Agatha, byli amerykańskimi kuzynami - z Milwaukee w stanie Wisconsin - których Melrose, jak dotąd, widział tylko z pewnej odległości. I nie miał wcale ochoty tej odległości zmniejszać, mimo nalegań ciotki. Zamieszkał sam, w malutkim, ale uroczym hoteliku Falstaff, położonym przy głównej ulicy, zmuszając tym samym Agathę i amerykańskich kuzynów do tego, by zatrzymali się w innym miejscu, bardziej nastawionym na bogatą klientelę. Kuzynów owych i pociotków, przybyłych jednym z autokarów turystycznych, widział wcześniej przed pompatycznym, naśladowującym styl Tudorów budynkiem hotelu Hathaway. Tarasowali wtedy cały chodnik. A przed paroma tygodniami, w Ardry End, Agatha, machając mu przez nos listem z Ameryki, twierdziła uparcie, że on, Plant, musi ich koniecznie poznać.

- To nasi kuzyni. Biggetowie, z rodziny Randolpha.

- Zapewniam cię, ciociu, że moimi kuzynami oni nie są - rzekł zza porannej gazety.

- Ależ są. Dzięki małżeństwu, drogi Plancie - upierała się, tonem osoby odczuwającej satysfakcję z tego, że udało jej się rozmówcy wytknąć pomyłkę.

- Ale nie mojemu. Tylko stryja Roberta. A on już nie żyje.

- Przestań stawać okoniem, Plancie.

- Nie staję żadnym okoniem. To nie ja wżeniłem się w Biggetów.

- Nie chcesz się spotkać z własnymi krewnymi?

- Jestem im mniej niż synowcem i zdecydowanie mniej niż synem, że sparafrazuję Hamleta<sup>1</sup>. Sądzę też, że gdyby Klaudiusz nosił nazwisko Bigget, młody książę nie miałby tak wielkich trudności z pozbawieniem go życia podczas modlitwy.

- No cóż - powiedziała Agatha, lustrując wzrokiem wszystko to, co stało na blacie stolika na kółkach - wobec tego góra będzie musiała przyjść do Mahometa.

Zabrzmiało to złowrogo. Melrose odłożył gazetę.

- Co masz na myśli?

- Jedynie to - odrzekła, pozbawiając babeczkę z różowym lukrem bibułkowego przydzwiewku - że jeżeli ty nie możesz pojechać tam, będę musiała zaprosić Biggetów tutaj. No cóż, wizyta w wiejskiej posiadłości... to z pewnością by im się spodobało.

Tutaj? Melrose natychmiast rozpoznał szantaż. Jednak nie dał nic po sobie poznać.

- Masz w swoim domku tylko dwa pokoje - powiedział. - Spodziewam się jednak, że mogłabyś ich zakwaterować w pokojach gościnnych w miejscowym pubie. Dick Scroggs zawsze nimi dysponuje. Zwłaszcza od czasu tego morderstwa sprzed trzech lat.

Melrose zamilkł i wypełnił kilka kolejnych wolnych krutek krzyżówki.

- Twoje poczucie humoru jest naprawdę makabryczne. I wiesz, mając tak duży dom, mógłbyś okazać się trochę bardziej gościnny.

Melrose milczał nadal.

" William Szekspir, Hamlet, akt I, scena 2, przeł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1968, s. 38 (przyp. tłum.).

- No cóż, skoro nie chcesz wziąć kuzynów pod swój dach - odezwała się po chwili Agatha - mógłbyś ich chociaż zaprosić na podwieczorek z bułeczkami z dżemem i bitą śmietaną.

- Moim zdaniem nie powinni jeść takich rzeczy, bo i bez tego są na pewno wystarczająco otyli.

Melrose w dolnej linijce oznaczonej literą L wpisał słowo „prostak”.

- Otyli? Skąd wiesz? Przecież nie widziałeś ich na oczy!

- Sądząc po tym, co mi o nich mówisz, muszą tacy być.

Melrose uważał, że Stratford w lipcu to miejsce, do którego się nie jeździ, i w normalnych okolicznościach nikt by go tam nie zaciągnął nawet siłą. Jednak telefon, który przed dwoma dniami dostał od Richarda Jury'ego, sprawił, że zmienił zdanie. Long Piddleton od Stratfordu dzieliła niewielka odległość, więc Jury, który miał się tam znaleźć w związku z rutynowymi policyjnymi sprawami, zasugerował, żeby Plant, gdyby nie miał akurat jakichś ważniejszych zajęć, podjechał samochodem.

I Plant wyruszył w podróż, mając na siedzeniu pasażera dyrygującą nim Agathę, która na podołku trzymała mocno wiklinowy kosz z wiktuałami.

Kochany stary Stratford - powiedziała teraz, rozpościerając ramiona gestem osoby pragnącej przygarnąć do siebie całe miasto.

Melrose odprowadzał ją wzrokiem, gdy przechodziła przez jezdnię, zmierzając do herbaciarni „Pod

Pajęczyną", by wraz z kuzynami w półmroku sali o belkowanym suficie i nierównych podłogach wypić przedpołudniową kawę. Lokale tego rodzaju podobały się turystom tym bardziej, im mniej było w nich światła i im bardziej rozchwiane były w nich stoliki. Agatha podzielała tego rodzaju gusta, choć trzeba powiedzieć, że dla niej stan stolika okazywał się zawsze mniej istotny niż stan patery z ciastkami. Melrose zdawał sobie sprawę, że nie pozbyłby się jej, gdyby wiedziała, że jest umówiony na kolację z Richardem Jurym.

Agatha bowiem nie tylko nie dopuściłaby do tego, żeby ominęło ją spotkanie z nadinspektorem, ale także nie przepuściłaby posiłku, za który nie musiałaby płacić.

Stratfordzki kościół Świętej Trójcy, w którym znajdował się grób Szekspira, stał przy końcu lipowej alei. Melrose wszedł właśnie do środka z zamiarem obejrzenia prezbiterium, a ciężkie wrota zamknęły się za nim cicho - podkreślając tym obecność ducha genialnego poety i ignorując fakt, że grupka pielgrzymów skupionych przy stoisku z pamiątkami wykupuje właśnie wszystko, co zostało opatrzone jego wizerunkiem: zakładki do książek, kółka do kluczy, notesiki. W samym kościele natomiast nie było nikogo oprócz starszego człowieka pilnującego puszek na datki stojącej przy końcu nawy. Melrose wydobył dziesięciopensówkę, dzięki której miał nabyć prawo spojrzenia na miejsce wiecznego spoczynku geniusza. Jak w wesołym miasteczku, gdzie trzeba płacić za wstęp na karuzelę, pomyślał i poczuł lekki powiew makabry. Jednak stróż grobu Szekspira miał najwyraźniej całkiem inne odczucia, bo uśmiechając się szeroko, uniósł czerwoną, obciągniętą aksamitem linę.

William Szekspir z pewnością był człowiekiem, którego cechował gust najdoskonalszy z doskonałych. Zasługiwał bez wątpienia na rzeźbę nagrobną z marmuru, z małym pieskiem u stóp, i na sarkofag umieszczony w oddzielnej, udekorowanej aksamitami kaplicy. Tymczasem oczom Melrose'a ukazała się jedynie niewielka tablica z brązu, na której wyryto jego nazwisko - pośród wielu innych nazwisk pogrzebanych obok członków rodziny. Widząc ten brak ostentacyjności, poczuł przyptyw niezwykłego, niemal religijnego szacunku dla tak wielkiego, a równocześnie tak skromnego człowieka.

Zanim opuścił nawę kościoła, obejrzał jeszcze chór oraz niezwykle, przypominające maskarony twarze wyrzeźbione na poręczach krzesel. Cofając się o krok, poczuł, że jego noga napotyka jakąś przeszkodę. Okazała się nią tylna część ciała mężczyzny pochylającego się nisko między ławkami.

- Och, przepraszam - powiedział ów młody człowiek, prostując się i poprawiając przewieszony przez ramię pasek przytrzymujący sporej wielkości prostokątny neseser.

Melrose w pierwszej chwili pomyślał, że - choć metalowy - musi zawierać jakiś wyszukany sprzęt fotograficzny. A może to licznik Geigera? - zastanowił się następnie. Czy ten facet szuka tu jakichś materiałów radioaktywnych?

- Czy pan coś zgubił? - zapytał uprzejmie.

- O nie. Po prostu zaglądam pod siedzenia. - Drewniane ławki wyglądały na nieużywane, choć nie wszystkie ich siedziska zostały ustawione w pozycji pionowej. -

Przyglądam się rzeźbom. Są nawet pod spodem - wyjaśnił.

- Ma pan na myśli misericordie\*?

- Tak się nazywają? Zabawne. Po co je w ogóle tam umieszczono?

- Nie mam pojęcia.

Melrose uznał, że mężczyzna dobiega czterdziestki, więc nie jest aż tak młody, jak mu się z początku wydawało. Złudzenie to wywołał fakt, że jego jakby wyszorowana szczotką o twardym włosiu twarz miała bardzo młodzieńczy wygląd. Mężczyzna był dość wysoki, ciemnowłosy i w swoim wymiętym płóciennym garniturze w paski oraz okropnej muszce w kropki robił wrażenie całkiem przeciętnego. Poprawił sobie kołnierzyk jak ktoś, kogo dusi krawat. Mówił z akcentem amerykańskim albo kanadyjskim - Melrose nigdy ich nie potrafił odróżnić, ale pomyślał, że jest to raczej akcent mieszkańca Stanów Zjednoczonych.

- Pan jest stąd? - zapytał nieznajomy, idąc za Melrose'em wzdłuż nawy i mijając człowieka strzegącego czerwonego aksamitnego sznura.

- Nie. Jestem przyjezdny.

- Aha. To tak jak ja.

Jego ton sugerował, że na ogromnej połaci ziemi jałowej, jaką był gród Szekspira, znalazł sobie wreszcie towarzysza.

- Ten kościół jest kapitalny, nie uważa pan?

- No tak - przyznał Melrose. - Rzeczywiście, kapitalny.

Misericordie - wsporniki znajdujące się pod podnoszonymi siedzeniami w niektórych stallach, służące za podparcie stojącym przy chóralnej modlitwie, rozpowszechnione w XI w. (przyp. tłum.).

Amerikanin przystanął wśród krzesel oraz poduszek przeznaczonych na klęczniki i bezceremonialnie podał Melrose'owi łudząco podobną do szpachli prawicę.

- Jestem Harvey L. Schoenberg z Dystryktu.

- A ja jestem Melrose Plant.

Melrose uściśnął podaną sobie dłoń.

- Skąd?

- Z Northamptonshire. To hrabstwo położone o jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt mil stąd.

- Nigdy tam nie byłem.

- Jak większość odwiedzających Stratford. Nie ma tam nic specjalnie interesującego poza dość ładnymi wioskami rozsianymi w dość ładnej okolicy.

- Wie pan... - powiedział Harvey Schoenberg, pchając ramieniem ciężkie kościelne wrota - ...tylko proszę nie krytykować - dodał zaraz, tak jakby Melrose zamierzał zdyskredytować jego ojczyznę. - Bardzo bym chciał, żeby w Dystrykcie było w lipcu tak jak tutaj.

- A gdzie jest ten Dystrykt? - zapytał zaintrygowany Melrose.

Schoenberg roześmiał się.

- No przecież to Waszyngton, Dystrykt Kolumbii.

- A, wasza stolica.

- No właśnie. Stolica naszych dobrych starych Stanów. Ale klimat tam jest cholerny.

Melrose ruszył przed siebie z postanowieniem, że pójdzie nad rzekę, a Schoenberg poszedł w jego ślady.

- Kto to jest Lucy? - zagadnął, idąc obok niego.

- A o kogo panu chodzi?

- No o tę Lucy. - Schoenberg wskazał chodnik pod nogami. U ich stóp, wryta w kamieniu, widniała inskrypcja. - Ta Lucy to była jakaś przyjaciółka Szekspira?

- Wydaje mi się, że Lucy to nazwisko. Nazwisko całej rodziny, której członkowie są gdzieś tutaj pochowani - odrzekł Melrose, wskazując końcem laski ze srebrną gałką ziemię pod lipami.

- Dziwne. Więc chodzimy po grobach?

- Yyy... Wie pan, chciałem się przejść nad rzekę. Miło było poznać...

- Nad rzekę? To świetnie.

Schoenberg poprawił na ramieniu pasek od metalowego nesesera i nadal szedł obok Melrose'a - teraz po trawie. Przypominał zagubionego psa, którego ktoś w parku pogłaskał po głowie i który nie ma zamiaru tak łatwo tego kogoś opuścić.

- Staram się zauważyć różne rzeczy - powiedział, wkładając do ust gumę do żucia - bo zbieram materiały do książki.

Byłoby rzeczą niegodną dżentelmena, pomyślał Melrose, nie zapytać o charakter tego dzieła. Zapytał więc.

- To ma być książka o Szekspirze - odpowiedział mu Schoenberg, żując i mlaskając.

Boże miłosierny, westchnął w duchu Melrose, dlaczego ten Amerykanin o młodzieńczej twarzy chce się zapuszczać na tak niebezpieczne wody?

- Na temat Szekspira, proszę pana, napisano całe morze książek. Nie boi się pan utonąć?

- Proszę mi mówić Harve. Utonąć w morzu książek? O nie, do diabła. Bo wie pan, ta moja to będzie coś całkiem nowego. Nie tyle o Szekspirze, ile o Kicie Marlowe.

- A jaki dokładnie będzie jej temat? - zapytał z duszą na ramieniu Melrose. - Mam nadzieję, że nie będzie miała nic wspólnego z ustalaniem autentyczności.

- Autentyczności? To znaczy kto napisał to wszystko? - Schoenberg pokręcił głową. - Ja piszę bardziej o życiu niż o literaturze. A poza tym w rzeczywistości interesuje mnie raczej Marlowe.

- Rozumiem. Jako uczonego? Jest pan związany z jakąś instytucją?

- Nie, nie. Ja nie zrobiłem nawet magisterium. Tego rodzaju bzdury zostawiam mojemu jajogłowemu bratu. Kieruje katedrą anglistyki na uniwersytecie w Wirginii i za parę dni zobaczę się z nim w Londynie. Co do mnie, to jestem programistą komputerowym.

Poklepał metalowy neseser i ponownie poprawił pasek na ramieniu.

- Naprawdę? A ja zawsze myślałem, że na świecie jest zdecydowanie zbyt wielu kierowników katedr i panuje niedostatek programistów komputerowych.

Harvey Schoenberg uśmiechnął się na to szeroko:

- No cóż, Mel, w przyszłości będzie ich zdecydowanie więcej. Komputery zmienią świat. O, takie jak to maleństwo - dodał, głaszcząc neseser tak, jakby był zawiniątkiem, w którym śpi niemowlę.

Melrose przystanął, a kilka głodnych, mających nadzieję na coś do jedzenia łabędzi natychmiast podpłynęło do brzegu.

- Nie chce mi pan chyba powiedzieć, panie Schoenberg...

- Proszę mi mówić Harve.

- ...że to jest komputer?

Ciemne oczy Harveya Schoenberga zabłyśły wśród pajęczyny cieni, jakie wierzby rzucały na jego twarz.

- Możesz być tego pewien, Mel. Chcesz go obejrzeć?

A zresztą, postawię ci piwo i opowiem o nim wszystko co do joty. Dobrze?

Po tych słowach Harvey, nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie.

- No...

Melrose nie miał pewności, czy chce wiedzieć o komputerze wszystko co do joty.



- Chodźmy - ponaglił go Harvey Schoenberg, tak jakby mieli za chwilę spóźnić się na autobus. - Pub „Pod Zawianym Kaczorem” jest po drugiej stronie ulicy. Czy „Pod Czarnym Łabędziem”. Zresztą jak zwał, tak zwał.

- „Pod Czarnym Łabędziem” jest chyba część restauracyjna.

Schoenberg obejrzał się przez ramię na rzekę.

- Skąd oni biorą te łabędzie? A wiesz, ja tak dla zabawy sprawdziłem coś w komputerze. Uruchomiłem specjalny program, żeby zobaczyć, kiedy jest najmniej prawdopodobne, że stłoczą się przy brzegu w oczekiwaniu na okruchy chleba. Ishi wszystko to dla mnie wyliczył.

Melrose nie był do końca pewien, jak się ustosunkować do tej wypowiedzi.

- Sądzę, że łabędzie pochodzą z kolonii lęgowej - stwierdził.

- Żartujesz. Kolonia lęgowa to coś takiego jak kurza ferma?

Zbliżali się już do pubu. Melrose czuł, że potrzebuje drinka.

- Nie do końca - powiedział i spojrzał w błękitne niebo, zastanawiając się, czy od słonecznego żaru nie dostał przypadkiem pomieszenia zmysłów.

- Kto to jest Ishi? - zapytał.

- Ishi czyli Ishikabi. To to maleństwo. Japoński komputer, przerobiony przez obecnego tu twego uniżonego sługę.

Harvey Schoenberg był najwyraźniej „po przezwisku” ze wszystkimi i wszystkim na świecie, nie wyłączając własnego komputera.

Kiedy kufel old peculiera zdołał już sprawić, że ustąpiły objawy odslonecznego pomieszenia zmysłów, Melrose - nie bez trwogi - zaczął czekać, aż Harvey Schoenberg udzieli mu wyjaśnień. Ishi tkwił tymczasem na krześle obok swego właściciela niczym ich trzeci kompan przy stole. Podniesione wieko nesesera odsłaniało niewielki ekran i klawiaturę. Melrose dostrzegł też kilka otworów na jakieś dyski, a na zielonym ekranie pulsujący malutki biały kwadracik. Tak bije pewnie serce Ishiego, pomyślał. Pulsowanie było tak intensywne, że nabrał pewności, że zarówno Ishi, jak i Harvey płoną z niecierpliwości, żeby zacząć.

- Kto zabił Marlowe'a? - odezwał się Harvey Schoenberg.

- No cóż - odrzekł Melrose - nikt nie ma pewności, co się...

Harvey pokręcił głową tak energicznie, że przekrzywiła mu się muszka, którą zaraz poprawił.

- Nie, nie - powiedział. - To nie było pytanie. To jest tytuł mojej książki. Kto zabił Marlowe'a?

- Naprawdę?

Melrose odchrząknął.

- No więc - Harvey założył ręce na piersi i pochylił się nad stolikiem, przybliżając twarz do twarzy Melrose'a - powiedz mi, Mel... Kit Marlowe... Co ci o nim wiadomo?

- Kit, to znaczy Christopher... - odrzekł Melrose po krótkim namyśle - ...Marlowe zginął w bójce, o ile dobrze pamiętam, podczas popijawy w jakimś pubie w Southward..

- Nie w Southwark, tylko w Deptford.

- A tak. W Deptford. Doszło tam do jakiegoś nieporozumienia. I ktoś go przypadkiem ugodził nożem. No, coś w tym rodzaju - zakończył Melrose, dostrzegając igrający na twarzy Harveya krzywy uśmiešek.

- Mów dalej.

Melrose wzruszył ramionami.

- O czym? Wiem tylko tyle.

- O reszcie jego życia. O sztukach, które napisał, i tak dalej.

- Miałem wrażenie, że nie interesuje cię literacki aspekt sprawy.

- 1 słusznie, bo to prawda. Nie jestem jednym z tych jajogłowych, co usiłują udowodnić, że to Bacon czy ktoś tam inny napisał rzeczy Szekspira. Ale relacje Marlowe'a z Szekspirem to całkiem co innego.

- Nie sądzę, że Christopher Marlowe i Szekspir tak bardzo się przyjaźnili. Kiedy pojawił się Szekspir, Marlowe był już dość dobrze znany. Zdążył wystawić Tamer- lana Wielkiego i Tragiczne dzieje doktora Fausta, i uważano go chyba za najlepszego angielskiego dramaturga. A poza tym był uwikłany w politykę. Tak, Marlowe był agentem, kimś w rodzaju szpiega...

Melrose mówił dalej, a Harvey siedział, kiwając energicznie głową - niczym nauczyciel, czekający, aż nieco debilny uczeń wyrecytuje wreszcie to, co wykuł na pamięć, by móc się wreszcie wtrącić i go poprawić.

- Tamerlan został napisany, w każdym razie jego część, kiedy Marlowe był jeszcze studentem Cambridge.

To zadziwiający utwór jak na tak młodego człowieka. Potem był Doktor Faust...

- „Czy to ta twarz sprawiła, że tysiące okrętów ruszyło...” - wyrecytował Harvey dość smutnym tonem.

- Właśnie. - Melrose poczuł lekki przyływ serdecz- niejszych uczuć. - Jak mi idzie?

- Świetnie. Naprawdę dużo wiesz. Jesteś jakimś profesorem?

- Miewam czasami wykłady na jednym z uniwersytetów. Ale to nic takiego. - Melrose dopił old

peculier.

Mocne, pomyślał, wali obuchem w łeb. Jak ten facet ze swoimi teoriami.

- Wykłady z literatury, tak?

- Na temat poezji francuskiej. Ale wracając do Marlowe'a...

- Earl Southampton. Co o nim wiesz? - zapytał Harvey, pochylając się ku Melrose'owi i ścisząc głos.

Melrose poczuł się jak agent, który stoi z podniesionym kołnierzem w drzwiach, za którymi leje deszcz, przekazując tajne informacje.

- Southampton? Czy on nie był mecenasem Szekspira? Mecenasem sztuki?

-Odpowiedź poprawna. Młody, bogaty, urodziwy. Southampton. Śliczny chłopak.

- No nie. Chyba nie sugerujesz, że życie seksualne Szekspira było w jakiś sposób podejrzane? Moim zdaniem to bzdura.

Harvey wyglądał na zaskoczonego.

- A czytałeś sonety?

- Tak. Ale one świadczą tylko o uczuciu, wierności...

- Nie mów!

Harvey pochylił się nad komputerem i z niewiarygodną szybkością zastukał w klawiaturę. Malutki biały kwadracik zaczął skakać i na ekranie pojawiły się słowa:

Mknący ku tobie, w którym miał nagrodę miłą,

Zamknął to, co rzec chciałem, w czaszce mej jak

w trumnie<sup>1</sup>

Wyglądało na to, że uważa je za niepodważalny dowód.

- Zastanów się, a przynasz mi rację. Ale nie w tym rzecz. Do cholery, nie obchodzi mnie, co ci faceci robili w łóżku. Oczywiście wszyscy wiemy, że Marlowe był ciotą...

- Czyżby?

- No jasne! A o co innego chodziło w tej historii z Wal- singhamem? Ojej, wiem, że jest teoria, która głosi, że Kit został ugodzony nożem w bójce o jakąś damę podejrzanej konduity i że wskutek tego umarł. I inna, w myśl której zaszalał na jakimś statku wycieczkowym, wdał się tam w bójkę i wylądował za burtą.

- Harvey prychnął, pogrążając tym samym obie teorie w rzecznych falach. - Ale posłuchaj, Mel, nie wierz w to wszystko, bo to Tom Wal- singham był prawdziwym przyjacielem Marlowe'a. - Amerykanin

zamrugał i poprawił swoją okropną muszkę. - Marlowe zadedykował mu poemat Wera and Leander. - Harvey odsunął na bok szklanę i pochylił się ku Melrose'owi tak, jakby obaj byli mylącymi pogonie szpiegami. - Rodzina Walsinghamów miała mnóstwo szmalu i wielkie wpływy. To właśnie Tommy skaptował Kita na agenta...

Melrose odchrząknął.

- Ale o którym stuleciu mówimy, panie Schoenberg?

- Mów mi Harve... i to Tommy spowodował, że wysłano go do Hiszpanii i umieszczono w pewnym opactwie, żeby się zorientował, co knują katolicy. Wiesz, Maria Stuart, królowa Szkotów. Te rzeczy

- No tak. Słyszałem o niej.

- No i? - zapytał Harvey, wychylając się w przód. - Nic chyba dziwnego, że Kit, kiedy go wsadzili do ciupy, prawie dostał kota. Tom Walsingham naprawdę miał wpływy. Mógł temu wszystkiemu zapobiec. A on co robi? Pozwala, żeby Kita stuknięto w łeb... - Harvey, oburzony, machnął ręką. - Jak CIA albo MI5. No, wiesz: jeżeli cię złapią, 007, to my cię nie znamy... i tak dalej.

- Mówimy - upierał się Melrose, wciągając się wbrew sobie w dyskusję - o czasach wyjątkowych konfliktów politycznych i religijnych. Człowiek nie mógł wtedy, nie popadając w tarapaty, opowiadać się w swoich sztukach za heretyckimi pomysłami jakiegoś Fausta, a w rzeczywistym życiu szpiegować katolików w Hiszpanii...

Harvey Schoenberg zrobił lekceważący gest.

- Też mi coś! Jeszcze dorzuć, że na dodatek panowała zaraza. Kiepska sprawa, zaraza. - Harvey przyjrzał się swoim paznokciom, jakby szukając symptomów świadczących o chorobie. - Ja to wszystko wiem. Ale zrozum, tu właśnie, jeżeli chodzi o śmierć Marlowe'a, wszyscy zrobili zły początek. To znaczy ci, co uważają, że zginął przypadkiem... Przypadkiem! Słyszałeś kiedyś o przypadkowym wpakowaniu komuś ostrza w oko? - Harvey pokręcił głową na myśl o uczonych, których wysiłki da się określić krótko: góra urodziła mysz. - Więc przypadek nie wchodzi w rachubę. Błąd polega na tym, że ci, co wiedzieli o zamordowaniu Kita, uważali, że tamci faceci z tawerny w Deptford zabili go z powodów politycznych, bo bali się, że Kit, jeżeli się go podejrze, wygada się na temat Walsinghama, Raleigha i całej tej bandy.

Podczas przemowy Melrose odrywał od swojej butelki piwa etykietkę, co było nieprzyjemnym obyczajem, do którego jak dotychczas nigdy się nie zniżył.

- Rozumiem, że uważasz inaczej?

Harvey po raz kolejny pochylił się ku niemu, zniżając głos:

- Posłuchaj, ludzie przez czterysta lat próbowali dociec, co się zdarzyło w tej tawernie w Deptford. Niestety, jedynymi świadkami byli wykonawcy głównych ról. Tak czy nie? Ten Poley, Skeres i Frizer. A Marlowe... on biedak już nie żył...

- Była to jedna z największych strat, jeżeli nie największa, jakie poniosła literatura angielska. - Melrose, który nigdy się nie mądrzył, teraz miał potrzebę, żeby to zrobić. I właściwie czuł się dość pijany. Co było bez wątpienia reakcją obronną na atak całkowitego braku rozumu. - Miał dwadzieścia dziewięć lat...

Straty poniesione przez literaturę nie zrobiły na Harveyu Schoenbergu większego wrażenia. Miał do zrealizowania ważniejsze zadanie.

- Jasne, on zginął. Ale cóż, takie jest życie. Rzecz polega na tym, że większość ludzi chyba uważa, że ten Skeres i Frizer byli czymś w rodzaju płatnych zabójców działających z polecenia Walsinghama i że to wszystko było, jak już mówiłem, polityczne. A wiesz, co ja na to?

- Nie mam pojęcia.

- Że to bzdury.

Schoenberg rozparł się na krześle, zakładając jeden łokieć na oparcie.

- Naprawdę? - Melrose prawie bał się zapytać, ale czuł, że jego opór skruszał niemal całkowicie. - No to co się stało? Kto twoim zdaniem był za tę śmierć odpowiedzialny?

Harvey Schoenberg posłał mu konspiracyjny, godny pirata z nożem w zębach uśmiezek.

- Ale nie zdradzisz nikomu mojej teorii? - Znowu postukał w komputer. - Mam to wszystko tutaj. Wszystkie dowody.

- Zdradzić ją komuś? Przysięgam, że gdyby mnie nawet łamali kołem, nie pisnę ani słowa.

- Szekspir - powiedział Harvey Schoenberg, tryumfalnie dopijając piwo.

3

Melrose popatrzył na niego przeciągle. Ale Harvey Schoenberg zdawał się zupełnie niewzruszony tym, że właśnie wygłosił najbardziej kretyński pogląd w dziejach dociekań na temat literatury.

- Czy ty naprawdę próbujesz mi powiedzieć, że uważasz Williama Szekspira za człowieka, który ponosi odpowiedzialność za śmierć Christophera Marlowe'a?

Szare oczy Harveya zabłyśły niczym okruchy rozbitego lustra. Uśmiechnął się. Kiwnął głową. I zapraszającym gestem wyciągnął ku Melrose'owi paczkę salemów.

- Mówisz o największym pisarzu wszech czasów.

- A co to ma do rzeczy? - Harvey pochylił się nad stołem i podał Melrose'owi ogień. - Przecież wiesz, jaki temperament mają pisarze, malarze i tak dalej. Są nie- zrównoważeni. A geniusze są prawdopodobnie najbardziej stuknięci.

- Szekspir nie był stuknięty. - Melrose zakrztusił się dymem mentolowego papierosa. - Przeciwnie, z

tego, co o nim wiemy, był bardzo rozsądnym, trzeźwo myślącym biznesmenem.

Po co ja dyskutuję z tym Amerykaninem i jego zwariowanymi teoriami?, pomyślał. Czyżby to był nawyk nabyty podczas licznych rozmów z Agathą?

Tymczasem Harvey podciągnął jedną nogę na krzesło i oparł brodę na kolanie.

- Pytanie brzmi - powiedział - co my tak naprawdę wiemy o którymkolwiek z tych facetów? No bo przecież oni swoje nazwiska za każdym razem pisali inaczej. - Harvey strzepnął popiół na podłogę. - Marloe, Marley, Marlowe, nawet Marlin. Naliczyłem z siedem czy osiem różnych wersji ortograficznych. Więc skąd, u diabła, mamy wiedzieć, co każdy z nich tak naprawdę podpisał czy napisał?

- Ale co z motywem? Jakim, na miły Bóg, Szekspir mógł kierować się motywem, dążąc do ukatrupienia Marlowe'a?

- Mel - powiedział Harvey, przechylając się przez stół - czy ty mnie w ogóle słuchasz? Southampton. Hrabia i piękniś. Szekspir zrobił to z jego powodu.

- Ale hrabia Southampton był mecenasem Szekspira, a nie Marlowe'a. To nie...

Harvey westchnął, jakby zmęczony powtarzaniem lekcji, która powinna była już dawno zostać opanowana. Po czym ponownie pochylił się nad komputerem i postukał w klawisze.

- Jeżeli sądzisz - powiedział - że nie było tam bezmiaru zawiści, to jesteś stuknięty. Mówiłeś, że czytałeś sonety. No to spójrz na to:

Gdy tylko ja czekałem od ciebie natchnienia,

Moim jedynie rymem rządziła twa wola;

Lecz dzisiaj podupadły moje wdzięczne pienia,

Oslabły kunszt innemu ustępuje pola. Śpiewać twoje uroki to zadanie - wierzę - Godne piór zacniejszych, i większej zasługi; Ale to, co twój piewca wynalazł w tej mierze, Zrabował tobie: hołdem spleca tylko długi. Obdarza cię więc cnotą, choć ukradł tę cechę Twoim postępkom; piękność daruje ci z łaski, Choć znalazł ją w twych rysach; tak twoim są echem,

Plagiatem z ciebie - wszystkie jego wynalazki. Nie dziękuj mu za trybut, mniej wart od jałmużny: Sam płacisz każdą kwotę, którą jest ci dłużny.<sup>2</sup>

- Rozumiesz? „Innemu ustępuje pola”, i tak dalej. Spójrz na ten język i nie mów mi, że Szekspir nie mógł wbić Marlowe'owi sztyletu w oko. Choć oczywiście nie twierdzę, że to Szekspir osobiście wykonał brudną robotę. Posłał Nicka Skeresa i Frizera...

- Ależ na miły Bóg. To byli ludzie Walsinghama, a nie Szekspira!

- Ale Will ich znał. To znaczy, wszyscy ci faceci się znali.

- Jaki masz na to dowód?

Harvey był jednak zbyt zajęty stukaniem w klawiaturę i uruchamianiem malutkiego białego kwadracika, żeby zwrócić uwagę na nieśmiałe pytanie Melrose'a.

- Skoro tamten wiersz nie robi na tobie wrażenia, popatrz na to:

Czy to jego wiersz, żagiel prężący się dumnie, Mknący ku tobie, w którym miał nagrodę miłą, Zamknął to, co rzec chciałem, w czasce mej jak w trumnie

A pierś, kolebkę uczuć, uczynił mogiłą? Czy jego duch, przez duchy niebiańskie kształcony W nieśmiertelnym pisaniu, śmiertelnym mnie dobił Ciosem? Nie, do pomocy, choć miał Muz legiony, Niczym porażającym wiersza nie ozdobił. 3

- Co o tym myślisz? Spójrz na to: „śmiertelnym mnie dobił ciosem”. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby było tak, że Will Szekspir chciał dopaść Marlowe'a, zanim Marlowe dopadnie jego.

Wygląda na to, że zdaniem tego faceta Christopher Marlowe został zamordowany, bo Szekspir bał się, że sam zginie z jego ręki, pomyślał Melrose i poczuł, że powinien stoczyć teraz coś w rodzaju pojedynku. Tak, powinien rzucić Schoenbergowi rękawicę i pozwolić mu wybrać rodzaj broni.

- Jest też taki sonet, który wygląda na groźbę samobójstwa. Chcesz, żebym go poszukał?

- Nie, dziękuję. Niczego nie szukaj, bo ja jestem już spóźniony na ważne spotkanie.

- Rany, nie masz nawet czasu na następnego drinka?

- Nie. Chyba że będzie to cykuta, drogi panie. Pamiętając o tym, że jest dżentelmenem, Melrose zmusił się do lodowatego uśmiechu.

- Mów mi Harve. Hej, kawalarz z ciebie. No, ale widzę, że cię przeraziłem. Co zresztą wcale mnie nie dziwi. To znaczy... świat pewnie nie jest jeszcze gotowy na takie trudne tematy. Ale wierz mi, ja tutaj mam wszystkie dowody - powiedział Schoenberg, poklepując komputer. A potem, gdy Melrose wziął już łaskę, zapytał: - Idziesz na Hamleta?

- Mam nadzieję - odrzekł Melrose, mając duszę na ramieniu.

Mieli z Jurym bilety na parterze.

- Człowieku, ja bym tego nie opuścił. Są tam najróżniejsze dowody. To tragedia zemsty. Wiesz pewnie o tym.

- Naprawdę?

- Wszystkie te tragedie są jednakowe. No bo weźmy takiego Kyda... Toma Kyda... Tego bliskiego przyjaciela Marlowe'a. Z tym, że... No, mówiąc krótko... jak się ma takich przyjaciół, to po co człowiekowi wrogowie? - Schoenberg przywołał Melrose'a gestem. - Daj spokój, usiądź jeszcze na chwilę, chcę ci coś

pokazać.

Melrose, z jakąś okropną fascynacją, niczym zahipnotyzowany wężowym spojrzeniem komputera, usiadł, a Harvey ponownie zastukał w klawisze.

- Widzisz? Widzisz, co Kyd mówi przeciwko Marlowe'owi?

„Wśród tych szkodliwych i bezwartościowych papierów, które budziły moją niechęć i które wam dostarczyłem, znajdują się fragmenty dysputy dotyczącej opinii, które Marlowe uznawał za swoje. Gdy dwa lata temu Marlowe i ja pisywaliśmy we wspólnej izbie, zostały one, całkiem bez mojej wiedzy, pomieszane z moimi własnymi... Sam się bardzo dziwię, dlaczego wszedłem w konfidencję z kimś tak niereligijnym... był on człowiekiem poryw- czym, miał okrutne serce... był ateistą...”

- Wiemy oczywiście, że Kyda do składania zeznań na niekorzyść Marlowe'a zmuszono torturami.

Melrose, który w trakcie tej rozmowy zdążył poznać, co to tortury, wstał z miejsca.

- Bardzo to było pouczające - oznajmił.

- Kyd napisał Tragedię hiszpańską... - zaczął znowu Harvey.

- Wiem - wtrącił lodowato Melrose.

- Jak już mówiłem, wystarczy przeczytać jedną z takich tragedii zemsty, a człowiek pozna je wszystkie. Bo wszystkie one są jednakowe.

- Z pewnością Hamleta nie zaklasyfikowałbym do kategorii... - wdał się w dalszy spór Melrose.

Nie dane mu jednak było nawet dokończyć zdania.

- Dlaczego? Przecież to to samo. Problem polega na tym, że Hamlet, który chciał się zemścić na Klaudiuszu, zanim wziął się za niego, pozabijał całą kupę innych ludzi.

Melrose musiał przyznać w duchu, że było to ożywczo proste spojrzenie na Hamleta.

Nadinspektor Richard Jury był ze sobą szczerzy. Dobrze wiedział, że wizyta w Stratfordzie u starego kumpla Sama Laski jest dla niego jedynie pretekstem do tego, żeby spędzić tu kilka dni i rzekomo przypadkiem pojawić się na progu domu Jenny Kennington.

W tej chwili siedział z nogami na blacie bałaganiarskiego biurka swego przyjaciela z wydziału dochodzeniowo-sledczego i przeglądał książkę telefoniczną Stratfordu. Usiłował przy tym sprawiać wrażenie, że szuka numeru całkiem od niechcenia. Był bowiem pewien, że siedząca w kącie sekretarka sierżanta Laski, dama o grubych brwiach i w okularach w rogowej oprawie, ma oczy jak lasery i potrafi przeświecić nimi książkę telefoniczną, zorientować się, że przeszukiwał strony pod literą K, a potem ze złośliwym uśmiechem rozgłosić to wszem i wobec. Próbował też wyzbyć się wszelkich myśli - na wypadek gdyby dama potrafiła także w nich czytać.



Znalazł hasło „Kennington, J.”, wziął ołówek i zanotował numer w notesie. A potem, udając sam przed sobą, że w rzeczywistości szuka tylko najdogodniejszej trasy

42

do Londynu, wstał i popatrzył na duży plan Stratfordu. Mieszkała w starej części miasta...

- Czy mogę panu pomóc odszukać to, co pana interesuje, panie nadinspektorze?

Głos sekretarki spadł na niego niczym cios między łopatki. Jury odwrócił się szybko. Czy ona się w duchu ze mnie śmieje? - pomyślał.

- Słucham? - zapytał. - Nie, nie. Ja po prostu chciałem się zorientować, jak najlepiej dojechać do Londynu.

- A co jest nie w porządku z trasą, którą pan tu przyjechał? - zapytała, po czym, wykręcając z maszyny do pisania arkusz papieru, uśmiechnęła się swoim uśmiechem jasnowidza.

Jury już miał coś powiedzieć o robotach drogowych, ale zamilkł, bo pomyślał, że ona później i tak się zorientuje, że kłamał. Dama tymczasem wkręcała kolejny arkusz w maszynę, tak jakby jej pytanie zostało rzucone całkiem mimo woli.

Co za kretyn ze mnie, pomyślał Jury i usiadł wygodniej. Zastanawiał się teraz, jaka cecha jego charakteru sprawia, że jest głuchy na syreni śpiew pewnych naprawdę uwodzicielskich kobiet, a nurkuje w pogoni za całkiem innymi.

Cała ta wodna metaforyka przeniosła go na brzegi Avonu. Siłą wyobraźni sprawił, że ze Stratfordu poznikali turyści. W ich miejsce natomiast pojawiła się Jenny, z którą on spacerował nad rzeką. Kaczki o mieniących się błękitem i zielenią piórami kołysały się sennie wśród trzciny, łąbędzie przesuwały się po chłodnej, przyjaznej powierzchni rzeki. Wyobraźnia Jury'ego działała jak aparat fotograficzny, utrwalając obrazy: kaczki, łąbędzie, Jenny Kennington. A potem zapędziała się w przyszłość.

Wrzesień. Tak, wrzesień byłby nawet lepszy. Blask słońca przefiltrowany przez liście, złocista poświata na wodzie. A może raczej październik. W październiku Jenny, przejęta chłodem, rozcierałaby sobie ramiona i zapragnęłaby, żeby znalazł się ktoś, kto ją ogrzeje... Gdzieś na wodzie, za kurtyną ścian komisariatu, kołysały się kaczki i unosiły się łąbędzie, a Jury zaczął obmyślać sposób wprowadzenia swojej magicznej wizji w życie. A dlaczego by, pomyślał, nie zaprosić jej dziś wraz z Melrose'em Plantem na kolację do „Czarnego łąbędzia”? I później do teatru? Tak, tak, koniecznie z Melrose'em, żeby się nie czuła skrępowana. Plant, który co prawda nie poznał jej w zeszłym roku w Littlebourne, z pewnością nie miałby nic przeciwko temu.

Hej, zaraz, zaraz, wolnego. Melrose Plant jest przecież jedną z najlepszych partii w całym Zjednoczonym Królestwie. Jest też inteligentny, ma prezencję i charakter, nie mówiąc o delikatności. A ja? Czy jestem wystarczająco obdarzony tego rodzaju cechami? Jury zadał sobie to pytanie i nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Bardzo dobrze natomiast wiedział, że nie ma całej reszty atutów Planta. Na

przykład pieniędzy. Melrose Plant bowiem był wprost obrzydliwie bogaty. A także utytułowany. Zrezygnował co prawda z arystokratycznych tytułów, ale one ciągnęły się za nim niczym ślad na wodzie za prującym fale statkiem. Księżę Caverness. Lord Ardry. Dwunasty wicehrabia z linii Ardrych i Plantów.

Lady Kennington i lord Ardry...

No tak, kolację „Pod Czarnym Łabędziem” trzeba będzie z pewnością skreślić.

Człowieku, nie bądź śmieszny! Jesteś przecież policjantem!, pomyślał Jury i wyprostował się.

- Naprawdę?

Złapał się na tym, że wypowiada to słowo głośno, i ogarnęło go zażenowanie. W tej samej chwili łaskawy los sprawił, że w pokoju pojawił się nagle sierżant Lasko.

- Mamy kłopoty w Hiltonie - powiedział, stojąc w drzwiach i rzucając niecelnie czapkę w stronę starego wieszaka przymocowanego do ściany

Miał twarz przypominającą mordę basseta. Kąciki jego oczu i worki pod oczami ciążyły w dół pod brzemieniem smutku. Wyglądowi sierżanta odpowiadał jego temperament. Lasko był powolny - tak jakby jego ruchy utrudniał spowijający go całun przygnębienia.

- Kłopoty? - zapytał Jury, zadowolony, że jest coś, co odwróci od niego uwagę maszynistki.

- Człowiek nazwiskiem Farraday twierdzi, że zaginął mu syn.

- A jak jego zdaniem to się stało?

Lasko wzruszył ramionami.

- Ostatnio widzieli chłopaka w poniedziałek podczas śniadania, po czym mały wypuścił się sam na Henley Street do domu rodzinnego Szekspira.

- W poniedziałek? A dziś mamy przecież środę! Wygląda więc na to, że nie za bardzo pospieszyli się z szukaniem.

Lasko przysiadł na brzegu biurka, kręcąc głową.

- Powód, dla którego o tym nie zameldowali, był taki, że chłopak, który ma dziewięć lat, już nieraz gdzieś się im zapodziawał. Zrozumiałem, że jest dzieckiem bardzo niezależnym, a poza tym, z tego, co mówiła jego siostra, to znaczy jedna z sióstr...

- Zaraz, Sammy, zaczynam się w tym gubić.

- Dobrze. Więc jest ojciec. James Farraday... - Lasko wyjął z tylnej kieszeni niewielki notes i zaczął go przeglądać. - Tak, James, ojciec. Jest też macocha, Amelia jakoś tam, takie dziwne imię. Dalej. Jest siostra, Penelope, i druga siostra... Nie, nie, ta druga to siostra przyrodnia,

O takich dziwnych imionach, chyba nie zapisałem ich poprawnie... Bunny Belle czy coś takiego. No i ta Bunny Belle jest córką z poprzedniego małżeństwa tej kobiety... a ja, mówię ci, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zniknąć wraz z nią na parę dni, albo, prawdę mówiąc,

1 z Amelią, która...

Mając w pamięci swoje własne niedawne rozmyślania, Jury słuchał cierpliwie. I czekał, aż Lasko przestanie posyłać kwaśne spojrzenia w stronę sekretarki, jakby rozczarowany tym, że kobieta nie posiada kwalifikacji Bunny Belle.

- To amerykańska rodzina? - zapytał Jury.

- A któż inny mógłby zatrzymać się w tym cholernym Hiltonie? Jak człowiek tam wejdzie, to mu się zdaje, że jest w Nowym Jorku. Byłeś kiedyś w Nowym Jorku, Jury?

Lasko gadał o Stanach od chwili, gdy Jury zjawił się tu dziś rano. Żywił do tego kraju miłość pomieszaną z nienawiścią. Bardzo chciał pojechać do Miami i na Florida Keys, jednak z drugiej strony wprost nienawidził niektórych bezczelnych Amerykanów. Jury odrzekł, że nie był nigdy w Stanach, na co Lasko włożył do ust wykałaczkę i gadał dalej. A wykałaczka tańczyła w trakcie jego perory.

- Więc jak mówiłem, ten chłopak, James Carlton Farraday, lubi wypuszczać się na samodzielne eskapady. Kiedy byli w Amsterdamie, oddalił się samowolnie na wiele godzin...

- Wiele godzin to nie to samo co trzy dni. A co oni robili w Amsterdamie?

- Zwiedzali. Uczestniczą w wycieczce objazdowej. W Paryżu chłopak zniknął im na ponad dobę, po czym miejscowa policja znalazła go śpiącego w kościelnej ławce. Dziwny dzieciak, nie? - Lasko wzruszył ramionami. - Ta dziewczyna, Penny, sugerowała, że jej brat nie za bardzo lubi własną rodzinę.

- Chcesz powiedzieć, że jej zdaniem on uciekł? Uciekać w obcym kraju... To straszne kretyństwo.

- Mówiłem już, że chłopak jest niezależny. A właściwie tak twierdzą oni.

- No dobrze. Jakimi dysponujesz tropami?

- Żadnymi - odrzekł ponuro Lasko, po czym posłał Jury'emu pełne nadziei spojrzenie. - Pomyślałem, że może ty...

Jury, co prawda z uśmiechem, ale pokręcił głową:

- Zaraz, Sammy. Przyjechałem tu tylko z wizytą. To twój rewir, nie mój.

- Ale ten Farraday w Hiltonie już zaczął się żołądkować. Chce wzywać Scotland Yard. Kiedy mu powiedziałem, że damy sobie radę sami, że to nie jest sprawa dla Scotland Yardu, wściekł się jeszcze bardziej. Posłuchaj, Richard, to jest Amerykanin. Poleci do tej swojej cholernej ambasady. A na dodatek twierdzi, że ma kupę szmalu i wielkie wpływy. - Ton Lasko stał się bardziej przymilny. - Posłuchaj, gdyby chodziło o morderstwo... to założę się, że wzięłbyś się za tę sprawę - powiedział i rozejrzał się po pokoju.

Popatrzył na stoły, krzesła i sekretarkę tak, jakby chciał przywołać dla Jury'ego jakiegoś trupa.

-Ale to nie jest morderstwo - powiedział Jury. - A wasz szef nie prosi nas o pomoc...

Lasko w dramatycznym geście uderzył się w pierś otwartymi dłońmi.

-Ale ja proszę o nią ciebie, stary. Ja, Sam Lasko. Posłuchaj, chcę tylko, żebyś poszedł i pogadał z Farra- dayem. To wszystko. Tak po prostu. Żeby on się zamknął i przestał żołądkować.

Jury popatrzył na swego kumpla z powątpiewaniem i schował papierosy do kieszeni.

- Okej, Sammy - powiedział. - Ale nie zrobię nic więcej. Dziś wieczorem jem kolację ze znajomym, a poza tym podczas pobytu tutaj mam parę innych rzeczy do zrobienia. Więc nie spodziewaj się po mnie żadnych dalszych działań.

- Świetnie - powiedział Lasko, wyglądając, o ile to było możliwe, na zadowolonego. - Ci ludzie uważają, że na świecie istnieją tylko policjanci z FBI i Scotland Yardu.

- Nie martw się - pocieszył go Jury, biorąc notes. - Po godzinie spędzonej ze mną zmienią zdanie.

5

Farradayowie siedzieli już przy stoliku. W tej części luksusowego hotelowego lobby podawano drinki. Jury został zlustrowany przez cztery pary oczu, wyrażających różny stopień zainteresowania.

Co do Jamesa Farradaya, to ten - wbrew słowom Laski - gdy policjant wręczył mu swoją wizytówkę, wydał się mało zainteresowany. Zatem Jury doszedł do wniosku, że Lasko prawdopodobnie nieco nazmyślał. Jednak James Farraday, choć sceptycznie nastawiony, nie demonstrował niechęci.

Wstał natomiast i uściśnął Jury'emu dłoń, a zaraz potem zatrzymał przechodzącą kelnerkę.

- Czego się pan napije, panie nadinspektorze?

Jury podziękował za drinka. Mimo to tamten go zamówił. Whiskey, bez lodu.

- Zdaję sobie sprawę - powiedział - że wy tutaj pijacie drinki na ciepło. Chociaż Bóg raczy wiedzieć dlaczego...

-Ale on powiedział, że nie chce drinka - dobiegł z ciemnego kąta jakiś głosik.

- Zajmij się swoimi sprawami, Penny. Pan nadinspektor postąpił tak przez grzeczność.

Farraday uśmiechnął się do Jury'ego z pewnością siebie, jaka, podejrzewał nadinspektor, towarzyszyła mu we wszelkich życiowych poczynaniach.

Penny Jury polubił natychmiast, mimo że siedziała, obejmując swe szczupłe ciało ramionami i mierząc go spojrzeniem twardym niczym skała. Była młodszą córką w tej rodzinie. Na oko czternasto-, może piętnastoletnią. Cerę miała śniadą, sprawiającą wrażenie przykurzonej, jak ktoś, kto szedł boso połą drogą. Jej twarz upstrzona była piegami niczym drobnymi kropelkami błota, długie, proste włosy miały kolor opadłych liści, a wysokie kości policzkowe i jasnobrązowe trochę skośne oczy o tęczęwkach nakrapianych złotem nadawały jej intrygujący, nieco orientalny wygląd. Cała postawa i spojrzenie dziewczynki świadczyły, że nie ma pojęcia, jaka jest ładna.

I nic dziwnego. Gdy tak siedziała pomiędzy przyrodnią siostrą i macochą - kobietami dojrzałymi niczym brzoskwinie, o zaróżowionych policzkach i blond fryzurach z pasemkami - Penny naprawdę nie mogła myśleć o sobie jako o kimś urodziwym. Jej macocha miała na sobie białą, letnią, obciskającą biust sukienkę na ra- miączkach ze sporym dekoltem, a siostra jaskrawo- żową trykotową bluzkę z odkrytymi plecami i szorty, przyodziewek idealnie współgrający kolorem ze szminką na ustach, które w tej chwili ostentacyjnie oblizywała.

- Oto moja żona, Amelia Blue, a to Honey Belle, moja pasierbica - powiedział James Farraday.

Jedyną zestresowaną osobą płci żeńskiej w tym towarzystwie wydawała się Penny. Być może zestresowany był także sam Farraday, choć on prawdopodobnie wolałby umrzeć, niż okazać niegodny mężczyzny niepokój. Jednak jego głos go zdradzał.

- Co zamierzacie zrobić w sprawie Jimmy'ego? - zwrócił się do Jury'ego, który wyjął notes.

- Przede wszystkim - odrzekł - chcemy uzyskać nieco więcej informacji. Sierżant Lasko powiedział mi, że po raz ostatni widzieli państwo chłopca w poniedziałek rano.

- Zgadza się. Mój syn mówił, że idzie do domu narodzin Szekspira.

- Czy dotychczas często się zdarzało, że oddalał się bez opieki?

- Ależ oczywiście - powiedziała pani Farraday, to znaczy Amelia Blue, przeciągając sylaby.

Ten akcent bardzo dobrze do niej pasował, a Jury gotów był się założyć, że jej córka mówi tak samo. Obie wyglądały jak ciągnąca się, gęsta melasa.

- Jamesa Cahltona trzeba było trzymać na smyczy - dodała Amelia Blue i spojrzała na męża twardym wzrokiem.

- Bo widzi pan, on lubi chodzić samopas... Ciągłe z nim mamy kłopoty, znika i nigdy się nie opowiada, dokąd idzie. - Farraday upił spory łyk z drinka, który wyglądał na potrójną whiskey. - Trudno za nim nadążyć. - W jego głosie zabrzmiała nutka dumy. Spojrzał tak, jakby się spodziewał, że chłopiec stanie w drzwiach. Jego twarz posmutniała. Usiłował się roześmiać, ale śmiech wydobył się ze zdławionego gardła. - W Amsterdamie zginął nam na wiele godzin...

- Przyjechali państwo tutaj z wycieczką?

- Zgadza się. Z biurem Honeysuckle\* Tours.

„Jakich to nazw ludzie nie wymyślą!”, powiedział

sobie w duchu Jury.

- A reszta uczestników tej podróży też mieszka tutaj, w Hiltonie?

- Nie, nie - pokręcił głową Farraday. - Honeycutt, to znaczy facet, który tym wszystkim zarządza, aranżuje to w inny sposób. Robi tak, żeby każdy mógł zamieszkać tam, gdzie chce. Ja nie pojechałbym na żadną taką dziadowską objazdówkę, kiedy to trzydzieści osób daje się wpakować do jakiegoś rozklekotanego autokaru i obwozić po połowie globu. I mówię panu, ta nasza podróż nie jest bynajmniej tania. Płacę...

- Kochanie, pana inspektora to wszystko wcale nie interesuje - powiedziała Amelia Blue, trącając lekko Farradaya w ramię, a równocześnie uśmiechając się do Jury'ego tak, jakby wiedziała, co go może interesować naprawdę.

- Więc ile osób liczy państwa grupa?

Farraday policzył na palcach:

- Oprócz nas jest ich sześć. A w sumie jedenaście, wraz z Honeycuttem. Siedzi teraz w Hathawayu albo w jednym z tych innych angielskich hoteli. Ja to lubię wygody. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy dzielić łazienkę z kimś obcym. Wie pan, jesteśmy Amerykanami...

Nigdy bym się tego nie domyślił, Jury uśmiechnął się w duchu.

- A z której części Stanów państwo pochodzą?

" Honeysuckle po angielsku znaczy „kapryfolium" (przyp. tłum.).

- Ja i Penny, no i Jimmy, to znaczy mój syn, pochodzimy ze stanu Maryland. Z hrabstwa Garrett. A Amelia Blue i Honey Belle, Amelia to moja druga żona, a Honey Belle to jej córka, więc one są z Georgii. W Georgii, w Atlancie, ma swoje biura firma Honeysuckle Tours. Facet stamtąd organizuje wycieczkę, a ten Honeycutt, Anglik, pilnuje wszystkiego już na miejscu.

- Czy ma pan pewność, że pana syn nie jest teraz z kimś z waszej wycieczki? Przebywaliście przecież razem przez jakiś czas...

- Jeżeliby ktoś pytał - zachichotała niczym podlotek Amelia Blue - to stanowczo za długo.

Honey Belle, która dotychczas wpatrywała się w Jury'ego pustym spojrzeniem błękitnych oczu, żując przy tym pasmo swoich blond włosów, postanowiła w końcu przemówić:

- Tylko z tym zwariowanym Harveyem Schoenber- giem.

Ton jej głosu całkowicie zrujnował iluzję figlarniej kobiecości. Był jakiś płaski, nosowy.

- A czym ten Schoenberg się interesuje?

- Harv to komputerowiec - odrzekł Farraday. - A Jimmy to naprawdę zdolny chłopak. Ma mózg jak komputer.

- Kretyńskie zajęcie - skomentowała Honey Belle, po czym ziewnęła, wyciągając ramiona, a następnie, na wypadek gdyby coś uszło uwagi Jury'ego, założyła ręce za głowę.

- No, w każdym razie - mówił dalej Farraday - Jimmy nie był z Harveyem. Sprawdziliśmy to. Nie przebywał też z nikim innym z naszej wycieczki. To też sprawdziliśmy. Nikt go nie widział.

Zakaszła i wyjął chusteczkę do nosa. Jury ze współczuciem uświadomił sobie, że ten kaszel miał zamaskować niegodne mężczyzny uczucia, bo Farraday, chowając chusteczkę do kieszeni, oczy miał mokre.

- Proszę posłuchać - powiedział, pochylając się przez stolik i wycelowując palec w nadinspektora. - Ja mogę się z tą sprawą zwrócić do naszej ambasady. Co zatem macie zamiar z nią zrobić?

Oho, powiedział sobie Jury, facet jest przyzwyczajony do twardego postępowania z ludźmi. Jednak w tym wypadku to tylko fasada, bo on naprawdę się martwi. Pozostałe osoby, z wyjątkiem Penny, nie martwiły się wcale. Dziewczynka nie powiedziała zbyt wiele, ale była bardzo spięta.

- Wszystko, co w naszej mocy, proszę pana - odrzekł głośno. - Policja stratfordzka... sierżant Lasko... to ludzie bardzo sprawni...

- Daj pan spokój. Ja nie chcę nawet słyszeć o jakiejś tam dziadowskiej miejscowej policji. Chcę, żeby Jim- my'ego szukali najlepsi ludzie. Słyszysz pan?

- Sam chciałbym zasługiwać na miano najlepszego - uśmiechnął się Jury. - Ale zapewniam: zrobimy wszystko, co w naszej mocy. A przy tym potrzebna nam będzie państwa współpraca. Wszystkich państwa.

Odręcznie napisane zaproszenie nie wywołałoby bardziej promiennego uśmiechu na twarzy Amelii Blue niż ta uwaga.

- No cóż, panie inspektorze - powiedziała - my z całą pewnością ją panu zapewnimy.

- On jest nadinspektorem, nie słyszałaś? - powiedziała Penny, rozglądając się po zebranych, jakby wszyscy oni byli zakutymi łbami.

Nie zbiło to jednak z tropu Amelii Blue.

- Aha - powiedziała - inspektorem czy nadinspektorem i z pewnością cudownym człowiekiem.

Co słysząc, Penny zakrztusiła się z lekka.

- Czy pański syn miał przy sobie jakieś pieniądze? - pytał dalej Jury.

- Tak. - Farraday się zmieszał, jakby w obawie przed oskarżeniem o to, że dostarczył chłopcu środków ułatwiających ucieczkę. - Ale nie tak wiele. Tyle, żeby w razie czego wystarczyło mu na... posiłek - zakończył słabym głosem. - On ma dziewięć lat. W tym wieku chłopcy są bardzo żywi.

- Podobnie jak w wieku lat trzech - powiedziała Penny, licząc na palcach - i czterech, i pięciu, i sześciu, isied...

- Dosyć, moja panno - zgromiła ją Amelia.

Penny zapadła się z powrotem w ciszę i półmrok.

- Jak wygląda pani syn, proszę pani?

- James Cahlon jest moim pasierbem. - Wyglądało na to, że żeby sobie chłopca przypomnieć, Amelia Blue musi zrobić przegląd całego szeregu twarzy. - No więc, wzrostu jest takiego - pokazała gestem ręki - oczy ma piwne i ciemne włosy. Nosi okulary. Tak jak Penny. Oboje mają... stygmatyzm czy jak to się nazywa.

- Czy ma jakieś znaki szczególne? - zwrócił się ponownie do ojca Jury.

Farraday pokręcił głową.

- W co był ubrany?

- W niebieskie szorty, koszulkę trykotową z Pac- -Manem i adidasy.

- Ma pan jego zdjęcie?

- No tak, ale tylko w paszporcie, bo tych, które robiliśmy podczas wycieczki, jeszcze nie wywołaliśmy.

Farraday wyjął z kieszeni ciemnoniebieski paszport.

Jury włożył dokument między kartki swojego notesu i wstał.

- Dobrze, proszę pana. Nie mam w tej chwili więcej pytań. Przyślę kogoś, kto obejrzy jego pokój. A tymczasem nie martwiłbym się zbytnio. Dzieci nieraz oddalają się same. No a poza tym jesteśmy w Stratfordzie nad Avo- nem, a nie w Detroit. - Uśmiechnął się. - W Stratfordzie nigdy nic się nie dzieje.

To ostatnie było oczywiście kłamstwem.

Penny Farraday udało się w jakiś sposób przebić przez lobby i znaleźć się przed hotelem, zanim pojawił się tam Jury. Czekala na niego na chodniku.

- Czekam na pana, bo jest coś, co muszę panu powiedzieć, a nie chcę, żeby oni to usłyszeli. Zwłaszcza cała ta Amelia Blue. Chodźmy do parku. - Pociągnęła Jury'ego za rękaw.

A następnie wykonała urągający śmiertelnemu niebezpieczeństwu sprint przez Bridge Street, którą



samochody pędziły niekończącą się falą, zwalniając dopiero przy przejściu dla pieszych.

- Usiądźmy - powiedziała, ciągnąc Jury'ego na ławkę stojącą w pobliżu odlanej w brązie figury Szekspira.

Na rzece przy brzegu tłoczyły się kaczkę i łabędzie, złaknione kawałków chleba. Gromadka dzieci, zapewne na ostatniej w tym roku szkolnej wycieczce, rzucała im okruchy z torebek zakupionych dokładnie w tym celu, niczym orzeszki ziemne w zoo. Niezbyt daleko stąd znajdował się teatr, a ten, kto zaprojektował stratfordzki hotel Hilton, stojący po drugiej stronie ulicy i dobrze z teatru

widoczny, zrobił to tak, by nowoczesne bryły obu budynków dobrze do siebie pasowały i wryły się w pamięć każdego turysty. Dzień był piękny, niebo jak błękitna emalia. Jury nie miał nic przeciwko temu, żeby tu usiąść. Wyjął paczkę papierosów.

- Proszę dać mi jednego.

Jej słowa były rozkazem, ale ton zdradzał niepewność. Spodziewała się odmowy. Jury dał jej jednak papierosa.

Spojrzała na niego z takim zaskoczeniem, że zaczął się zastanawiać, czy dotychczas w ogóle próbowała palić. Choć z drugiej strony nie bardzo mógł uwierzyć, że nie. Gdy podał jej ogień, musiała się zaciągnąć kilka razy, chcąc dobrze zapalić papierosa. Trzymała go między kciukiem a palcem wskazującym, paląc w nerwowo, typowy dla całkowitej amatorki sposób.

- Wie pan, że on nie jest naszym tatą? To znaczy Jimmy'ego i moim. On nas tak jakby zaadoptował - dodała niechętnie.

Jury uśmiechnął się na to „tak jakby”. Ale był zaskoczony Bo oczywiście zauważył, że kobieta nie okazuje macierzyńskiej troski, jednak Farraday okazał troskę ojcowską.

- Nie. Nie wiedziałem o tym. Wiedziałem tylko, że jego żona nie jest waszą matką.

- Ona? Oczywiście że nie. Nasza mama nie żyje. - Dziewczynka z tylnej kieszeni obciętych džinsów wyjęła fotografię: czarno-białą i tak pogniecioną, jakby często podawano ją sobie z rąk do rąk. Teraz podała ją Jury'emu. - To jest mama. - Smutek w jej głosie ciążył niczym ołów. - Miała na imię Neli.

Młoda kobieta - tak, wyglądała na bardzo młodą - znajdowała się w cieniu wysokiego drzewa, Jury mimo to dostrzegł jej proste włosy i rysy twarzy, bardzo podobne do rysów i włosów Penny. Stała sztywna i wyprostowana z zaledwie cieniem uśmiechu na ustach, odmawiając przymilania się do aparatu.

- Przykro mi, Penny. - Jury oddał dziewczynce fotografię. - Co się z nią stało?

- Umarła sześć lat temu - odrzekła Penny, starannie wsuwając zdjęcie do plastikowej okładki. - Pamiętam dzień, w którym spakowała torbę i odeszła. Powiedziała wtedy do mnie i do Jimmy'ego: „Kochani, muszę na jakiś czas wyjechać. Pan Farraday zaopiekuje się wami”. Bo widzi pan, ona u niego

pracowała. I myślę, że bardzo się lubili. A potem powiedziała jeszcze: „Nie martwcie się. Mnie może nie być długo, ale wrócę”. Tylko że to nie była prawda, bo ona nigdy nie wróciła. - Penny podniosła głowę, jej wzrok pobiegł w dal, nic nie widząc, pomyślał Jury, ani wierzb, ani łąbędzy objedzonych okruszkami i podpływających do samego brzegu, ani przycumowanych kolorowych łódek. - Umarła na jakąś wyniszczającą chorobę. Tak nam powiedzieli. Ale my z Jimmym nigdy się nie dowiedzieliśmy, na jaką. Myślę, że to nie ma znaczenia, bo każda choroba, na którą człowiek umiera, jest wyniszczająca.

Jury czekał w milczeniu, co dziewczynka powie dalej.

-A jaka ona była ładna! Na tym zdjęciu tego nie widać.

- Widać, widać. Wygląda dokładnie tak jak ty.

Na jej twarzy odmalował się wyraz zdumienia, a w jej jasnych oczach załamało się złociste światło tego dnia.

- Eee tam... Kiedy one obie są gdzieś w pobliżu, nikt nigdy na mnie nawet nie spojrzy.

- No to powiem ci, że niektórzy ludzie nie mają gustu. A co się dzieje z waszym prawdziwym ojcem?

- Chyba też nie żyje - odrzekła, rzucając na ziemię niedopałek. - Prawdę mówiąc, tak na mój rozum, on i mama nie byli małżeństwem. Ja pewnie go znałam. Chociaż tego nie pamiętam. Ale Jimmy... on nigdy...

Jej ostatnim słowem towarzyszyło głębokie westchnienie, a w tonie nie było ani śladu przygany. „Ludzie popełniają błędy”, zdawał się sugerować ten ton.

- No więc wie pan, on ożenił się z tą całą Amelią Blue. I mogę się założyć, że ona i ta jej Honey Belle uważają nas po prostu za bękarty. O nie, nie powiedzą tego głośno. Na to są za tchórzliwe. Ale człowiek widzi po oczach, że tak myślą. Za każdym razem, kiedy na nas patrzą. A Honey Belle... Tam, skąd pochodzę, jest na taką określenie. Urodziłam się w Wirginii Zachodniej... Słyszysz pan to pewnie po moim akcencie... Więc w Wirginii Zachodniej na takie dziewczyny mówi się cipa. Przepraszam za ten język, mam nadzieję, że to pana nie szokuje. W tamtym stanie są różne dziewczyny, więc może i cipy też. No i przysięgam na Boga wszechmogącego, tak z ręką na sercu... - położyła dłoń na sercu, żeby nie wziął jej za kłamczuchę - ...nie piszemy tego wyrazu z dużej litery. Ten zwyczaj musiał przyjść z Georgii. Teraz nasza rodzina mieszka w stanie Maryland - dodała obojętnie. - Gdyby pan widział tych chłopaków, co krążą koło Honey Belle. Kiedy tylko zakręci tyłkiem, padają jak muchy. Ja też kiedyś miałam chłopaka. - Westchnęła. Nie było trudno zgadnąć, co się z nim stało. - Wiem, wiem, pan myśli, że jej zazdroścę, a ja wcale się tego nie wypieram. Boże, widział pan te jej szorty? Praktycznie ma goły tyłek. I w ogóle na pewno pan wie, co o niej myślę.

Była to prawda - Jury się domyślał.

- A ta jej mamuśka, Amelia Blue, jest wcale nie lepsza. Są podobne do siebie jak dwie krople wody Rzygać mi się chce, kiedy myślę, jak ta baba kręci z facetami. Na tej naszej wycieczce jest taki Anglik...

Założę się, że sobie z nim pozwoliła.

- A jak on się nazywa?

- Chum czy Chomly. Ale pisze się jakoś inaczej. Na imię ma George. Jest przystojny, to fakt. Na tyle, żeby Amelii i Honey Belle robiło się na jego widok mokro w majtkach. Ale co to ja chciałam powiedzieć... Przepraszam, że pana tak zanudzam... Myślę, że Jimmy mógł uciec.

- Uciec? Ależ z pewnością nie zrobiłby tego w obcym kraju.

- Tak pan mówi, bo nie zna pan Jimmy'ego. „Jamesa Cahltona”, jak ona lubi go nazywać. Tam na Południu wszyscy mają te kretyńskie podwójne imiona, dlatego Amelia Blue takie wymyśla. Staruszka nazywa James Cecil. Tak jakby jedno imię człowiekowi nie wystarczało. Mnie, dzięki Bogu, nic takiego nie wymyśliła. - Penny wzniosła oczy do nieba. - Zanim James Farraday się z nią ożenił, my z Jim- mym mieszkaliśmy z nim cztery lata. Staruszek jest raczej w porządku... To potentat węglowy. Można powiedzieć, że ma w swoich rękach większość Wirginii Zachodniej i zachodnią część Marylandu. No i hotele. Jest właścicielem wielkiego hotelu wakacyjnego w stanie Maryland. To właśnie w nim pracowała nasza mama. Jako kelnerka. Kiedy tam się sprowadziliśmy, Jimmy był bardzo malutki.

-Sądzę, że pan Farraday naprawdę niepokoi się o twojego brata.

- Tak. No tak. Być może. Szkoda tylko, że się ożenił właśnie z nią. A raczej z nimi. Kiedy się u nas pojawiła po raz pierwszy, my z Jimmym pomyśleliśmy, że zaszczyciła nas panna Dolly Parton. Tak, tak. Tak wyglądała z tą swoją blond szopą na głowie i biustem jak dwa balony. Próbuje mnie zmusić do tego, żebym przestała przeklinać. A jemu chce wmówić, że jest wielką panią, chociaż każdy widzi, że to po prostu śmieć. Zawsze kogoś „przyjmuje”, zawsze jakiś facet siedzi u niej na ganku, czyli na werandzie, jak to ona mówi. No i pociągają piwo, a ona się przy tym wachluje jak dama z plantacji. Myślałby kto, że z niej jakaś Scarlett O'Hara. Nie zdziwiłabym się, gdyby kiedyś zdarła z okien zasłony, wrzeszcząc: „Jutro będzie nowy dzień!” Naprawdę, ta baba odstawia jedną wielką lipę.

Penny spod gładkiej zasłony długich włosów spojrzała na Jury'ego z nadzieją, że się z nią zgodzi.

- Powiedz mi więcej o Jimmym. Co się twoim zdaniem z nim stało? - zapytał i zaproponował jej kolejnego papierosa, co najwyraźniej sprawiło jej ogromną przyjemność.

- Jimmy'ego trzeba znać - powiedziała, kiedy już zapaliła. - On jest inny.

Spodziewam się, pomyślał Jury.

- Jimmy zaczął obmyślać plan pozbycia się Amelii Blue i Honey Belle. Chciał je wyptończyć. Ale nie tak po prostu, na przykład wpuszczając im do łóżek żaby. Nie, nie, nic w tym guście. Bo Jimmy jest naprawdę zdolny. I na dodatek poprawnie mówi. Twierdzi, że bez poprawnego języka człowiek daleko nie zajędzie. No bo weźmy na przykład polityków, oni muszą umieć mówić. Więc Jimmy zrobił tak: wypożyczył z biblioteki publicznej mnóstwo książek o duchach. O poltergeistach, wie pan... takich duchach, które hałasują i rozrzucają rzeczy. Stephen Spielberg zrobił o tym film. Widział go pan?

Jury pokręcił głową.

- A potem powiedział Honey Belle, że w domu straszy. A ona jest okropnym tchórzem. No a jeszcze potem, nie wiem, jak mu się to udało, ale zrobił tak, że krzesła zaczęły się ruszać, a szklanki przesuwały się w kredensie. Otwierały się też szuflady i działały różne inne rzeczy. Nastraszył je tym jak cholera. Ale one zostały. Nie pozbyliśmy się ich. - Penny paliła papierosa, patrząc twardym wzrokiem na rzekę. - Jimmy ma taki... jak by to powiedzieć... wybitny umysł. Taki jak on.

Było to wręcz niewiarygodne, ale wydawało się, że mówiąc to, dziewczynka patrzy na figurę z brązu.

- Masz na myśli Szekspira?

- Tak. Czytał go pan? Ja go po prostu uwielbiam. Jak wam się podoba widziałam już ze trzy razy. W szkole to była lektura obowiązkowa. Nauczyłam się na pamięć wszystkich monologów. - Rozgniotła papierosa. - Proszę pana, pan musi znaleźć Jimmy'ego!

Jury, słysząc to, nabrał wątpliwości, czy dziewczynka potrafi błagać. Do diabła, pomyślał, nic mi się nie stanie, jeżeli poświęcę tej sprawie parę godzin. Powietrze wypełnił dźwięk zegara z kościoła Świętej Trójcy, wybijającego dwunastą w południe.

-Chodź, Penny. Pójdziemy do domu rodzinnego Szekspira i zadamy tam kilka pytań.

- Ja mam z panem pójść? - zapytała, całkiem na taką Propozycję odmieniona.

Smutek zniknął z jej twarzy i gdy wraz z Jurym przecinała wspaniały zielony trawnik, idąc w stronę Henley

Street, poprzez kurz piegów na jej policzkach zdawało się przeświecać światło. Zaraz jednak podjęła wątek opowieści o koegzystencji z macochą i przyrodnią siostrą.

- W tym naszym domu panuje okropna atmosfera. Gdyby nie Jimmy, już dawno bym nie wytrzymała. Przez ostatnie dwa dni myślałam i myślałam, i postanowiłam, że tam nie wrócę. Zostanę tutaj i postaram się wyjść za jakiegoś księcia albo diuka. Staruszka lubię, to prawda, ale ich dwóch już dłużej nie zniosę. Nie zdzierzę pod jednym dachem z tymi ich cyckami i dupami. A może pan zna jakichś książąt albo diuków?

- Prawdę mówiąc - Jury uśmiechnął się - znam jednego księcia.

- Nie wciska mi pan kitu?!

Przystanąła i podniosła na niego oczy

- Nie wciskam! - zapewnił ją.

Dom rodzinny Szekspira - przyjemny budynek o ryglowych ścianach miał drzwi na równym poziomie z powierzchnią Henley Street. Przed nimi stała podwójna kolejka pielgrzymujących do tego sanktuarium - zniecierpliwionych rodziców i kłótliwych dzieci z lodami na patyku. Jury zastanawiał się, ile z tych osób

naprawdę czytało Szekspira. Przypuszczał, że niewiele i naprawdę podziwiał je za to, że tak bardzo pragną przyjąć fakt czyjegoś geniuszu na wiarę.

- Wygląda to jak kolejka na film E.T. - powiedziała pośpiesznie Penny. - Jest przed nami chyba ze sto osób.

- Sądzę, że uda nam się jakoś ominąć kolejkę. Chodź.

Kobieta przy drzwiach, nosząca emblemat Fundacji

Szekspirowskiej, obejrzała legitymację policyjną Jury'ego

z lekkim przerażeniem, które nie ustąpiło nawet wtedy, kiedy ją zapewnił, że nie chodzi o nic strasznego. Wciąż patrzyła na niego niepewnie, jakby bojąc się, że wciągnie do środka nie tylko tę dziewczynkę, ale także wyziewy przestępczego Londynu, które pozostaną tu niczym patyna kurzu na drogocennej kolekcji.

W środku było tyle samo ludzi co na zewnątrz. Jury pokazał zdjęcie Jamesa Carltona Farradaya stróżowi pomieszczeń na parterze, nie spotkał się jednak z żadną reakcją z jego strony. Poszli więc na górę, do innych, niewielkich i przyjemnych pokoi - otynkowanych na biało, z belkowanymi sufitami. Stały tu meble z epoki elżbietańskiej oraz z czasów króla Jakuba, ale żadne z nich, niestety, nie należały do Szekspira (jak poinformował pielgrzymów przewodnik na górze), z wyjątkiem starego, poplamionego i podziurawionego pulpitu ze stratfordzkiej szkoły miejskiej, w której młody Will znosił istne udręki.

Jury podszedł do innego pilnującego ekspozycji starszego człowieka, który udzielał właśnie informacji jakiejś rozczochranej młodej kobiecie w szortach i sandałach. Opowiedział jej o oknie z oprawnymi w ołów szybkami, na których pierścionkami z brylantem wypisano nazwiska różnych znanych ludzi z późniejszych epok, po czym kobieta w sandałach oddaliła się.

- Ciekaw jestem - powiedział, wylegitymowawszy się, Jury - czy widział pan tutaj w poniedziałek rano pewnego małego chłopca.

Zagadnięty wydawał się zaskoczony tym, że ktoś pyta go, gdzie znajduje się coś, co nie jest żadnym meblem czy też szybą okienną. 1 że ten ktoś jest ze Scotland Yardu. Kiedy Jury pokazał mu zdjęcie w paszporcie, pokręcił głową.

- Wie pan - powiedział - podczas wakacji przychodzi tutaj mnóstwo dzieci w wieku szkolnym. Podobnie i teraz, pod koniec roku szkolnego. Kiedy człowiek tak na nich patrzy, zaczyna mu się w końcu wydawać, że wszyscy uczniowie są tacy sami. Jest ich tak wielu i zadają tyle pytań...

Kontynuował przez chwilę w tym duchu, udzielał nadmiaru wyjaśnień w obawie, że Scotland Yard mógłby podejrzewać, że to on zamknął tego chłopaka w stojącym tuż obok dębowym kufrze.

Jury wręczył mu wizytówkę, na której, nad numerem do Scotland Yardu, dopisał numer telefonu policji w Stratfordzie.

- Jeżeli pan sobie cokolwiek przypomni, nawet całkiem drobnego, proszę do mnie zadzwonić -

powiedział, a mężczyzna kiwnął głową.

W sklepiu, w którym pielgrzymi nabywali wszelkiego rodzaju elżbietańskie pamiątki - podkładki pod nakrycia stołowe, wycinanki przedstawiające teatr The Globe, pocztówki, obrazki i wisiorki - dochodzenie Jury'ego okazało się równie bezowocne, bo żaden z nagabywanych sprzedawców nie rozpoznał Jamesa Carltona Farradaya.

Jury stał teraz wraz z bardzo zmartwioną Penny przy głównej promenadzie, przy której rosły pigwowce i nieszpuka. Letnie powietrze pełne było zapachów kwiatów i ziół.

- Wie pan - odezwała się dziewczynka - wyczytałam w przewodniku, że mają tutaj wszystkie kwiaty, o których Szekspir pisze w swoich sztukach. Ciekawe, czy także rozmaryn - zastanowiła się, zakładając za ucho długi kosmyk włosów. - Rozmaryn to nie kwiat, prawda? - Spojrzała niepokojona na Jury'ego. - „Rozmaryn jest na pamiątkę”

Oto rozmaryn na pamiątkę; proszę cię luby, pamiętaj; a to bratki, żebyś o mnie myślał-, William Szekspir, Hamlet, akt IV, scena 5, dz. cyt., s. 178 (przyp. tłum.).

James Carlton Farraday miał już naprawdę dosyć roli porwanego.

Absolutnie się przy tym nie orientując, kto go porwał, gdzie go więzi, ani też po co to wszystko uczynił.

Z początku chłopiec nie miał nic przeciwko całej tej przygodzie. Teraz jednak był nią okropnie znudzony i zmęczony przesiadywaniem wciąż w tym samym pokoju, który jak na pomieszczenie na poddaszu był bardzo wysoki. Posiłki dostarczano mu na tacy, wsuwając ją przez podłużny, wycięty w drzwiach otwór. Zastanawiał się, czy nie siedzi w jakiejś wieży. Chociaż nie, pomyślał, przecież nie ma tu szczurów. Był natomiast kot, który z wielką determinacją wcisnął się przez szparę w drzwiach do środka, prawdopodobnie chcąc sprawdzić, jak to jest być porwanym. Był szary i miał białe łapki, a teraz spał zwinięty w kłębek w nogach żelaznego polowego łóżka. James Carlton dzielił się z nim swoimi posiłkami.

Jedzenie było całkiem w porządku, choć on, przynajmniej przez kilka dni, wolałby siedzieć o chlebie i wodzie. Uważał, że galaretkę, którą mu tu serwują w małej blaszanej foremce o wieczku ozdobionym różyczką, nie pasuje do sytuacji. A poza tym nie znosił przecież galaretki. Natomiast szary kot przeciwnie - lubił ją bardzo i zawsze wylizywał foremkę do dna. Pozostałe rzeczy, którymi tu karmiono, były niezłe, choć dostarczano je w niekonwencjonalny sposób. Całkiem różniący się od tego, który w domu stosowała jego niania, przynosząca mu na tacy do pokoju jajka na miękko i tosty. Rany, jak fajnie jest nie mieć z nią wreszcie do czynienia, pomyślał chłopiec.

Przeczytał w swoim życiu (tak w każdym razie uważał) dosłownie wszystkie książki o porwaniach, jakie kiedykolwiek napisano. Tak, czytał o ludziach uwięzionych w wieżach, a także o takich, których wywieziono na Wyspę Diabelską lub wtrącono do lochów, których schwytali Zulusi, których spuszczano do pełnych żmij dołów, a także pakowano do bagażników samochodowych. Miał na punkcie porwań obsesję, bo był przekonany, że porwanie było czymś, co przed laty przydarzyło się jemu i Penny. I nie miał przy tym pewności, czy to J.C. Farraday ich porwał. Prawdę mówiąc, sądził, że to nie on, bo J.C. nie

wyglądał na kogoś takiego. Natomiast Amelia Blue... O tak, ta to przywłaszczyłaby sobie wszystko, co nie jest przybite gwoździami. Nie wyłączając niemowląt. Z tym tylko, że Amelii Blue nie było wtedy nawet na horyzoncie. Być może on, James Carlton, wyglądał tak słodko, leżąc w swoim dziecięcym wózek przed sklepem, że ktoś go porwał i uciekł. Penny, choć taka inteligentna, wierzyła, że ich mama zmarła na tę dziwną chorobę, a on uważał, że to wielka bzdura. Sądził, że po tylu latach policja wciąż ich szuka - to znaczy jego i pewnie Penny - tylko że robi to po cichu. Był pewien, że jego prawdziwi rodzice nigdy nie zaprzestaną poszukiwań. Trudno im będzie go znaleźć, to prawda, bo Amelia Blue i J.C. zmuszają go do noszenia tych wielkich okularów. No a poza tym kiedy był jeszcze niemowlęciem, porywacze z pewnością ufarbowali mu włosy. Uważał tak, bo widział zdjęcie matki, a ta miała włosy jasnobrązowe, tak jak Penny.

James Carlton przez całe lata był tego wszystkiego świadom i znosił to z humorem. Nigdy też ani słowem nie pisał o porwaniu; nie pytał także, dlaczego nie pozwalają mu wrócić do domu. Teraz jednak ogarniała go wściekłość. No bo przecież jedno porwanie w życiu wystarczy. A on został porwany po raz drugi... Do diabła, lepiej by było dla tych porywaczy, żeby mieli dobry powód!

Szary kot leżał mu na piersi i drzemał. James Carlton zaczął głęboko oddychać. Kot bujał się w dół i w górę w rytm jego wdechów i wydechów. Aż w końcu, całkiem zdegustowany, zeskoczył na podłogę.

James Carlton wciąż obmyślał sposoby ucieczki, a poza tym nie miał nic do roboty. W pomieszczeniu, w którym go zamknięto, nie było oczywiście ani kredek, ani długopisów. Z całą pewnością z obawy, że mógłby napisać na karteczkę, że jest więziony w wieży, i wyrzucić karteczkę przez okno, by ktoś ją znalazł i przekazał policji.

Ale porywacze się przeliczyli, bo on dobrze wiedział, że człowiek powinien zawsze mieć przy sobie coś do pisania, i nosił gryzek ołówka w skarpetce. Taki ołówek był naprawdę czymś ważniejszym niż broń, bo mając go przy sobie, można wysłać policji sygnał SOS albo też Przekazać informację o tym, że jest się więźniem, którego porywacze przenoszą z miejsca na miejsce.

Gdyby sobie nie postanowił, że w przyszłości zostanie baseballistą (bo miał pewność, że baseballistą był jego prawdziwy ojciec), zostałby pewnie pisarzem.

Korespondentem zagranicznym. Bowiem pisząc, człowiek może zawsze zająć czymś umysł w chwilach nudy.

W pokoju, w którym go trzymano, wisiały różne kretyńskie obrazki. Wszystkie przedstawiały setery irlandzkie albo krowy na łące, albo inne rzeczy w tym rodzaju. James Carlton zdjął jeden z nich ze ściany - taki, na którym widniały krowy i pastuszek - po czym wyciągnął się na łóżku, a odwrócony obrazek oparł na kolanach. Następnie wyciągnął ze skarpetki gryzek ołówka i wziął się do pisania dalszego ciągu swojego dzienniczka. Nie było to zajęcie zbyt interesujące, jednak uważał, że musi je kontynuować, na wypadek gdyby porywacze przenieśli go w inne miejsce, a tutaj zjawiała się poszukująca go policja. Przedtem zaprowadził w obrazku pewne zmiany, które mogły stanowić wskazówkę dla policjantów: usunął podklejkę, wydarł z obrazka głowę pastuszka i krowy i umieścił je odwrotnie. Była to praca bardzo trudna i wymagająca ogromnej staranności. Wykonanie jej zajęło mu ponad dwie godziny. Nie miał

przecież kleju, a obie głowy pod szkłem wciąż się przesuwają. Wreszcie przyklepił je śliną i skończył robotę bardzo zadowolony. Pomyślał, że nikt ze stałych mieszkańców tego domu nie spostrzeże zmiany, bo ludzie nigdy nie zauważają obrazów wiszących na ścianach własnego domu. Natomiast funkcjonariusze Scotland Yardu to całkiem co innego, ci natychmiast to zauważą i w lot pojmą, że to jakaś wskazówka, po czym obejrzą obrazek dokładnie i znajdą zapiski na odwrocie.

A na odwrocie, na wyklejce, którą ostrożnie umieścił z powrotem na miejscu, wypisał ozdobnym pismem swoje nazwisko: James Carlton Farraday. Po czym kontynuował zapiski w dzienniczku.

7.13. Śniadanie. Jajka, bekon, płatki - wpisał drobnym drukowanymi literami w linijce poniżej opisu kolacji z poprzedniego wieczora, którą mu przyniesiono dokładnie dwadzieścia dwie po szóstej. Znał godzinę, bo zegarka mu nie zabrali.

Skończywszy z tym, zajął się ponownie planami ucieczki, zanotowanymi w porządku, w jakim zamierzał je wypróbować:

1. Udawać chorego - kiedy przyniosą posiłek, jęczeć i narzekać.
2. Kiedy ten ktoś będzie wsuwał w otwór w drzwiach tacę, chwycić go za przegub.
3. Zorientować się, w jaki sposób można by było uciec przez okno. Spuścić na dół kota????????

James Carlton przerwał, powiesił obrazek z powrotem na ścianie i zrobił kilka niskich przysiadów. Trzeba przecież było zachować dobrą formę. Pracując nogami, poboksował trochę z cieniem, a następnie zadał kilka markowanych ciosów szaremu kotu. Na co ten, przewróciwszy się na grzbiet, aczkolwiek bez specjalnego entuzjazmu, przypuścił atak na jego pięści. Zaraz jednak znudził się i obrócił na bok, a James Carlton zamarkował kolejne ciosy w inną stronę.

Przerwał walkę, gdy usłyszał kroki na schodach. Odgłos stawianej na podłodze tacy sprawił, że James Carlton wprowadził w życie plan numer jeden: położył się na ziemi i zaczął okropnie jęczeć i zawodzić.

W bardziej luksusowej części pubu „Pod Czarnym Łabędziem”, noszącej nazwę „Pod Zawianym Kaczorem”, panował spory tłok. Publiczność zdążająca na spektakl o siódmej trzydzieści racyła się tu kolacją i drinkami. Ciżba z tarasu przelewała się aż na schodki, a i w barze prawie brakowało miejsca - trudno było nawet unieść szklankę w górę.

Melrose, referujący właśnie Jury'emu teorię Schoen-berga, przerwał, żeby skosztować wina, którego odrobinę nalała mu przed chwilą do kieliszka ciemnowłosa kelnerka. Kiwnął głową z aprobatą, a ona napełniła kieliszki im obu i szybko odeszła.

- To najgłupsza teoria, jaką w życiu słyszałem - powiedział Jury. - Poproszę musztardę.

- Ale ja jeszcze nie skończyłem jej streszczać. No bo, posłuchaj tylko, potem ten facet stwierdził, że Szekspir musiał zabić Marlowe'a, bo inaczej Marlowe ukatrupiłby jego. - Melrose podsunął Jury'emu stoik z musztardą, którą nadinspektor okraślił zaraz cynaderki zapiekane w cieście. - A następnie, przy



pomocy tego swojego Ishiego, zabrał się do szekspirowskich sonetów...

- A któż to taki, ten Ishi?

- Taką nazwę nosi jego komputer.

- Chcesz przez to powiedzieć, że on taszczy ze sobą po Stratfordzie jakiś komputer?

- Oczywiście - odrzekł Melrose, krojąc pieczeń wołową. - Ten człowiek bez komputera nie potrafiłby nic powiedzieć. Twierdzi też, że istnieją już takie, z którymi można rozmawiać. Tak po prostu: prowadzić konwersację. Mnie by się zdecydowanie przydał taki dla Agathy. Przesiadują z nią przy podwieczorku podczas jej wizyt w Ardry End.

- Nie widziałem się z twoją ciotką od trzech lat - uśmiechnął się Jury.

-1 jeżeli masz odrobinę oleju w głowie, niech tak lepiej zostanie. Zresztą nie ma obawy, już ona cię wyśledzi. Na pewno poświęci na to czas po swoich spotkaniach z Biggetami.

- A kim są ci Biggetowie?

Jury podsunął Melrose'owi swój kieliszek, prosząc tym gestem o dolanie wina.

- To nasi amerykańscy kuzyni. Istnieją ich całe hordy. Mnie na szczęście, jak dotąd, udawało się ich unikać. Wziąłem pokoje w hotelu Falstaff, a ukochaną ciotunię wraz z Biggetami zostawiłem w hotelu Hathaway. Amerykanom się tam strasznie podoba. Oni lecą na takie pseu- dostylowe dziadostwo.

- Dziadostwo? - Jury się uśmiechnął. - To nie do końca tak. Przecież Hathaway to bardzo drogi hotel. Mówisz: «pokoje w hotelu Falstaff»? Ale ile ich wzięłeś?

- Wszystkie - odrzekł Melrose, a widząc pytające spojrzenie Jury'ego, dodał: - No cóż, po prostu musiałem tak zrobić, bo w przeciwnym wypadku z każdego okna tego hotelu wychylałyby się teraz jeden Bigget. Agacie powiedziałem, że udało mi się dostać ostatni pokój. Co w pewnym sensie nie odbiega od prawdy. Tak czy inaczej, jest ich tam zaledwie osiem czy dziewięć. Zamierzasz podjąć dalsze kroki w sprawie tego zaginionego chłopca?

- W tej chwili niewiele więcej mogę zrobić. Poszedłem z Penny do domu rodzinnego Szekspira. Penny to siostra tego chłopca, a on zniknął prawdopodobnie w drodze do tego domu. Nikt go tam sobie nie przypominał. Tak czy inaczej, to sprawa sierżanta Laski - zakończył Jury, po czym przez dobrą chwilę panowało milczenie, a myśli nadinspektora zaczęły krążyć wokół innych tematów.

- Nie miałeś okazji poznać lady Kennington, prawda? - zagadnął obojętnym tonem, choć miał wątpliwości, czy zmyli Melrose'a Planta.

- Nie, nie. Ja ją tylko widziałem. A kiedy, to pewnie dobrze pamiętasz. To ładna kobieta.

- Chyba tak. Mieszka teraz w Stratfordzie.

- Naprawdę? Przypomina mi Vivian Rivington.

Jury'emu dotychczas nie przyszło to do głowy. Jednak Plant miał rację. Między tymi kobietami istniało pewne podobieństwo. Jury uświadomił sobie, że Plant patrzy teraz na niego nieco zbyt uważnie, więc odwrócił wzrok. Myśl o Vivian Rivington wytrącała go z równowagi.

- Miałeś od niej wiadomości? Czy Vivian nadal jest we Włoszech? - zapytał.

- Czasami dostaję jakąś pocztówkę z gondolą - odrzekł Melrose. - Wspominała coś o powrocie do Anglii-

- Poproszę o chleb - odezwał się Jury po krótkim milczeniu.

- Jakież romantyczne podejście! Ja mówię o Vivian, a pan nadinspektor na to: „Poproszę o chleb”.

Melrose podsunął Jury'emu koszyczek z chlebem, a ten w tej samej chwili, patrząc w stronę drzwi, powiedział:

- O do diabła!

Melrose pobiegł spojrzeniem za jego wzrokiem i dostrzegł stojącego w drzwiach pustoszejącej sali, z której goście wychodzili już do teatru, dość korpulentnego, smutnego jegomościa. Patrzył w ich stronę, a następnie, powiedziawszy coś do hostessy, ruszył pod prąd wychodzących.

- O wilku mowa... - mruknął Jury i cisnął na stół serwetkę.

Sierżant Sammy Lasko stał teraz przed nimi, a na jego twarzy malował się wyraz, zdaniem Jury'ego, nieszczerzej skruchy.

- Kłopoty, Richardzie - powiedział.

- Usiądź, Sam. I napij się wina albo kawy - odrzekł Jury. - Wyglądasz na wykończonego.

- Nie mam czasu. - Lasko pokręcił głową. - Chociaż to wszystko wygląda nieźle - dodał, spoglądając tęsknie na ich talerze.

- W moim odczuciu wyglądało nieźle, ale tylko do chwili kiedy ty tutaj wkroczyłeś. Coś nowego w sprawie chłopaka Farradayów?

Lasko, obracając w rękach melonik, pokręcił ze smutkiem głową.

- Obawiam się, że nic. A poza tym... jest jeszcze gorzej...

Plant i Jury spojrzeli po sobie w milczeniu.

- Coś mi się zdaje, że dzisiaj nie będę się cieszył w teatrze niczym towarzystwem - odezwał się

wreszcie Melrose.

- No dobrze, Sammy... - Jury poddał się z westchnieniem. - O co tym razem chodzi?

- O morderstwo - odrzekł Lasko, wciąż wpatrując się w kawałek wołowiny.

Jury i Melrose wlepili w niego wzrok, a potem znowu spojrzeli po sobie.

- Daj mi mój bilet, proszę. Umówmy się, że podczas antraktu spotkamy się przy barze - powiedział w końcu Jury i wstał.

- Nie sądzę, żebyśmy w połowie Hamleta mieli już rozwiązanie zagadki - zauważył Sam Lasko z wyrzutem.

- Hamlet też tak nie sądził - odparł Jury. - Chodź już, idziemy.

Gwendolyn Bracegirdle - powiedział Lasko, patrząc na miejsce w damskiej toalecie, w którym jeszcze niedawno leżało ciało zamordowanej kobiety, po czym, wraz z portfelem denatki, podał Jury'emu zrobione przez policyjnego fotografa zdjęcie. - Była w strasznym stanie.

Jury w białym blasku żarówki zobaczył twarz, na której malował się wyraz jakiegoś na poły błazeńskiego zaskoczenia. Kiedy otworzył portfel, wypadła z niego podłużna plastikowa wkładka z paroma kartami kredytowymi. Diner's Club, Visa, American Express oraz jedna z sieci stacji benzynowych. W portfelu było też sporo gotówki - co najmniej dwieście funtów.

- Nie był to napad rabunkowy - powiedział Lasko, patrząc przed siebie spojrzeniem bez wyrazu i trąc po-

deszwą buta o chodnik. - Po co ona, u diabła, kręciła się w środku nocy koło publicznych toalet?

- Kiedy ją znaleźliście? - zapytał Jury, patrząc na jedną z fotografii.

Widać na niej było, że w chwili śmierci kobieta prawie się śmiała. Było to naprawdę okropne, zwłaszcza że jej głowa oddzieliła się niemal od tułowia. A poza tym, tak jakby mordercy cięcie od ucha do ucha nie wystarczyło, pod piersią denatki zaczynało się drugie, biegnące w dół, aż do kości łonowej. Jury pomyślał, że krew musiała po prostu tryskać niczym fontanna, choć na zdjęciach wyglądała tak, jakby zdążyła już wyschnąć, bo przypominała bardzo grubo nałożoną szpachlę farbę na płótnie obrazu.

- Kilka godzin temu - odrzekł Lasko. - Lekarz twierdzi, że zginęła wczoraj w późnych godzinach nocnych. Wszystko to - wskazał szerokim gestem miejsce krwawej jatki - zdarzyło się koło północy

- I ktoś ją tak po prostu znalazł? No cóż, tak sądzę, w lipcu do kościoła zagląda mnóstwo turystów.

- Ale turyści nie korzystali z toalet. Była awaria. Wisiała taka wywieszka. - Sierżant wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że toalety naprawdę nie działały.

- Ileż tu krwi. Zabójca musiał nią być cały urna- zany...

- Z pewnością. Znaleźliśmy stary płaszcz przeciwdeszczowy wrzucony do śmietnika. Szukamy na nim odcisków palców, ale to jeden z tych gładkich. No i tanich. Można taki kupić dosłownie wszędzie. Cholernie trudno na nim coś znaleźć. - Lasko wetknął do ust wykałaczkę ' pokazał Jury'emu małą białą wizytówkę, oświetlając ją latarką. - Może byś poszedł ze mną do tego pensjona-

tu? Nazywa się Diamond Hill. Pogadałbyś tam z właścicielką?

- Mówiłem ci już, Sam, to nie jest mój... - zaczął Jury

- A co myślisz o tym? - przerwał mu Lasko i pokazał kopię programu teatralnego z Jak wam się podoba.

U dołu, napisany starannym pismem, widniał dwuwiersz:

Szczejnie piękność każdej rzeczy,

Czas ją skazi i zniweczy;\*

- Co o tym sądzisz, Richard? Sprawdzamy oryginał. Szukamy na nim odcisków. Ale tak na początek: czy twoim zdaniem to ona to napisała?

- Moim zdaniem nie.

- Też tak uważam. Wygląda to raczej na wiadomość dla nas.

- Dla ciebie, Sammy - odrzekł Jury, stanowczym ruchem zwracając kopię programu. - Dla ciebie. Ja muszę wracać do Londynu. Nie pamiętasz?

Jednak Sam Lasko wciąż upierał się przy swoim:

- Uważam, że powinieneś pójść ze mną.

- Sammy, nikt nie prosił o naszą pomoc.

- Na razie. Jednak jestem pewien, że firmie Honey- suckle Tours przydałaby się wasza pomoc. - Lasko poruszył w ustach wykałaczką. - No wiesz, chodzi o tę wycieczkę objazdową, w której uczestniczył chłopak Farra-

Thomas Nashe, Litania w czasie zarazy, w: Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci. Antologia w wyborze, przekładzie i opracowaniu Stanisława Barańczaka, Wydawnictwo Znak, Kraków 1993, s. 80 (przyp. tłum.).

daya. - Lasko wsunął program teatralny z powrotem do koperty. - A także Gwendolyn Bracegirdle.

Sam Lasko dał Jury'emu chwilę na przetrwanie tej informacji, po czym wyjął i przekartkował notes.

- To niesamowite nazwisko, prawda? Na jego dźwięk człowiekowi przychodzi na myśl stare Południe, Tara i wszystkie takie rzeczy. Byłeś w Ameryce, Jury?

Pytanie okazało się całkiem retoryczne, bo Lasko, nie czekając na odpowiedź, zaczął wyliczać:

- Tę firmę turystyczną prowadzi niejaki Honeycutt. Pewnie stąd wzięli nazwę. Poszukujemy tego człowieka od chwili, gdy znaleźliśmy ciało denatki. Facet gania gdzieś po Stratfordzie. Ale dotarliśmy już do Farradayów. Według J.C., który niewiele mówi, oprócz nich i Honey- cutta w tej wycieczce uczestniczą jeszcze cztery osoby: niejaka Lady Dew z bratanicą, noszącą też niesamowite imię Cyclamen, a także George Cholmondeley, który robi w kamieniach szlachetnych, i Harvey L. Schoenberg...

-Schoenberg?

- Znasz go?

- Nie. Ale zna go facet, z którym jadłem właśnie ko- lację.

- Naprawdę? - Lasko zamknął notes i spróbował pokierować krokami Jury'ego, prowadząc go najprawdopodobniej do pensjonatu noszącego nazwę Diamond Hill.

- Myślałem, że jak skończymy w pensjonacie...

- My skończymy? My? - zapytał z naciskiem Jury.

Skapitulował już jednak. Wiedział, że tam pójdzie.

Taką samą wiedzę miał Sam Lasko i dlatego nie zadał

sobie nawet trudu, żeby odpowiedzieć na pytanie nadinspektora.

- Więc pomyślałem - mówił dalej - że może zajrzałyś też do hotelu Arden, gdzie mieszka Honeycutt, i porozmawiał z nim albo przynajmniej dowiedział się, gdzie on się, u diabła, podział...

- Sammy - powiedział w ciemności Jury - mówiłem ci już...

- Richard - odrzekł Sam Lasko, kręcąc głową i wznosząc ramiona do nieba. - Miej na uwadze to, że w tej toalecie była okropna masakra. Sądziś, że ja nie mam wystarczająco dużo roboty...?

- Nie, nie sądzę - przerwał mu Jury.

Szli uliczką, którą na skrót można się było dostać z teatru na peryferie miasta, gdzie pełno było hotelików oferujących noclegi ze śniadaniem.

- Casablanca. To był dopiero film! Widziałeś go, prawda?

Jury przystanął, zapalił papierosa i powiedział:

- Nie wbij sobie tylko do głowy, Louis, że to jest początek pięknej przyjaźni.\*

Parafraza cytatu z filmu Casablanca (przyp. tłum.).

Prowadząca pensjonat Diamond Hill pani Mayberry nie uczyniła najmniejszego wysiłku, żeby zmienić opinię Jury'ego o kobietach zarządzających tego rodzaju przybytkami.

- No przecież nie mam pojęcia - odpowiedziała na jego pytanie o Gwendolyn Bracegirdle. - Przyjechała z jedną z tych wycieczek objazdowych. Miała pokój na samej górze - niewielki, ale przytulny. Z umywalką z gorącą i zimną wodą i łazienką w korytarzu. Kosztował ją siedem funtów za dobę, z pełnym angielskim śniadaniem, wliczając podatek.

Mówiła tak, jakby policja zjawiła się u niej jedynie po to, żeby wynająć pokój.

A Jury miał swój pogląd - wiedział, jak wygląda takie pełne angielskie śniadanie: sok pomarańczowy z puszki, płatki kukurydziane, jedno jajko oraz, przy odrobinie szczęścia, kawałek bekonu i wodnisty pomidor „z grilla”. I tylko Oliwer Twist miałby odwagę poprosić o więcej\*.

Karol Dickens, Oliwer Twist, przeł. Agnieszka Gliniczanka, PIW, Warszawa 1958, s. 20 (przyp. tłum.).

81

- Kiedy ją pani widziała po raz ostatni? - zapytał Lasko sennym tonem.

- Koło szóstej. Chyba tak. Wróciła, żeby przed kolacją zrobić toaletę. Turystki mają taki zwyczaj. - Wchodzili teraz po schodach, pani Mayberry przodem, z pękiem kluczy, a fotograf policyjny i człowiek od odcisków palców zamykali pochod. - No to jesteśmy. - Pani Mayberry odsunęła się na bok, otwierając drzwi. - To naprawdę szokujące. - Jury przyjął, że komentuje w ten sposób morderstwo, a nie stan małego pokoiku o prawie nagich ścianach. - Po prostu okropność.

Tym razem komentarz dotyczył nie tyle tragicznej śmierci Gwendolyn Bracegirdle, ile bezczelności tej kobiety, która, goszcząc tutaj, skompromitowała pensjonat.

Pokój znajdował się na najwyższym piętrze, a niewielkie mansardowe okno zdawało się zaprojektowane tak, żeby raczej chronić przed letnimi powiewami, niż wpuszczać je do środka. Łóżko - właściwie coś w rodzaju połówki - przykryte narzutą z szenili, stało pod ścianą. Z przeciwległej ściany natomiast sterczała umywalka. A poza tym w pokoju był tylko obciążony perkalem fotel bez poręczy i stare dębowe biurko, na którego blacie panna Bracegirdle starannie poukładała swoje rzeczy: kilka stoiczków z kremami, grzebień i szczotkę do włosów, małe zdjęcie w srebrnej ramce. Jury, nie chcąc

wchodzić w drogę ludziom Laski, nie widział twarzy przedstawionej na zdjęciu osoby. Jednak ta próba zabierania z sobą małej części domu wydała mu się czymś smutnym. Zresztą pokoje ofiar morderstw zawsze działały na niego przygnębiająco. Ponieważ wyszkolono go w bardzo dokładnym przyglądaniu się przedmiotom, przedmioty stawały się dla niego czującymi istotami. Łóżko gotowe przyjąć ciężar czyjegoś ciała, lusterko gotowe spojrzeć komuś w twarz, grzebień gotowy dotknąć czyichś włosów. Obecność Gwendolyn Bracegirdle przyłgnęła do tych rzeczy niczym zapach, mimo że kobieta mieszkała w tym pokoju zaledwie kilka dni.

- Może byś porozmawiał z właścicielką? - zwrócił się Lasko do Jury'ego, patrząc błagalnie i zamierzając przeszukać szuflady.

- Oczywiście - odrzekł Jury.

I tak już tu był.

Pani Mayberry, siedząc w pokoju śniadaniowym, pełniącym też rolę salonu, pokrzepiała się właśnie filiżanką herbaty. Stojąca na kredensie, osłonięta różowym kloszem lampa o słabej żarówce sączyła skąpe światło. Jury, gdy spojrział na kredens, przekonał się, że się nie pomylił co do śniadań, jakie się tutaj jada. Na blacie stały rzędem pudełka płatków kukurydzianych, a tuż obok szereg malutkich szklaneczek, do których można było nalać dosłownie po jednym łyku soku. Oprócz kredensu były tu także trzy okrągłe stoły, każdy w otoczeniu niepasujących do siebie krzesel. Na stołach natomiast tłoczyła się zbieranina pojemniczków z niepasującymi do okazji przyprawami. Musztarda na śniadanie? - zdziwił się Jury.

- Przyjechała w sobotę - powiedziała pani Mayberry. - O tej samej porze co małżeństwo spod dziesiątki. Ona oczywiście nie znała tej pary, przyjechała oddzielnie.

- A czy się tutaj z kimś zaprzyjaźniła?

- Wie pan, właściwie... nie wiem. Z reguły nie przebywam wśród gości. Rano jestem zawsze w kuchni, bo w dzisiejszych czasach trzeba dobrze pilnować personelu. Posiłek musi być taki, jak powinien, a pokoje dokład-

nie wysprzątane. Śniadanie na gorąco, jajka i tak dalej, trzeba przygotować wcześniej. Z tym, że oni wszyscy przychodzą zawsze o tej samej porze. Podajemy od wpół do ósmej, ale wszyscy goście dzień w dzień wmaszerują do jadalni punkt dziewiąta. - Pani Mayberry, kręcąc głową, odgarnęła z czoła kędzierzawe włosy. - Doba hotelowa kończy się u mnie o jedenastej, a pościel musi być zaraz zmieniona.

Jury, który słuchając tego wszystkiego, czuł się jak podczas rozmowy kwalifikacyjnej w związku ze staraniem się o posadę, przerwał jej potok słów:

- Jestem pewien, proszę pani, że wykonuje pani bardzo trudną pracę. Ale chciałbym wiedzieć, czy był tu ktoś, kto przebywał z panną Bracegirdle i spędzał z nią choć trochę czasu.

- Możliwe, że ta pani rozmawiała z Patsy, która podaje do stołu, a także trochę pracuje na górze.

Patsy dzisiaj zawiadomiła mnie telefonicznie, że jest chora. Za taką bezczelność miałam ochotę dać jej wymówienie.

- Czy przebywając tutaj - zapytał Jury, przerywając to sprawozdanie - panna Bracegirdle odbierała jakieś telefony?

- Nie, nie. A przynajmniej ja o żadnych nie wiem. Mógłby pan o to zapytać Patsy, bo przeważnie to ona podnosi słuchawkę.

Księga gości, którą pani Mayberry z dumą przyniosła ze stolika w holu, leżała teraz otwarta przed Jurym. Patrząc na mały, ozdobny podpis Gwendolyn Bracegirdle, powiedział:

- Sarasota na Florydzie.

- Tak, na Florydzie - potwierdziła pani Mayberry i wskazała palcem butelkę keczupu. - Sprowadzamy go stamtąd bardzo dużo. Ostatnio na Florydę jeździ bardzo wielu Anglików, bo podobno jest tam strasznie tanio. Co do mnie, to nie miałabym nic przeciwko krótkim wakacjom. No ale, jak pan widzi, mam tutaj mnóstwo pracy i dlatego nigdy nie udaje mi się wyjechać.

- Musimy porozmawiać z innymi gośćmi pani pensjonatu - oznajmił Jury - bo są dowody na to, że w chwili tego... wypadku... który ją spotkał, panna Bracegirdle była w czymś towarzystwie...

- Z moimi gośćmi? - zapytała z wyrazem przerażenia na twarzy. - Nie chce pan przez to powiedzieć...

- Nic nie chcę przez to powiedzieć. Zbieramy po prostu informacje - zapewnił Jury, ale kobiecie nie chodziło wcale o to, że być może gości u siebie mordercę.

- Ale proszę pana, mój pensjonat nie zostanie opisany w gazetach, prawda? Przecież tutaj nigdy nic się nie działo...

Jury, słysząc to, przypomniał sobie własne słowa. Te, którymi pocieszał Farradaya: „W Stratfordzie nigdy nic się nie dzieje”.

- Staramy się zawsze bardzo, żeby sprawa nie dostała się do gazet.

- To dobrze, bo nie chcę, żeby to zszargało reputację mojego pensjonatu. Moje interesy zostałyby narażone na szwank. A przecież Amerykanie wciąż tu przyjeżdżają, mimo wzrostu kosztów podróży. Stratford nie traci popularności. Przeciwnie, jego popularność rośnie. W sezonie turystycznym, proszę mi wybaczyć to wyrażenie, jest tutaj po prostu piekło.

- Chcielibyśmy, żeby pani była uprzejma to podpisać - powiedział Lasko, kiedy ponownie zjawił się na dole i kiedy funkcjonariusz z wydziału śledczego oddalił się już z walizką pełną rzeczy osobistych denatki. - Zapieczętowaliśmy oczywiście jej pokój.

- Zapieczętowaliśmy! - zirytowała się pani Mayberry. - Ale ja mam gości, którzy go zarezerwowali.

No cóż, nawet krew spływająca ulicami Stratfordu nie ma prawa zakłócać biegu interesów, pomyślał



Jury.

- Nie może go pani wynająć, dopóki nie obejrzymy go znacznie dokładniej.

- No pięknie! A co ja tym ludziom powiem?!

- Może to, że ostatnia lokatorka tego pokoju została pocięta brzytwą? - zasugerował delikatnie Lasko.

Szerokie schody i foyer Królewskiego Teatru Szekspirowskiego były wprost nabite. Patrząc na tłum publiczności, Jury gotów był się założyć, że na widowni nie ma wolnych miejsc i że ludzie z wejściówkami upatrzili już sobie jego pusty fotel i tylko czekają, żeby go zająć.

Melrose Plant, wciśnięty w kąt baru obsługującego widzów, wręczył nadinspektorowi kieliszek koniaku.

- Byłem na tyle przewidujący - powiedział - żeby zamówić drinki, zanim kurtyna poszła w górę.

Jury kilkoma łykami upił trochę koniaku.

- W tej chwili kurtyna opadła. Chodźmy.

Plant co prawda bąknął coś o tym, że nie chce stracić drugiej części świetnego Hamleta, jednak nie potrafił ukryć, że z wielką chęcią przeciska się wraz z Jurym przez tłum, choć nie ma pojęcia, dokąd się udają czy do kogo.

Owo „dokąd” okazało się typowym stratfordzkim adresem - hotelem Arden.

Ale „do kogo” szli? O, to była całkiem inna sprawa.

Moi przyjaciele - powiedział Valentine Honeycutt, przy czym wyraz jego oczu świadczył, że chce do ich grona zaliczyć Jury'ego i Planta - moi przyjaciele mówią do mnie Val.

- A moi - odparł Melrose - mówią do mnie Plant.

- O! - zawołał Honeycutt podekscytowany. - Zwracają się do pana po nazwisku? Wobec tego musi pan być okropnie ważny!

-Okropnie - potwierdził Melrose, kładąc laskę ze srebrną gałką na stole obok krzesła, na którym usiadł.

Valentine Honeycutt poprawił fałdy kanarkowej apaszki, która zakwitała w rozchyleniu jego koszuli w wążutkie zielone i żółte paski. Niebieska lniana marynarka współgrała z kolorem jego oczu przypominającym błękit nieba. W sumie, patrząc na niego, człowiek miał wrażenie, że spaceruje po elżbietańskim ogrodzie, w którym rośliny zaaranżowane są na wzór misternego haftu.

Założył jedną nogę w stylowo wygniecionej lnianej nogawce na drugą, w sposób charakterystyczny dla kogoś, kto ma skłonność do prowadzenia konwersacji za pośrednictwem mowy ciała.

- Co mogę dla panów zrobić? Może papierosa?

Zakreślił łuk dłonią, w której trzymał papierośnicę.

- Przyszliśmy, żeby zapytać pana o tę wycieczkę objazdową, którą pan prowadzi - powiedział Jury.

- Dla firmy Honeysuckle Tours. Zgadza się. Prowadzę. Jest tu gra słów, nawiązująca do mojego nazwiska. Ta nazwa ma też związek z siedzibą firmy w Atlancie, w Georgii. Co roku w czerwcu firma organizuje sześciotygodniową objazdówkę: Londyn, Amsterdam, wieś angielska, i znów Londyn. Stratford jest zawsze w programie. Amerykanie uwielbiają to miasto. Teatr i cała ta reszta, rozumie pan.

- Jest to wycieczka sześciotygodniową? Chyba zatem bardzo droga?

- Rzeczywiście.

- Obawiam się - powiedział Jury - że mam dla pana raczej złe wieści.

Białawe brwi Honeycutta powędrowały pytająco w górę. Równocześnie jego błękitne oczy zachowały niewinny wyraz, a on sam aż się cofnął. Wyglądał teraz trochę jak anioł, który potknął się o dziurę w obłoku.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- No tak, obawiam się, że tak. Stało się coś złego pewnej uczestniczce pańskiej wycieczki. Niejakiej pannie Bracegirdle...

- Gwendolyn?

- Tak. To dość poważny wypadek. Panna Bracegirdle nie żyje.

- Nie żyje! Boże miłosierny! Wiem, że skarżyła się na bóle w... Ale pan powiedział „wypadek”?

- Panna Bracegirdle została zamordowana.

To, co teraz nastąpiło, wyglądało tak, jakby Honeycutta z rustykalnego krzesła, na którym siedział w wystudiowanej pozie, poderwały jakieś niewidzialne ręce.

- Co takiego? Ja nic z tego nie rozumiem...

Jury'emu natomiast wydawało się to dość łatwe do zrozumienia.

- Panie Honeycutt, co pan robił wczoraj wieczorem? - zapytał.

Honeycutt spoglądał teraz to na niego, to na Melrose'a Planta wzrokiem tak mało inteligentnym, że Jury zaczął się zastanawiać, jak on sobie w ogóle radzi z kolejowym rozkładem jazdy.

- Ja? No cóż, byłem w teatrze. Jak chyba wszyscy.

- Był pan tam z kimś?

- Nie. Nie. Poszedłem tam sam. Na Jak wam się podoba. To było... - zaczął i zamilkł, a Jury przez chwilę obawiał się, że w celu zapewnienia sobie alibi zamierza im opowiedzieć treść sztuki.

- Pomyśleliśmy, że może mógłby pan rzucić jakieś światło na znajomych panny Bracegirdle... Czy ona знаła kogoś w Stratfordzie... Interesują nas takie rzeczy...

- Nie. Nie - brzmiała odpowiedź Honeycutta, który nie zdołał wyjąkać nic więcej.

- A wśród uczestników wycieczki miała jakichś znajomych?

Teraz Honeycutt bardzo nerwowo palił.

- Boże - powiedział - to dla nich będzie okropne. Niech no tylko dowie się o tym Donnie. Donnie to moja współpracowniczka. Z Atlanty.

No cóż, jak widać, ludzi biznesu nic nie jest w stanie odwieść od myślenia o interesach, zauważył w duchu Jury.

- Z kim z pańskiej wycieczki panna Bracegirdle była w najbardziej przyjaznych stosunkach? A czy pan sam... Czy pan znał ją dobrze?

- Nie! - padła natychmiastowa odpowiedź. - To znaczy... nie lepiej niż inni.

- Kiedy ją pan widział po raz ostatni?

- No cóż - odrzekł, odzyskując do pewnego stopnia spokój. - Chyba... wczoraj.

- Nie ma pan zwyczaju mieć swoich klientów na oku?

- Ależ nie! Wcale! Czasami nie widuję ich przez kilka dni z rzędu. Nasze wycieczki są niekonwencjonalne. Po pierwsze, żeby w nich uczestniczyć, człowiek musi należeć do paskudnej kasty bogaczy...

- Panna Bracegirdle też do niej należała? - przerwał Jury.

Honeycutt odżył już na tyle, żeby parsknąć śmiechem.

- Ależ oczywiście.

- Ale przecież mieszkała w tanim pensjonacie. Diamond Hill.

- To nie ma żadnego znaczenia. Panna Bracegirdle po prostu taki pensjonat wybrała. Bo widzi pan, to jest kolejna osobliwość naszych wycieczek. My nie mamy zwyczaju na ileś miesięcy naprzód zamawiać dla wszystkich tego samego okropnego hotelu. Nasi klienci sami wybierają, gdzie będą mieszkali. My im tylko doradzamy. No i wykonujemy całą czarną robotę - tu zaczął znowu kręcić się nerwowo - to znaczy robimy rezerwacje. Kochana Gwen chciała po prostu zakosztować prymitywu, udawać przed samą sobą,

że mieszka wśród zwykłych ludzi... No wie pan, co mam na myśli. Innymi słowy, nie chciała iść do Hiltona. Jest zbyt amerykański, stwierdziła.

Dlatego zainstalowaliśmy ją w tym dziadowskim małym pensjonaciku. - Wzruszył ramionami. - Tak, była bogata. Co więcej, była milionerką... Chyba że się mylę... moim zdaniem, miała forsy jak lodu. Musiała ją mieć, bo, może mi pan wierzyć albo nie, nasze wycieczki są niemal tak drogie, jak rejs na „Queen Elizabeth 2”. Ogłaszamy się tylko w magazynach z wyższej półki. Tutaj w „Country Life”. A w Stanach w „New Yorkerze”. Proszę mi wierzyć, nie organizujemy żadnych prymitywnych objazdów rozklekotanymi autobusami, w których gniecie się kilkadziesiąt osób. Mamy oczywiście autokar, ale bardzo nowoczesny, z szerokimi fotelami i barkiem, w którym są posiłki i drinki. A jeżeli kogoś zmęczy podróż autokarem, oferujemy mu opcje innego rodzaju. Na przykład wypożyczamy dla naszych uczestników samochody, pilnując przy tym, żeby były odpowiedniej jakości, i opisując dokładnie trasę. Bo my, proszę pana, mamy podejście bardzo osobiste. A ja na dodatek szanuję moich bliźnich na tyle, żeby im nie wmawiać, że hotel, w którym na przystawkę podaje się supę pomidorową z puszki, serwuje haute cuisine. Jeżeli chodzi o wyżywienie, to jesteśmy na poziomie pięciu gwiazdek Michelina.

- Szanuje pan swoich bliźnich, proszę pana? - uśmiechnął się Jury.

- A także każde cztery tysiące funciaków, które wpłacają - odrzekł Honeycutt, odwzajemniając się promiennym uśmiechem. - Mam też szacunek dla siebie. I dlatego nie zapędzam tych ludzi do zdezelowanych autobusów, nie gonię ich po muzeach i galeriach, nie zakwate- rowuję ich, i siebie, w pełnych karaluchów hotelikach, gdzie żywi się gości rybą z frytkami. Nie zabieram ich też na żadną z tych koszmarnych wysp na Karaibach, gdzie jest pełno much, ale nie działają wentylatory i gdzie palmy są rzadkością, ale obsługa wyciąga bez przerwy rękę po napiwek. Nie, nie, kochani. Dzięki. To nie dla mnie. My w naszej firmie szukamy dla naszych klientów równowagi pomiędzy zależnością a niezależnością. Mogą spędzać czas, jak chcą, mogą wykupywać cały towar ze sklepów albo godzinami celebrować kolacje. Farradayowie na przykład - ten wspaniały facet naprawdę jest dziany - otóż Farradayowie nie mogliby się obejść bez wszystkich tych wygód, basenów i barów...

- No tak. A kiedy po raz ostatni widział pan syna państwa Farradayów?

- Jamesa Carltona? Hmm. - Honeycutt, zastanawiając się nad tym, przyglądał się Melrose'owi Plantowi. - To chyba musiała być niedziela. Albo poniedziałek. Tak, poniedziałek. A dlaczego pan pyta? Chłopak znowu zwał?

- Nie jest pan tym zaskoczony?

Honeycutt parsknął śmiechem.

- On wiecznie gdzieś znika, a potem wraca w podartym ubraniu. Wygląda za każdym razem tak, jakby stoczył zwycięską bitwę ze stadem rekinów. Ich córka, Honey, to dziewczyna de luxe... A Farraday nie zwrócił się do policji? Nie poprosił, żeby poszukała Jamesa Carltona?

Jury odpowiedział na to kiwnięciem głowy.

- Chłopiec po raz ostatni był widziany podczas śniadania w poniedziałek.

- Rzeczywiście. Ja też sądzę, że to był poniedziałek. No cóż, nie zwróciłem na niego specjalnej uwagi. On zawsze kręci się gdzieś w pobliżu. Niech pan zapyta o niego Penny, jego siostrę. To jedyna osoba, z którą chłopak rozmawia. W jakimś ich własnym języku - dodał bez większego zainteresowania.

- A wracając do panny Bracegirdle, czy pan ją widywał w czyimś towarzystwie? Może przebywała z George'em Cholmondeleyem? Skoro był z nikim niezwiązany...

- No cóż, proszę pana, jeżeli już o to chodzi, to ten człowiek z całą pewnością nie był związany ze starą poczciwą Gwen - Honeycutt aż zachnął się na taką sugestię. A potem dodał, wydymając wargi: - W jego typie byłaby raczej Amelia Farraday.

- A Harvey Schoenberg?

- No, no. Pan naprawdę wziął nas wszystkich pod lupę.

- Ja tylko pytam - uśmiechnął się Jury. - No więc, co z Schoenbergiem? Rozumiem, że on też ma pieniądze.

- Ma własną firmę komputerową. Ma pan pojęcie, ile w tym biznesie jest pieniędzy? Oczywiście, Gwen go znała, ale nie potrafię panu powiedzieć, czy... - Honeycutta nagle olśniło. - Zaraz, zaraz, panie nadinspektorze, chyba pan nie sugeruje, że Gwen wykończył ktoś z naszych...? To przecież niedorzeczne - odrzucił natychmiast tę hipotezę.

- Nie, nie. Niczego nie sugerowałem. Po prostu szukam rozwiązania tej zagadki. - Jury wstał, a Melrose Plant wziął laskę. - Ale firma Honeysuckle Tours ma jakiegoś twardego konkurenta.

Honeycutt, słysząc to, opadł z sił. Żółta apaszka przygasała, Iniana marynarka jakoś obwiła.

- O Boże - wyjąkał.

Okropne - powiedział Melrose Plant, kiedy znowu znaleźli się na ulicy.

- Zgadza się - odrzekł Jury. - Jak byś się zapatrywał na to, żeby jutro odwiedzić panie Dew, które zatrzymały się w hotelu Hathaway. Gdybyś do nich poszedł, ja tymczasem pogadałbym z tym George'em Cholmondeleyem.

- Hm - powiedział Melrose Plant. - Lady Dew. A dlaczego to właśnie ja mam rozmawiać z utytułowanymi?

- Bo na to zasługujesz - uśmiechnął się Jury. - No a Honeycutt... Ciekawe, jaka jest ta jego współpracowniczka z Atlanty.

Melrose przystanął w ciemnej ulicy, gdzie z trudem można było dostrzec niewielki szyld hotelu Falstaff.

- Nie wiem. Ale myślę, że ty potrafisz ich dokładnie rozpracować.

Sir George Flanders, starszy nadinspektor z policji hrabstwa Warwickshire, był wysokim mężczyzną, górującym wzrostem nad sierżantem Lasko. Jednak nad Jurym - mimo usilnych starań - nie górował. Przybywszy na miejsce, nie chciał usiąść, nie chciał nawet zdjąć płaszcza przeciwdeszczowego. Zachowywał się tak, jakby jego niecierpliwość miała skłonić podwładnych do energiczniejszego działania i doprowadzić do choćby nawet pozornego rozwiązania zagadki. Takie w każdym razie sprawiał wrażenie, stojąc w centrum koordynacyjnym, spoglądając gniewnie na plan Stratfordu i wspominając o ambasadzie amerykańskiej. Dał całkiem jasno do zrozumienia, że minęła już cała doba, a Lasko nie zdołał nawet zbliżyć się do rozwiązania zagadki i że on sam nie ma najmniejszej ochoty powiedzieć o tym stanie rzeczy amerykańskiemu konsulowi.

Chodziło przecież aż o dwie sprawy.

- Morderstwo i zaginięcie dziecka - powtórzył po raz któryś, tak jakby pragnął, wzorem czarownic z Makbeta, uwolnić się od tych okropnych zdarzeń poprzez ciągle powtarzanie. - Morderstwo i...

- Nie ma powodu sądzić, że chłopiec się nie znajdzie. Uciekał rodzinie już przedtem, więc nie zdziwiłbym się, gdyby pojawił się w hotelu w ciągu najbliższych kilku godzin. - Lasko spojrzął na swój cyfrowy zegarek tak, jakby chciał ich tu wszystkich zatrzymać do chwili, gdy potwierdzi się to przypuszczenie. - Nie ma powodu łączyć tych dwóch...

- Oczywiście, że nie - przerwał sir George, patrząc na sierżanta z paskudnym uśmiechem. - Może się okazać, że są to dwa morderstwa - dodał, mierząc go wręcz śmiercionośnym spojrzeniem.

Lasko, być może dlatego, że chciał naśladować sir George'a manifestującego brak inklinacji do zdjęcia wierzchniego okrycia, miał wciąż na głowie melonik, nasunięty na czoło.

- Naprawdę jest za wcześnie, żeby...

- Za wcześnie? Powiedźcie to ludziom z ambasady. Człowieku, to są A m e r y k a n i e! - Sir George wygłosił to tak, jakby Lasko nie odróżniał narodowości. - Jedynie łasce boskiej i powolności brytyjskiej prasy zawdzięczamy, że ta cholerna sprawa nie została jeszcze nagłośniona. Dostaję gęsiej skórki na myśl, jak zareagowaliby amerykańscy turyści w tym mieście...

Wzdrygnął się, jakby ta demonstracja uczuć mogła przyspieszyć działanie podwładnych.

Jury nabrał wody w usta i nie powiedział, że Anglicy potrafią zmanifestować taki sam temperament jak Amerykanie i że tym ostatnim gwałty, przemoc, morderstwa oraz porwania nie są bynajmniej nieznanne, choć z drugiej strony zgadzał się z sir George'em, że prasa amerykańska działa bez pudła i relacjonuje zdarzenia niemal z wyprzedzeniem.

Jakby czytając w jego myślach, sir George odwrócił w stronę Jury'ego swoją głowę siwowłosego i bardzo przystojnego wásacza:

- A panu powiem, panie nadinspektorze, że po rozmowie z konsulem dość długo konferowałem przez

telefon z pańskim szefem... Jak on się nazywa?

- Racer.

- A tak, Racer. No cóż, proszę pana, my nie prosiliśmy o pomoc pańskiego wydziału.

- Wiem o tym - uśmiechnął się Jury i pomyślał, że Lasko będzie musiał się wytłumaczyć ze swego manifestowanego ostatnio przywiązania do stratfordzkiego wydziału kryminalnego.

- Poprosiłem nadinspektora Jury'ego - odezwał się Lasko spod nasuniętego na czoło kapelusza - żeby poszedł i porozmawiał z Farradayem, bo ten facet okropnie się awanturował. Nie chciał mieć do czynienia z miejscowymi glinami, tylko ze Scotland Yardem. W ich pojęciu jedyną na świecie policją poza FBI jest Scotland Yard. Nie słyszeli nawet o francuskiej S?reté ani o...

- Tak, tak, tak, już dobrze - powiedział sir George z niecierpliwym gestem, przerywając ten przegląd policji świata. - Pan Jury jest tak uprzejmy, że nam pomaga. Jednakże - tu ponownie zwrócił się do Jury'ego - pański szef jest trochę niezadowolony z tego, że pan angażuje się nieoficjalnie...

Sir George mówił dalej, cytując uwagi Racera, ale Jury kompletnie się wyłączył, bo przecież znał to wszystko na pamięć.

Wyglądało na to, że po skończeniu perory sir George jest zadowolony, że udało mu się dać dobitnie do zrozumienia, iż policja hrabstwa Warwickshire wciąż potrafi zajmować się własnym rewirem. Zaraz też, choć niechętnie, skinął głową w stronę Jury'ego.

- Pański szef mówi, że musi pan do niego zadzwonić.

- Oczywiście, zrobię to.

Jury bez wątpienia nie kiwnąłby palcem bez instrukcji starszego nadinspektora Racera. Jasne, że zamierzał do niego zadzwonić.

- Z pewnością między zamordowaniem tej kobiety i zniknięciem chłopca istnieje jakiś związek. Bo istnieć musi - powiedział ponuro sir George.

Jury zgadzał się, ale milczał.

- Kto jeszcze uczestniczył w tej cholernej wycieczce? I kto ją zorganizował?

Lasko przejrzał swój leżący na stole notes.

- Człowiek nazwiskiem Valentine Honeycutt jest dyrektorem...

- Boże miłosierny, ależ ci Amerykanie lubują się w wyszukanych imionach.

- On nie jest Amerykaninem - powiedział Lasko. - To Brytyjczyk.

Sir George odchrząknął.

- Tak czy inaczej, to pan z nim porozmawia.

Lasko, nie patrząc na Jury'ego, kiwnął tylko głową, po czym objaśnił swemu szefowi, jak wyglądają wycieczki organizowane przez firmę Honeysuckle Tours.

- Co z innymi uczestnikami?

- Oprócz rodziny Farradayów, których jest pięcioro, Lady Dew z bratanicą, niejaki George Cholmondeley...

- Tylko mi nie mówcie, że to też Amerykanie.

- Nie, nie. Lady Dew z bratanicą mieszkają na Florydzie od...

- A czy ta Bracegirdle pochodziła z tego samego miejsca co one?

- Nie. Sarasota to nie to samo co Tampa.

Sir George odchrząknął po raz drugi.

- I to już wszyscy?

- Jest jeszcze niejaki Harvey Schoenberg. - Lasko zamknął notes. - Wygląda na to, że był najbliżej z chłopakiem Farradayów, ale twierdzi, że nie widział go od kilku dni. A poza tym nikt z tej wycieczki nie był zaprzyjaźniony z tą Bracegirdle. Tego jestem pewien.

- Nie znaleziono jeszcze żadnych dowodów. - Ciężkie westchnienie sir George'a zabrzmiało tak, jakby ciało Gwendolyn Bracegirdle znaleziono nie przed dwudziestoma czterema godzinami, lecz przed dwoma tygodniami. - Oprócz tego. - Wziął do ręki program teatralny. - Co, u diabła, morderca mógł mieć na myśli, pisząc:

Szczejnie piękność każdej rzeczy,

Czas ją skazi i zniweczy;

Sir George pokręcił głową.

- Co to niby ma być? - zapytał.

- Wiersz - odrzekł Lasko, wycierając nos dużą chusteczką.

Sir George zmierzył go lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Wiem, że to wiersz, do diabła. Moje pytanie brzmi: ..Co to za wiersz" i „dlaczego"?

Lasko wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale...



- Nie podoba mi się ta historia, bo wygląda na to, że jest to wiadomość. A ja nie lubię wiadomości pozostawianych dla policji na miejscu zbrodni.

Jury też ich nie lubił. Ta kartka zmroziła mu krew w żyłach, bo była sygnaturą, swego rodzaju liścikiem miłosnym, jakie psychopaci w typie Kuby Rozpruwacza lubią pisać do policji.

Co więcej, problem polegał na tym, że tego rodzaju mordercy rzadko poprzestawali na jednym takim liściku.

Cyclamen Dew demonstrowała fałszywie niebiański, aż nazbyt skromny sposób bycia osoby, która nie będąc urodzona do świętości, została do niej zmuszona.

Siedząc w barze hotelu Hathaway obok ciotki, owdowiałej lady Violet Dew, ta nieatrakcyjna, koścista kobieta od jakiegoś czasu informowała Melrose'a o swoim życiu, malując obraz, na który składały się kolejne sceny cierpienia, katastrof, niewykorzystanych możliwości oraz marzeń obróconych w proch wskutek konieczności ciągłego zajmowania się ową ciotką.

Lady Violet natomiast była milczącą starą damą

O groźnym spojrzeniu, która - w batystowej czarnej sukni, w koronkach, obwieszona wisiorami - siedziała podczas tej przydługiej perory zgarbiona, chrapliwie oddychając.

- No i jak pan pewnie zauważył - powiedziała wreszcie Cyclamen, po raz chyba setny wzruszając ze smutkiem ramionami - człowiek bierze innych takimi, jakimi •eh widzi.

Melrose nie znał innego sposobu patrzenia na ludzi

1 miał nadzieję, że to jej stwierdzenie stanowi już koniec i że będzie mógł teraz wprowadzić własny temat. Ale okazało się, że nie. Cyclamen zmieniała tylko biegi.

Nastąpił bowiem kolejny wdech, a po nim dalszy ciąg przemowy.

- Moim skromnym marzeniem było zawsze służyć...

- Chciała pani zostać pokojówką? - zapytał z niewinną miną Melrose.

- O Boże, człowieku, nie! - roześmiała się Cyclamen. - Chodzi o zakon. Ale, jak pan widzi... - Tu nastąpił gest ręki wykonany w stronę dostojnej wdowy, która ani na chwilę nie odrywała czarnych oczu od Melrose'a. Zaraz jednak Cyclamen się zmitygowała albo też uznała ciotkę za znakomity dar losu i zmieniła śpiewkę. - No ale, oczywiście - powiedziała - czy może być wspanialsze powołanie i wspanialsza służba niż to, co ja robię dla cioci?

Ciocia, słysząc to, zareagowała, zdaniem Melrose'a, w jedyny rozsądny sposób.

- Zamów mi dżin - zażądała.

- Ależ ciociu, wiesz przecież, jaki jest na ten temat pogląd doktora Sackville'a. Nie wolno ci pić

alkoholu. Filiżankę dobrej herbaty...

W tej chwili hebanowa laska trzasnęła w stołową nogę.

- Nic mnie nie obchodzi, co gada ten pazerny stary przyk... - oznajmiła dostojna dama, po czym zwróciła się do Melrose'a: - Czy pan wie, że on w Tampie nie przepuścił żadnej babie... - a następnie do Cyclamen: - Dżin, powiedziałam. Podwójny.

Melrose wstał z zamiarem przyniesienia drinka, ale lady Dew powstrzymała go gestem dłoni.

- Niech pan siedzi. Ona go przyniesie. Co pana tu sprowadza, młody człowieku?

Cyclamen potrafiła rozpoznać, kiedy ciotka jest zła, zatem, rumieniąc się, ruszyła w stronę baru. A Melrose zdziwił się nieco, że nie zrobiła tego na kolanach.

- Przeprowadzam małe śledztwo dla policji - odrzekł. - Nie, nie, sam nie jestem policjantem, ale nadinspektor Jury ze Scotland Yardu poprosił mnie, żebym tu przyszedł.

Jej grube ciemne brwi zbiegły się pod nawisem szopy siwych włosów, a pozbawione sztucznej szczęki usta zapadły się, wskutek czego zakrzywiony nos spotkał się prawie z wystającą brodą. Wyglądało na to, że pod względem fizycznym lady Dew jest na skraju załamania. Jednak pod względem mentalnym rzecz przedstawiała się całkiem inaczej.

-Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ktoś zabił tę dziwkę Amelię Farraday - oznajmiła.

Melrose'a jednak by to zdziwiło.

- Czy chce pani przez to powiedzieć - zapytał - że ma pani jakiś powód, żeby podejrzewać, że ktoś z państwa wycieczki znajduje się w niebezpieczeństwie?

- Wspominał pan coś o policji, prawda?

- A... tak. Ale w rzeczywistości to ma związek z Gwen- dolyn Bracegirdle...

- Z tą kretynką? A co ona zmalowała? Nie wyobrażam sobie, żeby wdąca się w coś z jakimś facetem... no bo z jej wyglądem... A wie pan, ta Amelia... - przerwała, bo w tej chwili wróciła jej bratanica ze szklaneczką w dłoni.

- Naprawdę, ciociu, nie powinnaś opowiadać o ludziach takich rze...

- Oj, zamknij się. Mówię, co mi się podoba. Pochowałam trzech mężów; dwa razy zrobiłam wielkie pieniądze i dwa razy je traciłam; pięć razy mnie aresztowano;

próbowałam wdrapać się na kolumnę Nelsona i tańczyłam nago na trawie przed Crystal Pałace; cudzołożyłam z większością książąt w Europie...

Cyclamen zamknęła oczy.

- Nie podniecaj się, ciociu.

- A wiesz, że bardzo, ale to bardzo bym chciała jeszcze móc się podniecić. Więc o co chodzi z tą Brace- girdle? - zapytała, wychylając jednym haustem połowę swego nierozcieńczonego dżinu.

- Z Gwendolyn? - odezwała się Cyclamen z pytającym spojrzeniem. - Co z nią?

- Właśnie mówiłem lady Dew. Pannie Bracegirdle przytrafił się... wypadek. Dość poważny. Ona nie żyje.

Lady Dew nie wyglądała na specjalnie wstrząśniętą, ale Cyclamen, irytująco rozdygotana, zaczęła zasypywać Melrose'a gradem pytań.

- Nie - przerwał jej w końcu Melrose. - To było morderstwo.

Słowa te prawie zachwyciły staruszkę, która smakowała swoje podniecenie niczym dżin. Młodsza kobieta natomiast wykonała doskonałą imitację godnego zasznurowanej w gorset panny omdlenia.

- Och, daj spokój, Cyclamen. Kobięcina nie żyje i na tym koniec - powiedziała lady Dew, po czym ze świeżym zainteresowaniem zwróciła się do Melrose'a: - Zbrodnia na tle seksualnym, co?

- Policja nie ma co do tego pewności.

- No cóż, ja mogłabym ich oświecić. Jeżeli chodzi o te sprawy, to Gwendolyn one nie dotyczą. Nie zorientowałyby się nawet wtedy, kiedy jakaś propozycja pchałaby jej się w ręce. Proszę mi wierzyć, znam się na tym.

Kiedy pochyliła się ku niemu i położyła mu swoją zniekształconą artretyzmem, upierścienioną dłoń na kolanie, Melrose zmusił ją do cofnięcia jej, proponując papierosa. Cyclamen przypomniała sobie co prawda natychmiast o zaleceniach doktora Sackville'a dotyczących palenia, jednak lady Dew zapaliła.

-Co mogą mi panie powiedzieć o reszcie uczestników tej wycieczki? - zapytał Melrose, odsuwając się z krzesłem poza zasięg rąk starej damy.

-Nic.

- Mnóstwo.

- Och, ciociu, doprawdy...

- Zamilcz, moja droga.

- Nic oprócz zwykłych plotek.

- No to co, że to plotki!

Gdyby kanonada tych odpowiedzi dokonana się za pomocą prawdziwej amunicji, Melrose zginąłby na miejscu.

Paląc i zanosząc się kaszlem, stara dama przysunęła swoje krzesło do krzesła Melrose'a.

-Widział pan - zagadnęła - całą tę bandę Farradayów? Tę babę Amelię, co najmniej dwadzieścia lat młodszą od niego? Przecież powód tego ożenku jest całkiem oczywisty. - Lady Dew gestem dłoni narysowała w powietrzu damską sylwetkę. - A córeczka tak samo zdzirowata jak mamuśka. W Amsterdamie mieliśmy niezłe przedstawienie, kiedy obie ocierały się o tego Cholmondeleya. Poznał go pan?

Cyclamen, na której twarzy malował się wyraz godnej pomnika cierpliwości, położyła dłoń na szponias- tych palcach ciotki. Jednak ciotuchna natychmiast ją strąciła.

- Oj, Cyclamen, nie udawaj niewiniątka. Po tym, co sobie kombinowałaś.

- To nieprawda! - wrzasnęła Cyclamen, po raz pierwszy reagując adekwatnie do sytuacji.

Na dźwięk jej podniesionego głosu kilka osób siedzących w półmroku przy barze obejrzało się. Na co Cyclamen wstała z krzesła i oznajmiła, że okropnie boli ją głowa, a następnie odmaszerowała, najprawdopodobniej do swojego pokoju.

- Akurat. „Nieprawda” - powiedziała lady Dew, wachlując się energicznie i odprowadzając bratanicę wzrokiem.

Melrose zastanowił się, czy intensywność dokuczliwości starej damy nie jest wprost proporcjonalna do stopnia, w jakim młodszą tę dokuczliwość akceptuje.

- Proszę mi postawić jeszcze jeden dzin, a opowiem panu wszystko - powiedziała wesoło lady Dew.

- Z przyjemnością - odrzekł Melrose.

- Cholmondeley i ta żona Farradaya dosłownie się do siebie kleili. Widziałam to na własne oczy na tarasie tego hotelu w Amsterdamie, w którym zatrzymała się część uczestników naszej wycieczki. - Lady Dew delectowała się tą historią w równym stopniu jak dzinem, który postawił przed nią Melrose. - Amelia Farraday dużo gada o tym, że zanim poznała starego, występowała jako aktorka. A ja panu powiem: ona owszem występowała, ale tam, gdzie dziewczyny produkują się z wachlarzami i ubrane tylko w pióra.

Własny czarny wachlarz lady Dew poruszał się coraz szybciej w miarę narastania pikantności przekazywanych przez nią plotkarskich szczegółów.

- Pionowo czy poziomo?

Wachlarz znieruchomiał.

-Jak to?

Melrose uśmiechnął się.

- Powiedziała pani, że się do siebie kleili. Zastanawiałem się tylko, w jakiej pozycji.

Lady Dew zrozumiała, zachichotała, zamknęła z trzaskiem wachlarz i trzepnęła nim Melrose'a w kolano.

- Oj, bardzo mi się pan podoba - oznajmiła. - Zdradza pan żonę? - dodała przyciszonym głosem.

- Nie mam na to szansy. Nie jestem żonaty - odrzekł, a gdy jej świdrujące oczka na to zabłyśły, wrócił do wcześniejszego wątku: - Czy pani sugerowała, że pani bratanica interesowała się panem Cholmondeleyem? Mnie ona wydaje się na to zbyt... uduchowiona.

- Niech pan nie będzie idiotą - uśmiechnęła się lady Dew złym uśmieszkiem. - Cyclamen? Ona? Przecież ona jest... - Nie dokończyła i zmieniła temat: - A ten stary Farra-day nie jest w ciemną bity - wróciła do swojej opowieści. - Zrobił fortunę na węglu. Wie pan, kopalnie odkrywkowe. No i zna różne pikantne historyjki, to muszę mu przyznać. A także limeryki. Zbieram limeryki. Zna pan może jakieś?

Melrose zaczął się zastanawiać, czy uda mu się nakłonić tę kobietę do skupienia się na morderstwie.

- Znam parę. Ale mogę się założyć, że dla pani są za mało pikantne.

- Niech pan to sprawdzi. - Wpadnięte usta wygięły się w czymś, co stanowiło jej własną wersję sprośnego uśmieszku. - Wie pan, młody człowieku, powinien pan Przyjechać na Florydę i trochę opalić te swoje świeżutkie angielskie policzki.

- Raczej tego nie zrobię, bo niestety, łatwo ulegam Poparzeniom słonecznym. Proszę pani...

- To nic nie szkodzi. Mógłby pan zamiast opalania pochodzić ze mną na wyścigi. Pokazałabym panu, jak obstawiam. Posłalibyśmy Cyclamen do diabła i zabawilibyśmy się we dwoje na całego. - Klepnęła go po kolanie. - Niech pan nie myśli, że jestem niedołączna. Potrafię dojść do okienka, zanim bukmacherzy...

- Niczego nie pragnąłbym bardziej - przerwał jej Melrose. - Ale teraz proszę mi coś powiedzieć... o Gwendo-lyn Bracegirdle.

- To była kobiecina całkiem bezbarwna. I wie pan, to jej gadanie! „Mamusia to”, „mamusia tamto”. Ona naprawdę miała ze sobą problemy.

- Ale musiała się przyjaźnić z niektórymi uczestnikami wycieczki.

- Właśnie, „przyjaźnić się”, to dobre słowo. Ze wszystkim, co się rusza, jeżeliby mnie ktoś pytał. - Melrose zrobił zaintrygowaną minę, na co Lady Dew klepnęła go po udzie i powiedziała: - No, wie pan. Kobiety, mężczyźni i może od czasu do czasu jakieś zwierzę. A tak na poważnie: lubiła Schoenberga. No, tego, który lata z tą swoją zwariowaną maszyną. Tylko że on nie wyglądał na zainteresowanego. Jest tak zajęty tą swoją informatyką, że nie ma czasu na kręcenie z babami. To nie jest zły chłop, tylko głupi. Nosi koszule w aligatory i okropne muszki. Dużo rozmawiał z chłopakiem Farradayów. No, tym Jamesem jakoś tam. Zresztą tylko ten chłopak jest zdolny go zrozumieć. Ja nie rozumiałam z tego, co on gadał, ani słowa. Są na świecie ciekawsze rzeczy niż ta jego gadanina. Zgodzi się pan chyba ze mną - dodała z

mrugnięciem.

- Chłopak Farradayów zaginał.

- No i co z tego? - wzruszyła ramionami. - On wciąż gdzieś znika. Szczerze? Moim zdaniem robi to dlatego, że nie znosi tej swojej rodzinki. Zresztą czy można go za to winić? Jego siostra, ta Penny, też ich wszystkich nie cierpi. Proszę pana, chłopak się znajdzie. Nie ma obawy.

- A czy pani nie wie o nikim z waszej wycieczki, lub z miejscowych, kto mógł pannie Bracegirdle życzyć śmierci?

- Boże drogi! Nie! Moim zdaniem Gwendolyn nie wadziła nikomu. Nie mam oczywiście pojęcia, co robiła tutaj, w Stratfordzie. Nie widziałam jej od kilku dni. Pod tym względem ta wycieczka bardzo mi się podoba. Każdy może chodzić własnymi drogami.

Tu znowu puściła oko do Melrose'a.

A on wstał pospiesznie i wziął papierośnicę oraz laskę. Lady Dew i morderstwo jakoś nie szły w parze. Czuł, że chętnie uciałby sobie pogawędkę z Kubą Rozpruwaczem.

- Dziękuję pani za to, że poświęciła mi pani tyle czasu...

- Mów mi Vi... O, do diabła! Już tu idzie. Ta moja świątobliwa „Dama z lampą”.

Cyclamen, wyleczona już z bólu głowy, szła przez salę z miną osoby zdeterminowanej do ostateczności.

- Jedzonko, ciociu Violet, jedzonko - zaintonowała.

- Przynieś mi jeszcze dżinu.

Melrose, pożegnawszy się grzecznie, wyszedł tymi samymi drzwiami, przez które tu wkroczył.

Odniesienie do Florence Nightingale (1820-1910), angielskiej pielęgniarki i działaczki społecznej, uważanej za twórczynię nowoczesnego pielęgniarstwa. „Dama z lampą” nazwano ją w reportażu z wojny krymskiej opublikowanym przez londyński „The Times”; określenie spopularyzował Henry Longfellow w wierszu Santa domena (1857) (przyp. tłum.).

Jury zastał George'a Cholmondeleya w jadalni hotelu Welcombe, przy narożnym stoliku skąpanym w delikatnym jak mgiełka świetle, które napływało przez wysokie okno, znajdujące się za jego plecami.

- Pan Cholmondeley? - Przystojny mężczyzna podniósł na Jury'ego wzrok. - Jestem nadinspektor Jury z wydziału dochodzeniowo-śledczego Scotland Yardu. Czy mógłbym z panem porozmawiać?

Cholmondeley z lekkim uśmiechem wskazał krzesło naprzeciwko siebie.

- A gdybym odmówił, pan odwróciłby się na pięcie i odszedł?

Jury odwzajemnił jego grymas uśmiechem całkiem szczerym.

- Ale pan nie odmówi, prawda? Już wcześniej rozmawiał z panem sierżant Lasko.

Cholmondeley kiwnął głową.

- Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty? - zapytał całkiem uprzejmie.

Ubrany we włoski jedwabny garnitur, w dobranym do koloru oczu brązowoszarym odcieniu, Cholmondeley był mężczyzną naprawdę przystojnym. Jasne włosy i cera, szczupłe jak u artysty palce, zajęte w tej chwili usuwaniem ości z pstrąga, pewien rodzaj godnego dekadenta rozleniwienia - wszystko to z pewnością przyciągało kobiety. Obok chłodziła się butelka Chateau Haut-Brion Blanc.

Ten człowiek z całą pewnością nie jest jakimś tam urzędnikiem z klasy średniej, który przez cały rok musi oszczędzać na dwutygodniowe letnie wakacje, pomyślał Jury.

Podziękował za kawę i herbatę, a gdy Cholmondeley podniósł butelkę, żeby ponownie napełnić kieliszek, także za wino.

- Więc, proszę pana, chciałbym wiedzieć, jak dobrze znał pan Gwendolyn Bracegirdle - zagadnął.

- Prawie wcale jej nie znałem - odrzekł Cholmondeley. - Jednak, co oczywiste, bardzo przejąłem się tym, co się z nią stało.

Nic nie świadczyło, by ten fakt wpłynął jakoś na jego apetyt. Ryba wyraźnie mu smakowała.

- A jakie były jej stosunki z innymi uczestnikami wycieczki?

Cholmondeley, jakby nieco zaintrygowany, podniósł wzrok.

- Nie potrafię powiedzieć. Spędzała dość dużo czasu z panią Dew. To znaczy z tą młodszą z dwóch pań o tym nazwisku. - Cholmondeley oderwał kawałek bułki i posmarował go masłem. - A dlaczego pan akurat to chce wiedzieć?

Jury wzruszył ramionami. Nie chciał rozbudzić nadmiernej czujności swego rozmówcy, który wtedy zacząłby się jeszcze bardziej pilnować.

- No cóż - powiedział - od czegoś przecież musimy zacząć.

Cholmondeley zmarszczył brwi.

-Więc dlaczego nie zaczniecie od ciemnej strony stratfordzkiego życia? Od listy najbardziej poszukiwanych przestępców? Dlaczego zaczynacie od uczestników naszej wycieczki? No i dlaczego zajmuje się tym Scotland Yard? Mnie się zdaje, że w Warwickshire są wystarczająco sprawne siły policyjne.

- To prawda, tutejsza policja jest bardzo sprawna. A odpowiadając na pańskie pytanie... Życie w Stratfordzie pozbawione jest raczej ciemnej strony. Oczywiście sprawdzamy wszelkie możliwości. Jednak

człowiek skłania się ku przekonaniu, że morderstwa zdarzają się zwykle blisko domu.

- Być może, ale my przecież nie jesteśmy w domu. - Cholmondeley spałaszował resztę ryby i wyjął papierośnicę. - Mam na myśli to, że dziwi mnie, że pan... tak to przynajmniej wygląda... że waszym zdaniem to ktoś z nas miał z całą tą sprawą coś wspólnego.

Zdaje się, że Lasko trochę za wiele zasugerował podczas swojej rozmowy z tym człowiekiem.

- Jest stanowczo za wcześnie, żebyśmy mieli wyrobione zdanie na ten temat, proszę pana.

Bystre spojrzenie Cholmondeleya świadczyło, że nie wierzy w ani jedno padające z ust Jury'ego słowo. Zapalił papierosa i z pozoru całkiem zrelaksowany, opadł na oparcie krzesła.

- Jednak - ciągnął Jury - z pewnością uczestnicy wycieczki, w których otoczeniu przez miesiąc przebywała panna Bracegirdle, mogliby rzucić światło na jej charakter, osobowość, przyzwyczajenia, przyjaciół...?

- Inni być może. Ale nie ja. Ja z nią raczej nie miałem bliskich kontaktów - powiedział Cholmondeley i spojrzął przez zalane światłem okno, sprawiając wrażenie, że ich rozmowa dotyczy spaceru po hotelowych ogrodach.

- A z kim pan miał bliższe kontakty? - zapytał uprzejmie Jury. - Może z panią Farraday?

Pytanie to spowodowało pożądaną przez Jury'ego reakcję. Cholmondeley - który do tej pory był zbyt gładki, zbyt obojętny i co za tym idzie, zbyt pewny siebie - porządnie się zirytował.

- Słucham pana?! Kto to panu zasugerował?

Strzał Jury'ego najwyraźniej był celny. W przeciwnym razie bowiem Cholmondeley nie przypuszczałby, że ktokolwiek cokolwiek sugerował. Komuś, kto choćby raz widział Amelię Farraday, trudno by było uwierzyć, że ona i Cholmondeley nie czuli wzajemnego pociągu. Taki drobny wycieczkowy romansik, w chwili nieuwagi Farraday, był tu rzeczą bardzo prawdopodobną.

- Nikt - odrzekł z uśmiechem Jury. - Naprawdę nikt. Powiedziałem tak, bo pani Farraday to zdecydowanie bardzo atrakcyjna kobieta.

- A także zdecydowanie zamężna.

- Czy w dzisiejszych czasach to cokolwiek znaczy?

Cholmondeley nie odpowiadał. Milczał odwrócony, spoglądając w okno.

Jury postanowił porzucić ten temat.

- Czy wyglądało na to, że ktoś z uczestników wycieczki nie lubi panny Bracegirdle? - zapytał.



- Jeżeli o mnie chodzi, to nic o tym nie wiem. Dla mnie ona nie była osobą, którą się lubi lub nie. Sądzę jednak, że była trochę zbyt... żywiołowa. Wie pan, za dużo paplaniny, za dużo gadania...

- Więc jednak pan z nią rozmawiał?

- No cóż, oczywiście. Na przykład o pogodzie.

Cholmondeley, zniecierpliwiony, strzepnął popiół z papierosa na szklaną popielniczkę.

- Czy wśród uczestników wycieczki były jakieś animozje?

- Tylko zwykłe sprzeczkę i drobne zawiści. Coś, czego można się wśród ludzi spodziewać zawsze.

- Nigdy nie byłem na takiej wycieczce. Więc nie wiem, czego się można spodziewać wśród jej uczestników.

- Widzę, panie nadinspektorze, że bierze pan wszystko bardzo dosłownie.

- No cóż, nigdy nie spotkałem się z tym, żeby sprawę morderstwa rozwikłano za pomocą metafor.

- No dobrze - westchnął ciężko Cholmondeley. - Oczywiście, były kłopoty z chłopcem... zresztą z dziećmi zawsze są kłopoty. Wie pan, mówię o synu Farradaya, Jamesie Carltonie... chyba tak ma na imię. No więc, chłopak lubił się gubić.

- Hm. Wygląda na to, że zdarzyło mu się to ponownie.

Cholmondeley nie wyglądał na zbytnio zaskoczonego.

- Oni są do tego przyzwyczajeni - powiedział. - To znaczy jego rodzice. Już ze dwa razy nieźle się natrudzili, usiłując go odnaleźć. Cudaczny chłopak - dodał lekceważąco, dając do zrozumienia, że to nie jego problem. - A poza tym jest ta, mówiąc najogólniej, dość okropna lady Dew. Lady Violet Dew.

- Nie miałem przyjemności...

- To żadna przyjemność, zapewniam pana. Ta pani mieszka na Florydzie, a do Anglii przyjeżdża raz na rok, żeby postawić krewnych do raportu. Ci ludzie muszą być naprawdę zachwyceni faktem, że to ona kontroluje kasę.

- Zwierzała się panu?

- Nie tylko mnie. Zwierzała się wszystkim po kolei.

- A co pan powie o Schoenbergu?

- To dziwny facet - odrzekł Cholmondeley, dolewając sobie wina. - Trudno z nim rozmawiać, bo mówi przeważnie żargonem komputerowym. Różne RAM-y i ROM-y, i tak dalej. Ale z tym małym Farradayem

porozumiewa się bardzo szybko. To niezmiernie inteligentne dziecko, muszę powiedzieć. Nie dziwię się, że tyle razy przechrzył swoich rodziców.

- A Farraday?

- Farraday? To raczej miły facet. Choć, jak na mój gust, trochę zbyt hałaśliwy. Ma mnóstwo pieniędzy, które prawdopodobnie zrobił zbyt szybko, i nie wie, w jaki sposób w odpowiednim tempie je wydawać. Jego córki oczywiście nienawidzą się nawzajem. Żal mi tego brzydkiego kaczątka.

- Ma pan na myśli Penny?

Cholmondeley uniósł jedną brew.

- No przecież nie tę panienkę o buzi jak krew z mlekiem - powiedział i popatrzył na Jury'ego tak, jakby gust tamtego, jeżeli chodzi o kobiety, był taki sam jak w kwestii krawatów - to znaczy całkiem nieciekawym.

- Miał pan jakieś kłopoty z Honey Belle? - uśmiechnął się Jury.

- Teraz pan sugeruje, że molestuję dzieci?

- Myślałem o molestowaniu wychodzącym nie od pana, ale od drugiej strony

Tym razem uśmiech Cholmondeleya okazał się bardziej szczery.

- No cóż, było tego trochę.

-Ale nie ze strony panny Bracegirdle? Ona nie sprawiła panu żadnych kłopotów?

Cholmondeley spojrział na Jury'ego z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia.

-Ależ nie! Mój Boże, nie. Chce pan powiedzieć, że nikt tego nie wyczuł, tylko ja?

- Nie wyczuł? To znaczy czego?

- Gwendolyn jest... to znaczy była... jak to się mówi, lezzie. Podobnie jak Cyclamen Dew.

Jury'emu przyswojenie tej informacji zajęło dobrą chwilę.

- I to dlatego, pańskim zdaniem, czasami gdzieś się razem wypuszczały?

Było oczywiste, że Cholmondeley, pokrzyżowawszy Jury'emu w ten sposób plany, naprawdę świetnie się bawi.

-Sugeruję tylko, że jeżeli panna Bracegirdle miała rozbieraną randkę, to niekoniecznie z mężczyzną.

- Cholmondeley, z wyrazem całkowitej obojętności, ponownie spojrział w okno. -1 nie próbuję sugerować z kim.

Aha, akurat, pomyślał Jury

- Skąd ma pan taką co do tego pewność? To znaczy, że obie są... były... lesbijkami.

- Mój drogi panie - odrzekł Cholmondeley tonem sugerującym, że ma do czynienia z kimś nad wyraz naiwnym - wystarczyłoby, żeby pan tylko na nie popatrzył.

- Moje pierwsze spojrzenie na Gwendolyn Brace- girdle nie nasunęło mi żadnych takich myśli - powiedział lodowatym tonem Jury.

Cholmondeley miał tyle przyzwoitości, by lekko poczerwieniec.

- No tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale...

Jego głos wydawał się odpluwać wraz z pasemkiem dymu z papierosa, którego zgniótł w popielniczce. Znowu się zarumienił.

- Chce pan powiedzieć, że żadna z nich nie zainteresowała się panem?

Cholmondeley kiwnął głową.

- Nie twierdzą, że mam charyzmę Micka Jaggera...

- No, ale Mick Jagger jest już trochę podstarzały - uśmiechnął się Jury.

Nie potrafił się zdecydować, czy lubi tego człowieka, czy czuje do niego niechęć. Wiedział jedno: Cholmondeley prześlizgiwał mu się przez palce niczym piękny włoski jedwab, z którego uszyty był jego garnitur.

- To prawda, przyznaję. A co do mnie, to nie próbowałem nikogo czarować. Kobiety mnie lubią, to wszystko. Ale te dwie nie przyjmowały nawet do wiadomości, że istnieję.

Wyglądało to na proste stwierdzenie faktu: kobiety go lubią. Jury nie był zaskoczony Zastanawiał się tylko, do jakiego stopnia Cholmondeley ten fakt wykorzystuje.

- Inaczej niż Amelia Farraday, prawda? Czy nawet jej córka?

- Na litość boską - prychnął Cholmondeley. - Ja nie mam potrzeby sięgać po niemowlęta. A co do pani Farra- day, to naprawdę nie rozumiem, jaki to ma związek...

- Mogłoby pewien mieć. Doceniam pański takt. Jednak to mogłoby być ważne... to znaczy ważna mogłaby się okazać pańska relacja z panią Farraday.

- Dlaczego? Co to ma z czymkolwiek wspólnego?

- O tym to już raczej my zadecydujemy. - Jury wzruszył ramionami.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, do czego pan zmierza. Czy mam wezwać na pomoc mojego adwokata?

Jury obdarzył go idealnie niewinnym uśmiechem.

- A sądzi pan, że powinien?

- Wie pan, panie nadinspektorze, że naprawdę potrafi pan wytrącić człowieka z równowagi? Nie wygląda na to, że chce mnie pan zastraszyć. A jednak...

- No cóż, założę się, że jest pan człowiekiem, którego nerwy by nie zawiodły nawet podczas bardzo stresującego przesłuchania. Proszę posłuchać. - Jury pochylił się w przód, odsuwając na bok przykryty serwetką koszyczek z bułkami. - Ja pana po prostu proszę o pomoc. Nic mnie nie obchodzi, co się dzieło między panem a panią Farraday - jeżeli Cholmondeley w to wierzył, to był idiotą - ale uważam, że istotne jest, żebyśmy zrozumieli, jakie relacje zachodziły między uczestnikami wycieczki ...

- A poznał pan naszego przewodnika, pana Honey- cutta?

Choć Cholmondeley starał się to ukryć pod pozorami wyniosłości, w jego spojrzeniu czaił się niepokój.

-Tak, poznałem. Nie wspomniał o panu ani słowem.

- No cóż, sądzę, że nie pozostaje w sferze jego zainteresowań - skomentował to bezceremonialnie Cholmon- deley, próbując w ten sposób ukryć fakt, że doznał ulgi.

- Być może. Ale dlaczego właściwie bierze pan udział w tej wycieczce?

Pytanie to, zgodnie z zamiarem Jury'ego, zaskoczyło jego rozmówcę.

- Słucham?! - powiedział i zaraz dodał: - Ponieważ chciałem zrobić sobie krótkie wakacje.

Jury wyjął z kieszeni coś, co wyglądało na kilka papierowych zwojów, przy czym udało mu się sprawić wrażenie, że na każdym z nich, u góry, widnieje nazwisko Cholmondeleya.

- Zajmuje się pan handlem drogimi kamieniami?

- Tak. Wygląda na to, że ma pan sporo informacji na mój temat.

- Na trasie tej wycieczki był Amsterdam.

Cholmondeley zmarszczył brwi.

- Amsterdam znajduje się na trasie wielu wycieczek. Większości z tych, co jadą do Londynu i Paryża. To jedno z najbliższych położonych miast na kontynencie i takich, do których najłatwiej dotrzeć. Z Hoek van Holland droga do niego bardzo prosta.

- Czy ma pan może przy sobie paszport?

Teraz Cholmondeley wyglądał na całkiem skołowanego. Najwyraźniej nastawionego na to, by wypierać się relacji ze swoją nowo poznaną kochanką, ten nowy kierunek przesłuchania wytrącił z

równowagi. Wyciągnął paszport i cisnął go na stół.

Jury przejrzał stemple wizowe. Stroniczki paszportu były wypełnione. Oddając paszport Cholmondeleyowi, Powiedział tylko jedno słowo:

- Dzięki.

Cholmondeley siedział, patrząc na niego i obracając w ręku platerowany nóż.

- Nie wiem, do czego pan zmierza - odezwał się. - Jeżeli chodzi o uczestników tej wycieczki, mogę powiedzieć jedynie to, że pochodzimy z różnych części świata, nigdy przedtem się nie spotkaliśmy, nic o sobie nie wiemy. Pan jednak sugeruje, że ktoś z nas jakoby czaił się, czekając tylko na moment, w którym będzie mógł zaatakować innych.

Spróbował się uśmiechnąć, ale zdecydowanie mu to nie wyszło. Najwyraźniej ta myśl była dla niego nowa i bynajmniej nie miła.

- Ktoś z nas? - powtórzył za nim Jury.

Melrose Plant, siedząc na pierwszym balkonie, snuł posępne myśli. Naprawdę wolałby w tej chwili znajdować się zupełnie gdzie indziej i oglądać prawdziwego zakrwawionego trupa, niż czekać tutaj, aż wskutek działań Hamleta scena zaściele się fałszywymi.

Grano dzisiaj przy pełnej widowni, tak samo jak poprzedniego wieczoru, a jemu szczęśliwie udało się dostać miejsce w pierwszym rzędzie. Nie zamierzał więc po raz kolejny stracić drugiej połowy przedstawienia.

Ale zaraz, czy z parteru, a także z tyłu, z balkonu, nie dobiega dźwięk jego imienia? W tej sali teatralnej, uznawanej za akustyczny cud, imię zdawało się rozbrzmiewać w wielu miejscach.

- Hej, Mel!

No tak. O jakieś dwanaście rzędów za nim siedział Harvey Schoenberg i gorączkowo mu machał. Melrose odwzajemnił mu się więc niezdecydowanym ruchem dłoni.

- Melrose!

Boże drogi, to z dołu, z parteru. A tam... Agatha! Stojąc Przed swoim fotelem, machała do niego obiema rękami niczym pracownik lotniska, kierujący startem boeinga 747.

Gdyby Melrose Plant wiedział, że ciotka Agatha wybiera się na to przedstawienie, podarłby swój bilet. Spróbował nie zwracać na nią uwagi. Próba ta jednak wywołała tym usilniejszą gestykulację i okrzyki z jej strony, wskutek czego siedzący koło Melrose'a widzowie zaczęli mierzyć go lodowatymi spojrzeniami. Czy skończy się na tym, pomyślał Melrose, że ta pantomima zacznie stanowić konkurencję dla Hamleta?

Spojrzał ponad balustradą w kierunku parteru i podniósł rękę gestem pozdrowienia, zastanawiając

się równocześnie, czy siedzące koło Agathy, zadzierające właśnie głowy zażywne osoby to część klanu Biggetów. Kiedy zauważył, że Agatha przykłada dłoń do ust, gotowa przekrzyknąć kto wie ilusetgłosowy gwar na widowni, zsunął się na swoim fotelu i pobłogosławił światła na sali, które właśnie przygaszały.

Było dobrze. No ale czy królewskiej trupie szekspirowskich aktorów kiedykolwiek zdarzało się grać źle? Po wstępnej scenie Hamlet okazał się nie nazbyt melancholijny, Gertruda cudownie lubieżna, a stary Klaudiusz odrobinę bardziej sympatyczny niż zwykle. Choć dla tego ostatniego trochę trudno było zdobyć się na sympatię. Zanim nastąpił antrakt, wszyscy - aktorzy na scenie i publiczność na widowni - mieli napięte nerwy, a Melrose'a bynajmniej nie cieszyła perspektywa wpadnięcia w zasadzkę zastawioną na niego przy barze.

Ponieważ był na tyle przewidujący, żeby zamówić sobie brandy jeszcze przez spektaklem, nie musiał teraz

pchać się w tłum, udało mu się natomiast wycofać do kąta. Gdzieś w oddali, w swojej muszce pod szyją, oscylował Harvey. Melrose, przyczajony, dostrzegał go od czasu do czasu. W końcu jednak szalony komputerowiec go dopadł.

- Możesz sobie to wyobrazić? Przez cały czas, kiedy my dwaj rozmawialiśmy w tym kościele, ona leżała martwa na jego tyłach - powiedział i przeciągnął sobie palcem po szyi.

Dosyć to niesmaczne, pomyślał Melrose i zaraz zapytał:

- Czy dobrze znałeś tę panią?

- Ależ nie, do diabła. Nie. Po prostu uczestniczyliśmy w tej samej wycieczce. - Harvey pokręcił smutno głową. - Biedna Gwennie. Człowieku, ta wieść omal mnie z nóg nie zwała. - Światła zamigotały, Harvey szybko dopił piwo. - Do zobaczenia. Mam miejsce w środku rzędu, a nie znoszę się przepychać.

Melrose pomyślał, że teraz, przynajmniej na dwie minuty, jest bezpieczny. Mylił się jednak, bowiem przed Agathą nie było ucieczki. A Agatha właśnie parła ku niemu niczym buldożer. Potrafiła go wyczuć niczym terier, który wyczuwa ukrytego w norze lisa.

- Melrose! - zawołała.

- Witaj, ciociu Agatho. No popatrz, co za spotkanie. Jak udało ci się mnie znaleźć? - Stała przed nim i wyglądała na bezgranicznie zadowoloną z siebie; jasne też było, że czeka, aż on zapyta dlaczego. - Zastanawiasz się nad przyczynami hamletyzowania bohatera dzisiejszego spektaklu?

- Nigdy nie zgadniesz, kto tutaj jest! - zawołała.

- Masz rację, nie zgadnę. Napijesz się brandy? Czy może musisz wracać do Biggetów? Bo oni, jak sądzę, są tutaj z całą pewnością.

Miał nadzieję, że jego brak entuzjazmu daje się zauważyć.

- Zamknij oczy!

- Zamknąć...? Ależ, na litość boską, nie zrobię tego.

Agatha odęła wargi, nadąsana.

- Naprawdę, ciociu...

Ostrzeżenie, które zamierzał wypowiedzieć, zamarło mu na ustach w chwili, gdy jego wzrok pobiegł za jej ramię.

Bo za Agathą stała Vivian Rivington.

Jedyną osobą z całej trójki, której to spotkanie nie zburzyło spokoju, okazała się ciotka. Bardzo zadowolona z siebie przypominała magika, który przed chwilą wyciągnął młodą kobietę niczym królika z kapelusza.

A co do Vivian, to ta sprawiała wrażenie zadowolonej, ale zarazem zakłopotanej, i właściwie nie bardzo wiedziała, co robić z rękami.

Melrose rozwiązał ten problem, ściskając ją serdecznie.

- Kochana Vivian - powiedział. - Ale co ty, u diabła, robisz w Stratfordzie? Jak się tu dostałaś? Dlaczego nie jesteś we Włoszech?

Za Vivian, jak zawsze i jak za każdego innego, odpowiedziała Agatha:

- Przyjechała tu samochodem z Long Pidd. Mówi, że kiedy od Ruthvena dowiedziała się, gdzie jesteśmy, postanowiła przyjechać. Mówi też...

- ...teraz wyłącznie po włosku, w związku z czym ciebie zatrudniła jako tłumacza. Byłbym wdzięczny, ciociu, gdybyś...

- Światła! - przerwała Agatha, gdy te przygasły, sygnalizując początek kolejnego aktu.

Z obawy, że straci choćby minutę spektaklu, za którego obejrzenie zapłaciła, ruszyła energicznie przez tłum, zmierzając na widownię.

- Posłuchaj, Vivian, wyjdźmy stąd - zaproponował Melrose. - Chodźmy „Pod Kaczora”, napijemy się i porozmawiamy

- Ale sztuka... - zaczęła Vivian.

- Opowiem ci, co było dalej.

Ponieważ prawie całe miasto oglądało drugą część Hamleta, pub nie był tak zatłoczony jak zwykle.

Melrose postawił na stole drinki.

- Pomyśleć, że to już trzy lata...

Tak, trzy lata... i ta dzisiejsza Vivian nie jest tą, do której dawniej był przyzwyczajony. Bo tamta wyglądała zupełnie inaczej. Gdzie podziały się bliźniaki i spódnice w przygaszonych kolorach, gdzie zniknęły nieumalowane usta? Włosy były co prawda w tym samym co dawniej jesiennym brązowym kolorze i błyszcząły wśród nich takie same rudawe pasemka. Nigdy przedtem jednak Vivian nie miała na głowie takiej burzy loków, tworzących, jak domyślał się Melrose, diabelnie modną fryzurę. A poza tym nigdy przedtem nie ubierała się w takie oślepiające odcienie zieleni ani w takie wydekoltowane i obcisłe suknie.

- No tak, trzy lata - powiedziała i wyjęła paczkę papierosów z torebki zrobionej z jakiejś srebrnej łuski. - Wróciłam, żeby się zorientować, jakie są możliwości sprzedaży domku w Long Piddleton.

- Chcesz go sprzedać? Dlaczego?

- Bo wychodzę za mąż.

Zrobił w jej kierunku nagły ruch, zapałka oparzyła

palce.

-Nie!

-Tak.

- No ale wobec tego, gdzie jest ten twój wybrany?

- We Włoszech.

- I co, u diabła, tam robi?

- Jest Włochem. - Tu nastąpiła krótka pauza. - Och, nie patrz tak. To nie żaden żigolo. Nie chodzi mu o moje pieniądze.

Vivian miała ich sporo.

- A więc poznałaś go w Neapolu. Jakież to obrzydliwie romantyczne.

Pokręciła głową.

- W Wenecji. I zapewniam cię, że to naprawdę było romantyczne. To znaczy jest.

- Aha! Coś nie za bardzo zdecydowanie to mówisz.

- Masz chyba rację - roześmiała się. - Ale dlaczego jesteś taki poruszony? W końcu to ty sam nigdy



nie chciałeś się ze mną ożenić.

Zaskoczyła go ta bezpośredniość. Czy jest to cecha, którą Vivian przyswoiła sobie we Włoszech?, zastanowił się. Irytowało go w niej to, że będąc kobietą naprawdę skromną, potrafiła być równocześnie prostolinijna. W kontakcie z Vivian człowiek nie miał prawie żadnej przestrzeni, żadnej możliwości manewru. Niczego, o co mógłby się potknąć podczas wzajemnego poszukiwania się w ciemnościach. Żadnej gry słońca i cienia. Vivian stała zawsze w jasnym świetle dnia.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała teraz, a on pospiesznie zmienił wyraz twarzy. - I co ty, na miły Bóg, robisz w lipcu w Stratfordzie? Przecież w lecie nigdy nigdzie nie wyjeżdżałeś. Tym bardziej do takiego znanego, pełnego turystów miasta.

- I nadal nie wyjeżdżam. A czy ty nie pamiętasz...

Przerwał nagle. Ależ oczywiście, Vivian na pewno pamięta Richarda Jury'ego, a Jury, co znacznie ważniejsze, na pewno pamięta ją. Melrose nie miał wątpliwości, że niegdysiejsze zainteresowanie Jury'ego było więcej niż profesjonalne. Teraz jednak wyglądało na to, że gdzieś za kulisami egzystuje ta Kennington...

- Czy nie pamiętam czego?

- Ach, nic, nic. Niczego. Przyjechałem tutaj, bo gdybym tego nie zrobił, Agatha sprawiłaby, że jej amerykańscy kuzyni zadeptaliby Ardry End.

- Oj, Melrose - roześmiała się Vivian - ty zawsze byłeś dla niej zbyt miły. A ona zawsze rewanzowała się tym, że była okropna.

- Wcale nie jestem dla niej miły, a mieć gdzieś pod ręką kogoś okropnego jest dość interesujące. Można na takim kimś ćwiczyć odpowiednie reakcje. To przypomina trening piłkarskiego bramkarza. No, w każdym razie, cudownie jest ciebie widzieć.

- Jesteś pewien?

Jej oczy naprawdę zdawały się błyszczeć ponad krawędzią kieliszka. Co piła? Oczywiście campari z limetą. Chyba oni wszyscy tam to piją. Zdawał sobie sprawę, że odczuwa irracjonalną irytację. Dlaczego przyjechała właśnie teraz, wystrojona w tę mieniącą się zieloną sukienkę od Gucciego, z twarzą okoloną jedwabistymi lokami i prawdopodobnie przyzwyczajona już do posługiwania się okropnymi wyrażeniami w rodzaju Ciao...

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał.

- No cóż, wielkie dzięki. A czy wolno mi najpierw skończyć drinka? - Spojrzała na niego z chłodnym rozbawieniem. - Jutro Franco przylatuje na Heathrow. Z Rzymu.

Franco. Heathrow. Rzym. Wszystko to brzmiało okropnie międzynarodowo.

- A potem... no cóż, jeżeli tu jeszcze będziesz, chciałabym, żebyś go poznał...

- Czy chcesz urządzać wesele w Ardry End? Jest pewnie wystarczająco duże, żeby pomieścić całą jego rodzinę.

- To miłe z twojej strony, Melrose. - Wciąż się uśmiechała. - Agacie on się spodoba. Jest hrabią.

- Hrabią?

Naprawdę, tego było za wiele.

- Oni tam także mają tytuły Nie jesteś jedyny.

- Ja nie jestem utytułowany. Dałem sobie spokój z całym tym nonsensem wiele lat temu. Gdybym wiedział, że tobie o to chodzi, zachowałbym tytuł hrabiego i wicehrabiego, a także całą resztę.

Odwróciła wzrok.

- Nie pleć. Mnie o nic nie chodzi, a ty dobrze o tym wiesz. Po prostu tak się składa, że on jest hrabią. To wszystko.

- Nigdy nie jest tak, że ktoś ma tytuł, bo po prostu tak się składa. - Melrose w tej chwili potrafił sobie wyobrazić tego nieznanego jedynie w czarnej pelerynie. - Czy on widzi swoje odbicie w lustrze?

Zauważył, że Vivian jest zła. I ma rację, pomyślał.

- Och, na miłość boską - powiedziała.

Melrose osunął się na krzesło, chwytając się za szyję- Zrobił to po to, żeby jeszcze bardziej ją zirytować.

A potem się zastanowił, jaką minę zrobiłby na ten widok sierżant Lasko. Bo przecież Stratfordowi w tej chwili tylko tego było jeszcze potrzeba - kolejnego krwawego wydarzenia.

Dla siedemnastolatki Stratford nad Avonem to nie Arkadia. No bo przecież nie ma tutaj żadnych klubów, żadnych dyskotek, żadnych kin ani nawet jaskiń hazardu, kobiet lekkich obyczajów czy ulicznych dealerów narkotyków. Jednak Honey Belle Farraday potrafiłaby znaleźć się w centrum ekscytujących wydarzeń nawet na pastwisku, gdzie można spotkać jedynie krowy.

Tego wieczoru poszła w kurs i paradowała teraz Wood Street, tak jakby ta ulica była jakąś pełną rozrywek arterią rodem z Las Vegas. A trzeba powiedzieć, że kiedy Honey Belle szła w kurs, to już na całego: mając biodra opięte ciasno dżinsami od Sassoon, biust nie do końca ukryty pod prześwitującym niczym pokryta mgiełką pary okienna szyba indyjskim białym bawełnianym topem, przeguby ozdobione mnóstwem bransoletek, w uszach długie kolczyki, a na szyi złote łańcuszki. No i pod spodem, pod tym wszystkim - całkiem naga. Bo Honey Belle ograniczała się zawsze jedynie do rzeczy najniezbędniejszych.

Ten Stratford! Cholerna zapadła dziura! Nic tu do roboty prócz oglądania nudnych jak flaki z olejem sztuk teatralnych i równie nudnego zwiedzania. Człowiek, leżąc nad basenem w Hiltonie, nie mógł się tu nawet przyzwyciężyć opalić. Mimo to Honey Belle polegiwała nad tym basenem, bo dzięki temu miała

szansę zadać szyku swoim kupionym w Paryżu białym kostiumem kąpielowym, który składał się z połączonych cienkim sznureczkiem satynowych łatek i który James Farraday uważał za coś skandalicznego. Stary hipokryta! Honey Belle, na myśl, że jej własna matka jest o nią zazdrosna, odczuwała prawdziwą frajdę. Bo matka przecież omal jej nie zabiła, kiedy, wtedy w domu, zastała ją ze staruszką w dużej sypialni - ubraną tylko w tę skąpą piżamkę z bufiastymi rękawkami. Między nimi tak naprawdę oczywiście nic nie było. Ale spróbowałby kto przekonać o tym Amelię Blue!

Honey Belle przeszła teraz przez rondo i minęła restaurację sieci Golden Egg, zaglądając przez okno do wnętrza, gdzie ludzie napychali się jajkami i naleśnikami. Ona sama, co oczywiste, nic nie jadła. Nie można przecież jeść i mieć takie ciało jak ja, pomyślała, przesuwając palcami o pomalowanych na fioletowo paznokciach po swoim płaskim jak deska brzuchu. W głowie zabrzmiała jej przy tym piosenka reklamująca w telewizji jakieś chińskie jedzonko: „Troszcz się o swoje piękne ciało, o swoje piękne ciało się troszcz!” Ona, Honey Belle, to właśnie robi: troszczy się o swoje piękne ciało. Na myśl o własnym wyglądzie westchnęła z rozkoszą. A stało się to w chwili, gdy mijaly ją dwie kobiety, taszczące torby z zakupami. Muszą mieć po czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat, pomyślała. I zdziwiła się szczerze, że można dożyć takiej starości, nie popełniając samobójstwa.

Honey Belle nie bała się niczego poza jedną jedyną rzeczą na świecie: utratą urody. Przerazało ją to, że się zestarzeje, a jej twarz pokryje się zmarszczkami. Zdążyła zauważyć, że uroda Amelii Blue zaczyna już ulegać erozji. Choć z drugiej strony musiała przyznać, że matka potrafi o siebie dbać. Dzięki Bogu, Amelia Blue, w każdym razie kiedyś, wyglądała naprawdę świetnie; i dzięki Bogu jej - Honey Belle - tata był wysokim, zabójczo przystojnym blondynem. Honey Belle domyślała się, że Amelia Blue musiała go w końcu porzucić, bo fakt, że w stosunku do tej jego ostatniej dupy grała drugie skrzypce, był dla niej nie do zniesienia. Dziewczyna zachichotała teraz, zastanawiając się, czy matka zdaje sobie sprawę, jak bardzo ten zabójczo przystojny tatuś hołubił także ją, jej córkę.

Minęła tę część uliczki, gdzie pełno było niewielkich sklepików, myśląc o tym, że gdyby stary James Farraday i Amelia Blue wiedzieli o niej wszystko, chybaby ją zabili. Bo zdarzało jej się robić różne rzeczy dla pieniędzy. Na przykład wtedy, kiedy chciała sobie kupić markowe dzinsy albo złoty łańcuszek. Tańczyła w barach topless albo pozowała pewnemu fotografowi, który zdecydowanie nie tylko robił jej zdjęcia. Nie robiła tego dla seksu, ale dla poczucia siły. Tak, siły, która z kolei dawała jej władzę nad mężczyznami. Honey Belle czuła tę władzę, pozując na podwyższeniu pośród błysków niebieskich i różowych świateł czy też rozkładając się na kanapach i poduszkach w pozycjach, które niekiedy określa się jako niedwuznaczne. Nie chodziło w tym wszystkim o seks. Nie, nie, bo ona właściwie nie znosiła tego robić. Chodziło o to, żeby mężczyźni o tym myśleli. Żeby ich myśli kręciły się wokół robienia tych rzeczy właśnie z nią. Chodziło o to drżenie i mrowienie, które czuła, obserwując ich w chwili, kiedy na nią patrzyli, a także myśląc o tych, którzy kupią jej zdjęcia i będą pożerać ją wzrokiem. Na temat swojej przyszłej kariery Honey Belle miała zdecydowane poglądy Kiedy staruszek James zaczął mówić o szkole czy

O jej stopniach, miała ochotę roześmiać mu się w twarz. Bo przecież wiedziała, że zostanie modelką albo aktorką. Myślała właśnie o wszystkich tych producentach filmowych, którzy się za nią będą uganiai, gdy nagle, jakby jej myśli się zmaterializowały, usłyszała za sobą kroki.

Przystanęła więc w półmroku przed niewielką księgarnią i zapaliła papierosa. A gdy tak stała, cienka smużka papierosowego dymu wzbiła się w górę, wnikając w niebieską poświatę latarni ulicznej. Honey Belle stała uśmiechnięta, nasłuchując, czy w chwili gdy umilknie stukot jej własnych drewniaków, ten ktoś także się zatrzyma. Co by oznaczało, że za nią szedł, a ona przecież to, że ktoś za nią idzie, potrafiłaby wyczuć nawet w tłumie. Tym razem także się nie omyliła. Za nią, w wąskiej uliczce, majaczył jakiś cień. Cień kogoś, kto stał i patrzył na wystawę. Nie widziała tego kogoś, raczej wyczuwała jego obecność.

1 zdawało jej się, że on, po dłuższej chwili, także ją zauważył. To jej wystarczyło. Pałac nadal papierosa, ruszyła przed siebie. Słyszała, że w pobliżu dworca jest fajny lokal, w którym można się zabawić, że są tam drinki i trawka i że nawet można się załapać na kokę. Już ja potrafię wyniuchać miejsce, w którym się coś dzieje, zaśmiała się do siebie, idąc dalej. W następnej chwili śmiech uwiązł jej w gardle, bo poczuła na szyi czyjś oddech, a jakaś dłoń zatkała jej usta.

Cholera jasna!, przemknęło jej przez myśl. On zaraz mnie zgwałci. Że też musiało mi się to zdarzyć w tej angielskiej dziurze. Zresztą dlaczego nie?, pomyślała w ostatniej sekundzie. Jest to przecież ten rodzaj seksu, który niczego nie wymaga od dziewczyny... 1 to był koniec, bo potem pojawił się ten zimny przedmiot, który, przeniknąwszy przez indyjską bluzkę, wszedł w jej ciało jak nóż w masło.

Kiedy ją znaleźli, wyglądała tak, że sama nie chciałaby się oglądać, bo widok tego, co ktoś zrobił z jej pięknym ciałem, byłby dla niej nie do zniesienia.

„Proch Helenę przykrył młodą / I królowym z ich urodą...”.

Jury oderwał wzrok od programu teatralnego, który sierżant Lasko oświetlał latarką, i przeniósł go na okaleczone ciało Honey Belle Farraday.

Było wpół do jedenastej i Wood Street tonęła w mroku, który rozpraszają tylko snopy światła latarek oraz nikła niebieska poświata sodowej latarni ulicznej. Krew, a było jej mnóstwo, nie zdążyła jeszcze skrzepnąć. Musieli więc chodzić ostrożnie.

Ciało znalazła jakaś nadchodząca z przeciwnego kierunku para, która skończyła właśnie późny posiłek w restauracji sieci Golden Egg. Kobiecie trzeba było dać potem środek na uspokojenie i zawieźć ją do szpitala, a jej mężowi, zanim obrzygał całą budkę telefoniczną, udało się zadzwonić na policję. Znajdował się teraz na posterunku w Stratfordzie.

- Lekarz twierdzi, że dziewczyna nie żyje mniej więcej od godziny - powiedział Lasko. - Telefon odebraliśmy dwadzieścia minut temu, co oznacza, że leżała tutaj przez czterdzieści minut niezauważona przez nikogo.

- Nic w tym zaskakującego - odrzekł Jury, rozglądając się po ulicy. - Otwarta jest tylko restauracja Golden Egg, a w pobliżu nie ma żadnych pubów. Ruch kołowy też już zamarł. Sprawdzaliście, czy nie ma przypadkiem odcisków palców? Może na szyi? Z tyłu albo z przodu?

- Człowieku, na jakiej szyi? - odrzekł z irytacją Lasko. - Spójrz tylko na nią.

- Już to zrobiłem - oznajmił Jury. - Miałem na myśli to, że trzeba sprawdzić pod brodą. Ten ktoś prawdopodobnie ją chwycił, odciągając brodę do tyłu, a cała reszta tej papraniny nastąpiła później.

Tak, „papranina” to było chyba właściwe słowo, bo dziewczynie rozplątano gardło, a potem rozcięto także i tors - od mostka aż po udo.

- No i znowu to - powiedział znużonym tonem Lasko, podając funkcjonariuszowi kierującemu oględzinami miejsca zbrodni program teatralny.

Patrzyli teraz, jak szczątki Honey Belle Farraday zostają umieszczone na plastikowej płachcie, a Jury naprawdę nie zazdrościł policyjnemu fotografowi. Jasne, przypominające pociski smugowe błysnięcia zakreśliły w powietrzu rozmazane łuki, wydobywając z ciemności twarze ciekawskich, którzy zgromadzili się u obu końców ulicy. Stały tam samochody policyjne z wirującymi czerwonymi kogutami i zapory. Jury wiedział doskonale, że ludzie z „Timesa” i „Telegraphu” pędzą już szosą na miejsce zbrodni.

- Ten wiersz - powiedział Lasko - przypomina mi tamten pierwszy...

- Bo to jest ten pierwszy. To znaczy jego dalszy ciąg-

Jury wyjął poprzednią kopię programu i przeczytał

całość:

Sczeźnie piękność każdej rzeczy,

Czas ją skazi i zniweczy;

Proch Helenę przykrył młodą

I królowym z ich urodą...

- A skąd to jest? Z Szekspira?

Jury pokręcił głową.

- Nie wiem skąd. Chociaż wydaje mi się znajome... Ale nie wiem...

Patrząc, jak nosze z owiniętym płachtą ciałem młodej dziewczyny zostają wsunięte do oczekującej karetki, pomyślał o Farradayu. Biedaczysko. Współczuł bardziej jemu, ojczymowi, niż biologicznej matce zamordowanej, a przy tym gotów był się założyć, że Amelia Blue Farraday da iście królewski pokaz hysterii.

- Powiem ci, co mnie dręczy - zwrócił się do Laski.

- Co mianowicie?

- Dręczy mnie pytanie: Jak długi jest ten wiersz?

Co do historii, Jury miał całkowitą rację.

Przedstawienie, jakie dała Amelia Blue, musiało przekonać każdego, kto choćby przez chwilę wątpił, że była kiedyś aktorką.

Ponieważ jej reakcja nie była niczym więcej jak tylko przedstawieniem. Ocknąwszy się ze wstępnego omdlenia na małej kanapce w saloniku hotelowego apartamentu (zresztą może tylko półomdlenia, bo nie na długo wyłączyło ją ono z aktywności), Amelia Blue najpierw rzuciła się z pazurami na Farradaya, jakby winiła go o to, że przywiózł ich tutaj, do tego pełnego morderców miasta, potem wściekła się na sierżanta Laskę i Jury'ego za to, że byli zwiastunami złych wiadomości, i wreszcie zaczęła się miotać po pokoju jak aktorka, która zapomniała wyuczonej na pamięć roli. Podeszła do okna i zagapiła się w nie. Przeszła do stołu i wzięła stojące tam zdjęcie Honey Belle, zrobione latem zeszłego roku. Czyli tak niedawno! Zdjęcie przedstawiało dziewczynę na plaży, w otoczeniu watahy chłopaków. Amelia przycisnęła je sobie do - trzeba to przyznać - bardzo obfitej piersi.

Jury patrzył na to wszystko jak na przedstawienie - nie dlatego, że dwudziestoletnia służba w Scotland Yardzie pozbawiła go wrażliwości, tylko dlatego, że ziarno wątpliwości co do macierzyńskich uczuć Amelii zostało w jego głowie zasiane przez Penny, kiedy oboje siedzieli na ławce nad rzeką.

Natomiast Farraday, człowiek, który do wszystkiego w życiu doszedł własną pracą, zachowywał spokój, a jego opanowanie okazało się znacznie bardziej przekonujące. Prawdziwe nieszczęście, które, niczym posąg Komandora, nagle postanowiło przerwać swój bezruch i przemówić, spowodowało, że starszy pan powściągnął złość wywołaną poprzednio zaginięciem syna, przestał pyskować, domagać się energiczniejszego policyjnego śledztwa i grozić, że pójdzie na skargę do ambasady. Generalnie, przestał się ciskać.

Tymczasem Amelia Blue wciąż się ciskała. On jednak zaczął ją uspokajać.

- Cicho, Amelio. Takie zachowanie nie doprowadzi do niczego dobrego.

- Ach ty! Co ty możesz wiedzieć... Ciebie oczywiście jej śmierć nic nie obchodzi! Dla ciebie, poza tym, że nie będziesz jej miał już pod ręką i nie użyjesz dla zaspokojenia swoich...

Nie dokończyła, bo Farraday ją uderzył. Cios nie był silny. Starszy człowiek trzepnął ją tylko z bekhendu - tak lekko, że nie straciła nawet równowagi. Nie - stała nadal Prosto, z rękami wspartymi na biodrach i z płonącymi policzkami. A na jej mocno umalowanych ustach zaczął igrać jeden z najpaskudniejszych uśmiezków, jakie Jury widział w życiu.

W całym tym zamieszaniu wyglądało na to, że wszyscy zapomnieli o Penny. Dziewczynka tymczasem wyszła na zewnątrz i usiadła pod balkonem, na twardej ławeczce i w całkowitych ciemnościach, tak jakby one były jej nieuchronnym przeznaczeniem. Jury zostawił sierżanta Lasko, by ten oprócz roli śledczego pełnił też rolę arbitra w meczu pomiędzy małżonkami, wyszedł i usiadł obok niej.

Penny patrzyła przed siebie pustym spojrzeniem i wyglądało to tak, jakby oczami wyobraźni oglądała jakąś nieopisaną scenę. Długie włosy, zebrane na czubku głowy, miała zaplecione w luźny

warkocz. Kwiatek, który w niego wplotła, dawno zdążył zwiędnąć, a ona siedziała, skubiąc z roztargnieniem fałdy luźnej bawełnianej sukienki, w której, jak domyślał się Jury, była wcześniej na przedstawieniu Hamleta. Gdy z niego wróciła, w hotelu czekała na nią straszna nowina.

To dziwne, pomyślał Jury, ale w rzeczywistości to ona jest doskonałą aktorką. Jej milczenie świadczy o tragedii - najprawdziwszej z prawdziwych. A widząc ją w tej luźnej sukience, z włosami w nieładzie, człowiek spodziewa się, że zaraz powie: „Oto rozmaryn na pamiątkę”.

Jednak Penny tego nie powiedziała. Jury czuł, że musi przerwać jej milczenie, bo wiedział, że wynika ono w znacznym stopniu z poczucia winy. Otoczył ją więc ramieniem.

A ona - szeptem, który był straszniejszy od krzyku - wreszcie zapytała:

- Gdzie jest Jimmy?

I zaraz, wsparta o Jury'ego, zaczęła szlochać, ukrywając twarz w dłoniach.

Jury wiedział, w jakim kierunku biegną jej skojarzenia, bo od chwili gdy znaleziono Gwendolyn Brace- girdle, sam także zastanawiał się nad tą sprawą. Wyglądało na to, że ktoś zawiązał się na uczestników wycieczki Honeysuckle Tours.

- Znajdziemy go. Nie ma obawy - powiedział, przygarniając do siebie małą i zaraz zastanowił się, po raz który wypowiada dzisiaj te puste słowa.

Penny wyprostowała się, odsuwając się od niego, wytarła nos dłonią, a dłoń osuszyła o sukienkę. Jury wyjął chusteczkę do nosa. Dziewczynka wzięła ją, po czym, zamiast wytrzeć nos, zaczęła ją miąć i wykręcać.

- Boże kochany, to moja wina, bo mówiłam o Honeysuckle Belle takie okropne rzeczy... ale... ale nie mogę już tego cofnąć. Wie pan, czasami nawet życzyłam jej, żeby... umarła.

Spojrzała na niego z przerażeniem, a on poznał po tym, że zdaje sobie sprawę, że za tę szczerość będzie musiała zapłacić.

- Za wszystko, co powiedziałam, Bóg ukarze mnie śmiercią - zabrzmiały jej następne słowa, a Jury'emu przyszedł na myśl niedawno przeczytany dwuwiersz: „Proch Helenę przykrył młodą / I królowym z ich urodą...”

Objął mocniej dziewczynkę.

I zaczął, podobnie jak ona przed chwilą, zastanawiać się, gdzie jest jej brat.

Kwadrans później, w Hiltonie, w hotelowym lobby, sierżant Lasko omawiał coś ze swoim szefem, a Jury, paląc Papierosa, obserwował ich z boku.

- Jeżeli ich nie aresztujemy... a niby jakie dowody Pozwalają nam to zrobić? Więc jeżeli nie aresztujemy całej tej cholerniej wycieczki, to nie mam pojęcia, jak tych ludzi zatrzymamy w Stratfordzie.

Co zrobimy, jeżeli im się zachce jechać do Londynu? Wiem, że tylko Farraday chce tu zostać. Do chwili aż znajdzie się ten jego dzieciak. Ale ta histeryczka, jego żona, chce się stąd wyrwać jak najszybciej. Nie ma przecież ze Stratfordu miłych wspomnień...

- No to chyba zwariowała. Tak, ta baba jest szalona albo winna - powiedział sir George, po czym, najwyraźniej żeby tak całkiem nie lekceważyć Scotland Yardu, zaprosił Jury'ego do dyskusji. - Zgodnie z tym, co pan twierdził, panie nadinspektorze, w oparciu o słowa tej drugiej dziewczynki, pani Farraday była piekielnie zazdrosna o córkę.

Lasko odsunął melonik na czubek głowy.

- Ale zrobić coś takiego własnemu dziecku...

- Na litość boską, Sam. Co jeszcze nam tu powiesz? Że bliższa ciątu koszula? Do diabła, wszyscy uczestnicy tej wycieczki są w naszych oczach podejrzanymi.

- Ale pytam jeszcze raz: na podstawie jakich dowodów mam ich tutaj zatrzymać? Skąd mamy wiedzieć, czy tych dwóch kobiet nie zamordował jakiś miejscowy psychol?

- Tak, psychol będący wielbicielem poezji - prychnął sir George. - Akurat. Zorientowaliście się, sierzancie, skąd pochodzi ten czterowiersz?

- Nie - odrzekł Lasko.

- Nie? Dlaczego nie? Czekacie, aż rano otworzą bibliotekę?

- Ale, panie starszy nadinspektorze, przecież to nie jest takie proste. Nie mamy tutaj w policji żadnego eksperta od epoki elżbietańskiej...

- Jednak wśród podejrzanych - przerwał Jury - jest taki.

Spojrzeni na niego obaj ze zdumieniem.

- To Schoenberg - mówił dalej Jury. - Wie naprawdę bardzo dużo o tym okresie. Jeżeli rzeczywiście o ten okres chodzi. Więc Schoenberg pisze jakąś książkę o Christopherze Marlowe.

- A w którym hotelu on mieszka? - zapytał sir George.

- W Hathaway - odrzekł Lasko, sprawdzwszy w notatkach.

- A więc, sierzancie, idźcie do tego hotelu i z nim pogadajcie. - Sir George spojrzał ponuro na Jury'ego. - Sądzę, że skoro cała ta wycieczka musi jechać do Londynu, to nie ma rady.

Jury odwzajemnił się spojrzeniem bez wyrazu, odnosząc wrażenie, że ani sir George, ani Lasko nie mają raczej nic przeciwko wyjazdowi tych ludzi.

Czy nie dosyć, zastanawiał się Melrose Plant, że przepada mi to morderstwo? Za jakie grzechy muszę prawie o północy tkwić w tym hotelowym lobby i słuchać perory Har- vey Schoenberga, który przytacza



rzeczy niepotwierdzone w żadnych tekstach źródłowych? Robert Cecil (Bob)<sup>4</sup>, syn lorda Burghleya, Tom Watson (Tom)<sup>\*\*</sup>, przyjaciel Marlowe'a; Robert Greene (kolejny Bob)", przyjaciel Marlowe'a i wróg Szekspira... Harvey Schoenberg, przy cygarach i brandy, wyrzucił z siebie najpikantniejsze plotki, a w tej chwili przechodził do przygód Wally'ego Raleigha.

- Masz na myśli - zapytał lodowatym tonem Melrose - sir Waltera Raleigha?

Sam nie bardzo wiedząc dlaczego, czuł się w obowiązku bronić godności wszystkich tych elżbietańskich nieboszczyków, bez względu na to, czy byli szpiegami, czy nie. Żałował przy tym, że nie ma tu sir Waltera, bo ten mógłby zamiast niego odprowadzić Vivian do hotelu Hathaway. Sir Walter bowiem z pewnością potrafiłby znaleźć jakiś godny dżentelmena sposób na to, by wywinąć się z rąk Harveya Schoenberga.

- No tak. Oczywiście. Czy ty wiesz, co ten człowiek knuł? - powiedział Harvey, rozsiadając się wygodniej.

- Coś sobie mgliście przypominam. - Melrose przebiegł wzrokiem po magazynie, który trzymał w rękach. - Miał coś wspólnego ze spiskiem Babingtona przeciwko królowej Elżbiecie.

Po kiego licha zachęcam tego nieszczęsnego komputerowca do gadania? - pomyślał.

- Nie, nie, nie. Tym kimś to był Babington.

- No cóż, łatwo wydedukować, że Babington miał coś wspólnego ze spiskiem Babingtona.

Melrose poprawił okulary w złotych oprawkach i wrócił do „Country Life”, magazynu, którego w normalnych okolicznościach wprost nie znosił. Teraz jednak usiłował się nim zaślonić. Przeglądał go w milczeniu, podczas gdy Schoenberg rozwodził się nad domniemanym ateizmem sir Waltera, a także nad tym, że sir Walter rozprowadzał wywrotowe książki, próbując podgrzewać atmosferę w związku ze sprawą Marii Stuart. Melrose oglądał zdjęcia koni, domów i psów, a Harvey opowiadał o burdach, w jakie w gospodach wdawał się Kit Marlowe. Poświęcił przy tym sporo uwagi tej, która się zdarzyła na Hog Lane. Albo tym, które się tam zdarzyły. Z jego opowieści wynikało, że Kit bezustannie się bił. Melrose ziewnęła z nudów, ale zaraz coś sprawiło, że obudziła się jego czujność.

No, jestem uratowany, pomyślał, bo do sali wchodził właśnie nadinspektor Jury. Kiedy zauważył Melrose'a, natychmiast się zorientował, że ten zmagają się z potężnym taedium vitae<sup>5</sup>. Wraz z sierżantem Laską podszedł więc szybko do jego stolika.

- Oto nadinspektor Richard Jury, a to pan Schoenberg - przedstawił ich sobie Melrose i natychmiast zauważył, że twarz Harveya się rozjaśnia. Harvey bowiem ucieszył się, że ma przed sobą nowego słuchacza.

- Proszę mi mówić Harve - powiedział, ściskając dłoń Jury'ego.

- Jasne, Harve - odrzekł Jury z czymś, co Melrose'a uderzyło jako wprost odstręczająca serdeczność. No ale Jury potrafił zaskoczyć. - A to jest sierżant Lasko - dokończył Jury.

Lasko również wymienił z Harveyem uścisk dłoni.

- Opowiadałem właśnie Melowi o Szekspirze - oznajmił Harvey. - Bo widzicie, jestem programistą...

- Tak, wiem - przerwał mu Jury. - Mówił mi o tym pan Plant. Jednak mnie interesuje przede wszystkim pańska wiedza na temat epoki elżbietańskiej.

Scotland Yard prosi Harveya Schoenberga o radę? - zdumiał się w duchu Melrose, zastanawiając się równocześnie, czy jakimś dziwnym trafem nie wylądował na herbatce u Zwariowanego Kapelusznika.

Schoenberg tak bardzo pragnął okazać pomoc, że omal się nie zakrztusił. A potem i jego, i Melrose'a dosłownie zatkało, kiedy sierżant Lasko wyjaśnił, dlaczego Jury'ego interesuje ta epoka.

- Chryste Panie - powiedział Harvey, pozieleniawszy na twarzy. - No dobrze... niech pan strzela. Co chcecie wiedzieć?

Lasko zacytował wiadomy czterowiersz.

- Czy pan poznaje ten wiersz?

Harvey, bezgłośnie poruszając ustami, powtórzył słowa, jednak na jego twarzy nie pojawił się wyraz świadczący, że doznał olśnienia. Wyglądało na to, że bez swojego Ishiego jest całkiem bezradny. Pokręcił głową.

- Przepraszam. No comprende.

- „Proch Helenę przykrył młodą”. To brzmi bardzo znajomo - odezwał się Melrose i powtórzył wers kilka razy.

- Wers „Szczerze piękność każdej rzeczy” nie jest pierwszą linijką żadnego wiersza. Bo gdyby tak było, już byśmy ten wiersz znaleźli. No, ale wszystkich wersów wszelkich wierszy nie da się przecież skatalogować w żadnym indeksie.

Harvey przeczesał sobie włosy dłońmi.

- O, Boże! - westchnął. - Gdybym miał przy sobie swój IBM 8000! - Wszyscy spojrzeli na niego, a on mówił dalej: - Jeżeli to Szekspir albo Marlowe... tak, tak, jeżeli to któryś z nich, to gwarantuję, że znajdziemy ten cytat. W komputerach, które mam w domu, można znaleźć wszystko.

Szkoda, że z wyjątkiem zaginionych chłopców, pomyślał Jury.

Galaretka.

Kroki zatrzymały się pod drzwiami, taca brzęknęła o podłogę. Ów ktoś, kto ją przyniósł, słuchał przez chwilę dobiegających z wnętrza jęków. A potem, niczym jakiś Człowiek w Masce, oddalił się, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, co oznacza to przedśmiertne rżenie. Po czym kroki ucichły, a po tym kimś pozostały jedynie galaretka i cisza.

James Carlton Farraday spojrział na tacę. No cóż, pomyślał, szary kot będzie miał z tego pociechę. Bo tym razem w niewielkiej kałuży mleka pływała szkarłatna gruda jakiejś pleśni.

Kot, który przedtem, słysząc kroki, postawił uszy, opadł teraz na podłogę niczym miękka poduszka i zbliżył się, chcąc zbadać, z czego składa się dzisiejszy lunch. Powąchał hamburgera i frytki, po czym, chcąc dobrać się do galaretki, wdepnął w surówkę z białej kapusty i oplótszy nogi ogonem, zaczął zachłannie chleptać.

James Carlton tymczasem siedział na podłodze i jadł hamburgera, zastanawiając się przy tym, czy kot, który żywi się tylko galaretką, może wkrótce umrzeć. Doszedł jednak do wniosku, że zwierzak jest tak tłusty, że nawet nic nie jedząc, dożyje stu lat.

Sam natomiast odczuwał spory głód. Wykombinował sobie, że Plan Numer Cztery - to znaczy strajk głodowy - z pewnością, podobnie jak Plan Numer Jeden, nie wypali. No bo gdyby nawet on, James Carlton, nie zjadł całej reszty posiłku, oni i tak zauważyliby, że zjadł galaretkę. Odrzucając zatem myśl o strajku głodowym, sprawdził, z czym jest hamburger. A hamburger okazał się taki, jak lubił: z keczupem, musztardą i dwoma plasterkami ogórka konserwowego.

James Carlton położył się i leżąc, spałaszował nadziewaną bułkę, a potem wstał, zdjął ze ściany obrazek i na jego odwrocie zapisał, jaki był to rodzaj posiłku i o której godzinie go zjadł. Następnie przejrzał listę planów i doszedł do wniosku, że czas już wprowadzić w życie Plan Numer Dwa.

Szary kot tymczasem, najedzony i umyty, wspiął się z powrotem na łóżko, gdzie kręcąc się w kółko, wymościł sobie miejsce do spania, ułożył się i zaczął leniwie obserwować chłopca. Ten bowiem mocował się z biurkiem, przesuwając je pod okno. Operacja ta spowodowała sporo hałasu. Mimo to na korytarzu za drzwiami nie dały się słyszeć żadne kroki. Prawdopodobnie dlatego, pomyślał James Carlton, że oni przychodzą do wieży tylko po to, żeby przynieść tacę. Gdy biurko stało już pod oknem, chłopiec wyciągnął jego dolną szufladę, a także trzecią licząc od dołu i utworzył z nich rodzaj stopni. Wszedł po nich na blat, a ponieważ był lekki, ciężkie biurko się nie Przechyliło. Znalazszy się na blacie, stanął na palcach 1 wyrzwał przez niewielkie okno.

Za oknem był zakręt rzeki i drzewa. Ta rzeka to musi być Avon, pomyślał, patrząc na mgłę unoszącą się tuż nad wodą. A więc jestem gdzieś w pobliżu Stratfordu. Okienko było zakratowane. To całkiem bez sensu, pomyślał James Carlton, bo przecież znajduje się bardzo wysoko. A poza tym to dziwne, że ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zawiesić w nim firanki. James Carlton domyślał się, że siedzi uwięziony w Głównej Wieży Zamkowej, a tajemniczy właściciel zamczyska postanowił urządzić tu pomieszczenie, w którym panuje domowa atmosfera i w tym celu usunął wszelkie łańcuchy i kajdany, a także kości dawnych więźniów, po czym wstawił biurko oraz powiesił na ścianach obrazki, a w oknie firanki.

Mury tej wieży, myślał dalej, są pewnie tak gładkie, że nikt się po nich nie spuści na dół. W pobliżu nie rośnie też żadne drzewo, po którego gałęziach więzień, wydostawszy się jakimś cudem za kraty, mógłby zejść na ziemię. James Carlton przebiegł wzrokiem pokój - ponownie spojrzął na firanki, a potem na łóżko, na którym były prześcieradła i koc. Gdyby je powiązać razem, tworząc rodzaj liny, lina ta, przerzucona za okno, sięgnęłaby pewnie aż do ziemi.

Szary kot, znudzony, obejrzał się na chłopca i ziewnął szeroko. A potem, widząc, że chłopiec robi coś, co zasługuje na uwagę, zsunął się na podłogę i wdrapawszy się po szufladach, precyzyjnym susem wylądował na blacie biurka.

Następnie kot i chłopiec, wspólnymi siłami, zbadali stan zaprawy murarskiej przy okiennej kracie. Zaprawa wyglądała na popękana, a parapet miał pewnie z sześć cali szerokości. James Carlton pociągnął za jeden z prętów kraty. Okazało się, że jest obluzowany. Ukruszony kawałeczek spadł z krawędzi parapetu. James Carlton szybkim ruchem wyciągnął szczyrki i zaczął nim dźgać zaprawę, a tymczasem kot, mruczając z upodobaniem, przyglądał się jego pracy. James Carlton zauważył, że jego dłubanina przy prętach uszczęśliwia zwierzaka, doszedł więc do wniosku, że szary kot jest inkarnacją któregoś z dawnych więźniów. Ten więzień, pomyślał, z pewnością tutaj umarł, a teraz w końcu dostrzega możliwość ucieczki. Ale zaraz, myślał dalej, jeżeli ten kocur sądzi, że razem ze mną zjedzie na dół po linie z koca i prześcieradeł, to grubo się myli!

Dały się słyszeć kroki.

James Carlton spojrział na zegarek. Czy naprawdę, zadał sobie pytanie, męczyłem się z tym prętem aż do kolacji? Tymczasem kot o nic nie pytał. Zeskoczył z okna na biurko, a potem, niczym bezwładna kupka futra, wylądował na podłodze i podszedł do otworu w drzwiach.

Na czoło Jamesa Carltona wystąpiły koraliki zimnego potu. Ale zaraz, pomyślał, czym ja się właściwie martwię? Przecież do tej pory nikt tu nigdy nie wchodził.

Kroki ucichły - ten ktoś się zatrzymał, a taca z brzękiem spoczęła na podłodze. Kot czyhał przed kłapą otworu niczym przed mysią dziurą, kłapa tymczasem otworzyła się i taca wjechała do środka.

James Carlton spojrział na nią w dół z wysokości biurka.

Znowu galaretki.

Po posiłku chłopiec, znalazłszy się ponownie na łóżku, oblizał sobie wszystkie pokryte tłuszczem z kurczaka palce - A tymczasem kot wylizywał sobie łapy. Za oknem fio- letowiało już nocne niebo, a gdzieś w górze wisały dwie zimne gwiazdy. Chłopiec ziewnął. Zostawię tę robotę przy kracie do rana, pomyślał. Ogarnęła go jednak nuda. Spojrzął na wmontowaną w ścianę półkę, na której tkwiło trochę starych, dawno nieczytanych, pokrytych kurzem książek. Było tu kilka powieści Dickensa - zbrązowiałych ze starości i poplamionych tak, jakby ktoś je kiedyś zostawił na deszczu; kilka cienkich tomików poezji, a także dwie książki kucharskie z zachowanymi podartymi obwolotami.

James Carlton wyciągnął z półki Opowieść o dwóch miastach, choć książka stawiała opór niczym żelazny pręt wmontowanej w okno kraty. Bardzo lubił czytać, jednak znalazłszy się tutaj, już na samym początku zdecydował, że na czytanie nie ma czasu, bo przecież musi myśleć, jak stąd uciec. Zastanawiał się nieraz, dlaczego ci, co go uwięzili, okazali się tak głupi, że zostawili tu książki, skoro zadali sobie tyle trudu, żeby usunąć wszelki papier do pisania. Bo przecież on, chcąc wysłać komuś wiadomość, może po prostu wyrwać z którejś kartkę. Albo nawet zaszyfrować tekst, podkreślając po prostu słowa czy litery. Do tego niepotrzebny był nawet ołówek. Wystarczą zapałki, których pudełko zawsze ma przy sobie. Na

wypadek gdyby ktoś odkrył ten ogryzek ołówka w jego skarpetce. Za pomocą zapalek można nie tylko coś zapalić, można też zrobić mnóstwo innych rzeczy. Gdyby ci, co go uwięzili, nie znokautowali go do nieprzytomności, mógłby dzięki zapalnikom zostawić za sobą co prawda niezbyt trwałe, ale jednak jakieś ślady.

James Carlton spojrział na tacę. I na leżącą na talerzu bułkę. Ta bułka do rana będzie już twarda i da się wtedy łatwo pokruszyć, a on, jeżeli zgubi się w lesie, będzie mógł dzięki temu pozostawić za sobą ślady. Nie wątpi! bowiem, że do rana znajdzie się w lesie.

Hamburgery, kurczak, frytki... Dlaczego ci ludzie nie trzymają go o chlebie i wodzie, dlaczego nie próbują w ten sposób złamać jego oporu, zanim wezmą go na tortury? Perspektywa tortur sprawiła, że poczuł się trochę nieswojo. Zaraz jednak wytłumaczył sobie, że na pewno nie będą go torturować i że porwali go tylko dla okupu, bo przecież J.C. Farraday jest bardzo bogaty.

Kot drzemał teraz w nogach łóżka, a chłopiec poczuł, że i jemu kleją się oczy. Jednak zaśnięcie może mieć fatalne skutki. Jego wzrok padł na powieść Dickensa. Bo w końcu kiedy człowiek ma mieć czas na czytanie, jak nie wtedy, gdy został porwany?, zastanowił się i otworzył książkę. Jej oprawaomal się nie rozpadła, ledwo przytrzymując kruszące się ze starości kartki.

Tak, rzeczywiście, pomyślał James Carlton. Jest to naprawdę najgorsza chwila w moim życiu. A gdyby wszystko to działo się w zimie, z pewnością byłoby to „zimny mój niełaska”. Sydney Carton\*\* był naprawdę świetnym facetem. J.C. Farraday zawsze twierdzi, że czasy się bardzo zmieniły. I ma rację, bo dzisiaj naprawdę niewielu poszłoby za drugiego człowieka na szafot. Niewielu, wśród których był oczywiście jego prawdziwy ojciec, który z całą pewnością by to zrobił. Podobnie zresztą jak jego prawdziwa matka. James Carlton podniósł wzrok znad książki i zaczął się zastanawiać, gdzie są jego praw-

Por. William Szekspir, Tragedia Ryszarda III, akt I, scena 1, przeł. Leon Ulrich; William Szekspir, Dzieła dramatyczne. Kroniki, tom II, PIW, Warszawa 1963, s. 381 (przyp. tłum.).

Postać z Opowieści o dwóch miastach Karola Dickensa, który z beznadziejnej miłości do kobiety ratuje od śmierci jej męża, zajmując jego miejsce w więzieniu i ginąc za niego na gilotynie (przyp. tłum.).

dziwi rodzice. Ojciec jest pewnie jakimś wielkim bankierem albo baseballistą i wygląda jak Jim Palmer z Boston Orioles, ulubionej drużyny chłopca. A co do matki, to dobrze wiedział, do kogo jest podobna. Do Sissy Spacek. Tak, wiedział to, bo Penny była podobna do tej aktorki - miała piegi i długie włosy, no i takie trochę skośne oczy. W rzeczywistości James Carlton (choć nigdy o tym nie mówił nikomu prócz Penny) święcie wierzył, że to Sissy Spacek jest jego prawdziwą matką. Obejrzał każdy jej film co najmniej trzy razy i już dawno temu wybaczył jej wszystko. Dobrze rozumiał, że robienie kariery w Hollywood to bardzo trudna sprawa i że nie można, charakteryzując się

O piątej rano, zajmować się równocześnie niemowlętami. Wcale nie czuł do Sissy żalu, a w pewnym momencie jej twarz, bardzo wyraźna i bardzo dziwna, stanęła mu przed oczami. Wydawało mu się, że Sissy biegnie tonącymi we krwi ulicami, wśród trupów i armatnich pocisków.

James Carlton wrócił do książki. Sydney był całkiem w porządku, jednak on wolałby poczytać coś o tym, jak Ludwika wpakowano w tę żelazną maskę. Zamknął oczy

1 zaczął się zastanawiać, jak człowiek się w niej czuje. Czy to swędzi? Stojący tuż obok kosz na śmieci wyścielony był torbą z szarego papieru. James Carlton wyciągnął ją, przyjrzał jej się, zrobił w niej otworem dwie dziurki u góry i jedną większą u dołu, po czym włożył torbę na głowę. Wyobraził sobie oczywiście, że jest okropnie ciężka i sztywna. Twarz zaczęła go swędzieć, ale się nie podrapał, bo gdyby to była prawdziwa żelazna maska,

„Żelazną Maskę”, słynnego tajemniczego francuskiego więźnia stanu, zmarłego w roku 1703 w Bastylji, Aleksander Dumas ojciec w powieści Wicehrabia de Bragelonne przedstawia nie jako Ludwika, tylko jako brata bliźniaka króla Ludwika XIV (przyp. tłum.).

nie mógłby tego zrobić. Musiała doprowadzać biednego więźnia do szafu. Była pewnie jak temblak, na którym człowiek nosi rękę przez długie miesiące.

W końcu jednak nie wytrzymał, podrapał się w policzek, po czym odłożył powieść Dickensa i wyjął z półki inną książkę. Była to Radość gotowania, która wyglądała, jakby miała ze sto lat. James Carlton o gotowaniu nie miał zielonego pojęcia. Jednak z nudów odszukał w książce hasło „Kurczak”. Zdumiał się niepomiarowo, widząc, na ile różnych sposobów można przyrządzić tego ptaka. Studiował przepisy kulinarne, patrząc przez otworki zrobione w masce z szarej torby. Kurczak z kluseczkami, kurczak smażony na południową modłę, kurczak z grilla, kurczak taki i inny, noszący nazwy, na których można było sobie połamać język. A ten dzisiejszy, pomyślał, musiał być smażony na południową modłę.

Upuścił książkę, która z głuchym stuknięciem upadła na podłogę, i zapatrzył się przed siebie, myśląc o kurczaku... a także o hamburgerze, bo ten ostatni był dokładnie taki, jak lubił...

W chwilę potem podbiegł do biurka i wspiął się na jego blat, chcąc wyrzeć przez okno, za którym zapadł już zmrok. Nie było jednak całkiem ciemno, więc dostrzegał wierzchołki drzew i liście, które w blasku przypominającego srebrną monetę księżycy błyszcząły niczym lakierowana skóra. Przestraszony i podekscytowany James Carlton zapomniał, że wciąż ma na głowie torbę. Uświadomiwszy to sobie, zerwał papier z głowy, przycisnął twarz do kraty i spojrzął za okno, a tam na czarnej wodzie kładła się smuga księżycowego światła. Przy czym woda, drzewa, brzeg rzeki - wszystko to razem było jakies znajome.

James Carlton miał pamięć, którą nazywa się fotograficzną. Fascynowała ona Schoenberga, a także nauczycieli Jamesa w szkole. Jednak dla osób pragnących, by chłopiec wymazał ze swojej świadomości różne ich ciemne sprawy, była czymś zdecydowanie niewygodnym. Do osób takich należała Amelia Blue, która zdawała sobie sprawę, że w umyśle pasierba na zawsze zakodowało się kilka dotyczących jej drobnych incydentów, o których najlepiej byłoby zapomnieć.

Teraz, dzięki swej fotograficznej pamięci, James Carlton, pomimo ciemności, potrafił stwierdzić, że rzeka, którą widzi za oknem, jest pięć razy szersza od Avonu.

Nie potrzebował też ponownie próbować kurczaka, żeby wiedzieć, że jest naprawdę pyszny. Ani hamburgera z odrobiną musztardy i keczupu, a także dwoma plasterkami ogórka.

Chłopiec odwrócił powoli głowę i spojrzał na szarego kota. Po czym on, który zadał sobie tyle trudu, żeby się pozbyć prostackiej wymowy z Wirginii Zachodniej, powiedział teraz najczystszym akcentem z tego stanu:

- Posłuchaj no, kocie. Nie jesteśmy w Stratfordzie. To pewne jak dwa i dwa jest cztery.

Szary kot otworzył na chwilę oczy, spojrzał na chłopca, po czym przeciągnął się i wrócił do swoich snów o myszach i galaretce.

Bo przecież dla niego ta informacja nie była żadnym zaskoczeniem.

Do Londynu? - zapytała Agatha Ardry, biorąc kolejną trójkątną grzanekę. Nie, nie chcę śniadania, powiedziała wcześniej, jadłam już z Biggetami. Więc Melrose doszedł do wniosku, że zamierza po prostu zjeść to, co przyniesiono dla niego. Smarowała sobie właśnie marmoladą trzecią grzanekę. - Po co ty właściwie jedziesz do Londynu? - powtórzyła pytanie.

- Żeby popatrzeć na królową\* - odrzekł, wpisując w kratki krzyżówki kolejne słowo.

- I rozumiem, że mnie chcesz zostawić tutaj, samą sobie, jak rozbitka bez pomocy.

Niezmiennie pewna własnych racji przywołała kelnera i poprosiła o dodatkowe grzanki.

- Wyrzuconą na bezludną wyspę, jak Robinson Crusoe. Z tym, że on miał tylko Piętaszka, a ty masz cały zastęp Biggetów.

Aluzja do znanej rymowanki: Pussy cat, pussy cat, Where haue you beert?/ I'ue been to London/ To look at the Queen (przyp. tłum).

- Cóż, mój drogi Plancie, masz wiele wad. Jednak dotychczas uważałam cię przynajmniej za dżentelmena. Teraz jednak widzę... - Jej perorę na temat utracenia przez Planta ostatniej z cechujących go cnót przerwał kelner, który zjawił się właśnie, żeby dołożyć grzanek. - Jury coś knuje, tak? I to właśnie dlatego jedziesz do Londynu.

Melrose podniósł wzrok znad krzyżówki.

- Knuje? - zapytał. - Jeżeli potrafisz sobie przypomnieć, jest nadinspektorem policji i pracuje w New Scotland Yardzie. Więc raczej nie nazwałbym „knuciem” śledztwa w sprawie kolejnego makabrycznego morderstwa popełnionego w tym skądinąd spokojnym mieście.

- Kolejnego morderstwa? Kolejnego?!

Grzanka ze sporą porcją konfitur z pigwy zawisła w połowie drogi do ust ciotki Agathy.

- Więc nic o tym morderstwie nie wiesz? Skoro tak, to jesteś jedyna w Stratfordzie. Zeszłej nocy. Amerykanka, dziewczyna z jednej z grup wycieczkowych. Gardło podcięte od ucha do ucha.

Melrose objawił ciotce te nowiny z perwersyjną rozkoszą. Wzdrygnęła się.

- Plant, jesteś po prostu potworem.

- Ja? Przecież to nie ja zabiłem tę młodą damę.

- Amerykanka? Powiedziałaś „Amerykanka”? - Otworzyła szeroko oczy. - A czy tamto drugie stworzenie też było Amerykanką?

- Taką samą jak ty. I Biggetowie.

Łyzeczka, którą ciotka Agatha mieszała przed chwilą trzecią herbatę, zadzwoniła o spodeczek.

- Boże miłosierny! Czy sugerujesz, że ten ktoś żywi urazę do Amerykanów?

- Być może jest to jakiś fanatyk z czasów amerykańskiej wojny o niepodległość.

- A kogo chce zabijać i z jakich powodów?

- Mówiłem ci. Zabił młodą dziewczynę, turystkę. I wątpię, by policja знаła powody, dla których to zrobił.

- Zbrodnia na tle seksualnym, tak? - zapytała Agatha przyciszonym głosem.

- Nie mam pojęcia. - Melrose skończył krzyżówkę i pomyślał, że pobił rekord świata, bo rozwiązał ją w niecały kwadrans, rozmawiając równocześnie z Agathą. Szykując się do wyjścia, wręczył jej gazetę. - Przeczytaj sobie o tym.

- Dokąd się wybierasz?

- Mówiłem już. Do Londynu.

- No cóż, Biggetowie i ja z całą pewnością nie zostaniemy ani chwili dłużej w Stratfordzie - powiedziała zdecydowanym tonem Agatha, odkładając serwetkę.

- A dokąd pojedziecie? - zapytał, patrząc na nią i mrużąc oczy.

- No przecież do Long Piddleton.

- Jeżeli po powrocie do Ardry End zastanę zakwaterowanego tam choćby jednego Biggeta, to osobiście odeskortuję go nad Piddle River - oznajmił Melrose bez emocji.

- No wiesz! Wielka szkoda, że nie odziedziczyłeś po rodzicach ich gościnności. Twoja matka, kochana lady Marjorie, księżna Caverness...



- Ciociu - przerwał, przymykając ze zboloną miną oczy - dlaczego ty zawsze mówisz o moich rodzicach w taki sposób, jak kamerdyner anonsujący czyjeś przybycie na bal? Pamiętaj: choćby jeden Bigget... - Wstając, popatrzył na nią z góry i wykonał dłonią gest podcinania gardła.

Zważywszy na okoliczności, pomyślał, jest to gest dość makabryczny.

Tego ranka, o dziewiątej czterdzieści pięć, Melrose był w stratfordzkiej bibliotece jedynym czytelnikiem. Jeżeli nie liczyć pewnego dotkniętego porażeniem staruszka, który pokastując rytmicznie, powoli przewracał stronicę jakiegoś czasopisma. Poza tym w czytelnicy było cicho jak w grobie, a Melrose, mając przed sobą otwarty tom poezji elżbietańskiej, dokonywał jakichś zapisków.

Ponieważ biblioteka nie była wyposażona w kopiarkę, musiał pracowicie przepisać cały poemat, od początku do końca. A poemat ów miał wiele zwrotek. Przemknęło mu przez myśl, że mógłby poprosić o wypożyczenie książki do domu. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że skoro jest nietutejszy, pociągnęłoby to za sobą mnóstwo biurokratycznych komplikacji.

Załżył nakrętkę na pióro, przeczytał wiersz ponownie i zamknął książkę. Tykanie stojącego zegara szafkowego, szelest kartek czasopisma, od czasu do czasu stukot obcasów bibliotekarki - to były jedyne dźwięki towarzyszące jego refleksjom na temat wydarzeń ostatniej doby. Posiedział jeszcze parę chwili, zastanawiając się nad nimi, po czym wstał, odstawił na półkę tom poezji, podszedł do katalogu kartkowego, odszukał w nim numer innej półki i zdjął z niej drugą książkę.

Tę czytał przez godzinę. A potem ją także zamknął i zastanawiał się nad czymś przez chwilę, bębniąc palcami w okładkę.

Być może to drobna rzecz, pomyślał, marszcząc brwi, ale mimo to dziwna.

Kiedy Jenny Kennington otworzyła drzwi małego domku o wąskim frontonie, stojącego przy Ryland Street, w starej części Stratfordu, Jury doznał lekkiego wstrząsu. Nie dlatego, że się zmieniła, tylko dlatego, że nie zmieniła się wcale. Miała nie tylko takie same włosy, ale i dawną fryzurę - brązowe, kręcące się na końcach pasma związane niedbale na karku niewielką apaszką. Co do spódnicy, to mogła być inna - bo przecież każda dobra wełna wygląda bardzo podobnie - jednak sweter był z całą pewnością ten sam. Jury przypomniał sobie, jak wpleciona w dzianinę srebrna nitka zabłysła w popołudniowym słońcu, gdy stali oboje w wielkiej pustej jadalni rezydencji w Stonington.

- Pan nadinspektor!

Na jej twarzy pojawił się uśmiech i zgasł bardzo szybko. Wyglądało to tak, jakby nie była pewna, co czuje na jego widok. Kiedy jednak początkowe zaskoczenie ustąpiło i kiedy zaprosiła go już do środka, Jury pomyślał, że Jest świadoma ich wspólnego, lecz nieznanego żadnemu z nich sekretu.

Wszedł i wydało mu się, że ma przed oczami dobrze znaną scenę. Salonik bowiem zastawiony był pudłami - pełnymi jakichś rzeczy i już pozamykanymi, a także pustymi albo zapełnionymi do połowy. Natychmiast też ogarnęło go uczucie pewności, że nie zastał jej bynajmniej w chwili wprowadzania się do tego domu.

Jej wzrok tymczasem pobiegł za jego spojrzeniem, a gestem bezradności uniosła ręce w górę i natychmiast je opuściła.

- Wygląda na to, że nigdy nie udaje mi się zaproponować panu krzesła - powiedziała zmartwiona. - Meble, prócz łóżka i kilku innych rzeczy, już sprzedałam. No cóż, nie było sensu przewozić wszystkich tych kłocowatych przedmiotów...

- Krzesło nie ma znaczenia. Czy to się nie załamie, jeżeli usiądę? - zapytał Jury, wskazując jedno z zamkniętych pudeł.

- Nie, oczywiście, że nie.

Usiadł ostrożnie na brzegu pudła, a ona zrobiła to samo - siadła na skrzyni stojącej naprzeciw niego.

- Ma pan papierosa?

- Oczywiście. - Wyjął paczkę. Okazało się, że został w niej tylko jeden papieros, a ona, wyciągnąwszy rękę, zaraz ją cofnęła. - Proszę, niech pani weźmie - powiedział. - Ja i tak próbuję ograniczać. - Oddałby miesięczną pensję za papierosa i butelkę whiskey, które w tej chwili pomogłyby mu przez to przebrnąć. - Proszę - powtórzył.

- Podzielimy się nim.

- Dobrze - zgodził się z uśmiechem, podając jej ogień. - Dokąd pani wyjeżdża?

- Mam ciotkę... To osoba starsza i chora... Chce się wybrać w podróż morską i potrzebny jej ktoś, kto by z nią pojechał. Jestem jej jedyną krewną, a ona moją. Wszyscy pozostali już nie żyją. - Wypuściła dym z ust i podała papierosa Jury'emu. - Zabawne. Wygląda na to, że inni ludzie wciąż coś dodają do swego życia. No wie pan, mężów, dzieci, wnuki... A ja tylko tracę.

Nie było w tych słowach użalania się nad sobą. Niosły jednak dużą dawkę emocji - z tego prostego powodu, że zostały wypowiedziane tak beznamiętnie.

Jury zaciągnął się papierosem, smakując jej usta niczym ulotne wspomnienie, po czym go oddał.

- Nie musi tak być - powiedział.

Wpatrywała się w jakiś punkt w powietrzu ponad jego ramieniem.

- No nie wiem...

Spojrzała mu w oczy.

Spróbował się uśmiechnąć, ale nie za bardzo mu to wyszło.

- Jeżeli chodzi tylko o podróż... - rozejrzał się po pokoju - ...to skąd to wszystko?

- Bo obawiam się, że ta podróż będzie naprawdę długa.

Papieros, który teraz ona mu oddała, już prawie zgaśł. Jury nie zaciągnął się... Bał się, że całkiem zgaśnie.

-Ale gdy pani wróci... To znaczy... musi się pani przecież gdzieś osiedlić... Czy pani nie wie, gdzie to będzie?

- Właściwie nie. - Pokręciła głową. - Możliwe, że na jakiś czas zamieszkać z ciotką Jane. Chociaż... ze względu na jej stan... nie spodziewam się, by zostało jej jeszcze dużo czasu.

- Nie musi pani wyjeżdżać - powiedział z nagłą stanowczością Jury.

- Szkoda, że nie przyjechał pan wcześniej - odrzekła.

Jury, patrząc na spopielający się biały wałeczek papierosa, przypominał sobie ich poprzednie spotkanie. No cóż, wygląda na to, że między nimi stoją zawsze kurz i popiół, pomyślał, zastanawiając się równocześnie, czy nie staje się fatalistą.

- Nie może pani przez resztę życia tak dryfować.

- Mieszkaliśmy kiedyś... to znaczy moja rodzina... mieszkaliśmy tutaj. Nie w samym Stratfordzie, ale całkiem niedaleko. Nasz dom jest duży. Za duży dla mnie samej. Tak czy inaczej, teraz jest kompletnie zdewastowany. Boczne skrzydła to właściwie ruina, a stróżówka...

Wyglądało to tak, jakby podejmowała wątek ich rozmowy przerwanej zaledwie przed paroma minutami. A przecież upłynęło od niej już kilka miesięcy...

- ...Kiedy tam pojechałam, zrozumiałam, że człowiek nie może wrócić do przeszłości.

- Ależ może - zaproponował Jury.

Papieros parzył mu palce. Jury był zmuszony upuścić go na podłogę. A wtedy ona postawiła na nim stopę i rozgniotła go jednym ruchem.

Kiedy Jury podniósł na nią wzrok, uśmiechała się smutno.

- Nigdy od nikogo nie słyszałam takich słów. Naprawdę pan w to wierzy?

- To Gatsby. To on tak powiedział. Wie pani, ten z powieści Scotta Fitzgeralda. O Daisy.

Jej wzrok błędził po pokoju, omijając jedynie jego.

- Daisy... No tak, Daisy.

Jury wstał.

- Muszę już iść, w ciągu godziny wyruszam do Londynu... Proszę posłuchać. Pani jeszcze tu będzie, prawda? Przez kilka dni? Albo może mogłaby pani do mnie zadzwonić przed wyjazdem?

Dał jej wizytówkę, zapisawszy na odwrocie swój telefon domowy.

-Spodziewam się, że będę tutaj jeszcze przez tydzień. - Spojrzała na wizytówkę. - I... Tak, zadzwonię. Ale... jemu nie wyszło, prawda? - powiedziała smutnym tonem, gdy byli już przy drzwiach. - To znaczy Gats- by'emu.

- To chyba zależy od interpretacji - uśmiechnął się Jury.

W drodze powrotnej, idąc Ryland Street, uświadomił sobie, że temat morderstwa ani razu nie pojawił się w ich rozmowie.

Ib J

20

Zanosił się na to, że Melrose, po śniadaniu w przymusowym towarzystwie Agathy, podczas lunchu będzie miał na karku Harveya Schoenberga. Kiedy bowiem po piętnastu minutach wszedł „Pod Kaczora”, Harvey już tam był - siedział, wspierając się ramieniem o komputer, i pił porter.

- Hej, Mel! - zawołał, przekrzykując gwar głosów mniej niż zwykle licznych gości.

Wyglądało na to, że po rewelacjach ostatnich dwóch dni turyści rozprysnęli się niczym gruby śrut.

- Dzień dobry - odrzekł Melrose, kładąc na stole swoją laskę. - Myślałem, że wasza grupa wycieczkowa pojechała już do Londynu.

- Zatrzymuje nas J.C. To znaczy Farraday. Rick próbuje go przekonać, żeby ruszył się z miejsca. Ale on nie chce...

- Rick?

- No tak. Ten ze Scotland Yardu. - Harvey podniósł szklanę. - Napijesz się?

- Poproszę sherry, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Tio Pepe, wytrawne.

- Aha. Tio. Dobrze. Popilnuj go - ruchem głowy wskazał komputer.

- Będę go strzegł jak oka w głowie.

Harvey poszedł do baru, a Melrose wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru. Położył go na stole i jeszcze raz przeczytał cały poemat, zwracając szczególną uwagę na zwrotkę, którą na własny, makabryczny użytek przywłaszczył sobie morderca.

Harvey wrócił po paru minutach, postawił przed nim sherry i podjął rozmowę w taki sposób, jakby jej wcale nie przerywał.

- W końcu nie można biedaka o to winić, bo przecież Jimmy jeszcze nie wrócił. Nie myślisz chyba - dodał przyciszonym głosem - że dzieciakowi coś się stało? - Kiedy Melrose ociągał się z odpowiedzią,

szturchnął go łokciem. - No wiesz, co mam na myśli.

- Wiem. Ale to nie całkiem pasuje do schematu.

- Do schematu? Do jakiego schematu?

- Obie ofiary były kobietami. A ty znałeś chłopaka dość dobrze, prawda? To znaczy... Jimmy rozmawiał z tobą więcej niż z innymi uczestnikami wycieczki.

- Chyba tak. O komputerach. Nie znam nikogo, kto by tak dobrze jak on potrafił chwycić temat. Próbowałem go ukierunkować na przyszłość. No wiesz, jeżeli chodzi o zawód. Chłopak jest naprawdę inteligentny. No ale teraz muszę iść. - Dopił porter, wstał i zarzucił sobie na ramię pasek pudła z komputerem. - Rany, nie mogę się już doczekać tego Londynu. Masz pojęcie? Deptford to pierwsze miejsce, do którego się udam. A potem do Southwark ' może do Greenwich. Słuchaj, Mel, powinienes te miejsca °bejrzeć razem ze mną. - Harvey wyciągnął rękę dłonią do góry. - Znam drugi brzeg Tamizy jak wnętrze własnej dłoni - oznajmił. - W każdym razie ten z dawnych czasów. To dlatego że studiowałem różne stare mapy. Oczywiście w dzisiejszych czasach jest tam pewnie inaczej.

Harvey westchnął i ruszył ku drzwiom, po drodze narażając się na nieprzychylnie spojrzenia, gdy jego komputer zahaczył o kilka łokci.

Już był przy drzwiach, kiedy do sali wszedł Jury. Wymienili kilka słów, Harvey kiwnął głową, otwartą dłonią pacnął Jury'ego w ramię i wybiegł z pubu.

- Cześć, Rick - powiedział Melrose, wyciągając spod stołu krzesło. - Usiądź i odpocznij.

- Dzięki. Cała wycieczka ma zatrzymać się w hotelu Brown's. Miejmy nadzieję, że się stamtąd nie ruszą.

- Co do Harveya, to mogę ci zagwarantować, że on na pewno tak. Po pierwsze do Londynu przyjeżdża jego brat Jonathan. Chociaż z drugiej strony nie sądzę, by ten był mu dobrym kompanem podczas wypraw do miasta. We własnej wyobraźni Harvey już dziś kręci się po South- wark i Deptford. Wraz ze mną, bo mnie na te eskapady zaprosił.

- Tak. Mówił mi. To znaczy o tym, że przyjeżdża jego brat. Wygląda na to, że i ten brat zatrzyma się w tym samym hotelu. Honeycutt nie żartował, kiedy mówił, że wszyscy oni są bogaci. Sprawdziliśmy uczestników wycieczki i okazuje się, że żadnemu nie brakuje pieniędzy. Ale niestety, nie ma sposobu, żeby ich zatrzymać w hotelu - westchnął. - Amelia Farraday na przykład jest gotowa wsiąść do pierwszego lecącego do Stanów samolotu. A ja nie mam pewności dlaczego. Czy dlatego że chce odpędzić złe wspomnienia, czy też by się znaleźć jak najdalej od brytyjskiej policji. Sądzę jednak, że wykombinujemy sposób na zablokowanie tego ruchu. Skończyłeś? Ja tylko wypiję drinka i coś zjem. Aha, zarezerwowałem ci pokój w hotelu Brown's. Będziesz ich miał na oku. Niech Harvey oprowadzi cię po Southwark. A tak a propos, co on tam chce, u diabła, znaleźć?

- Spodziewam się, że gospodę, w której zabito Kita Marlowe'a. Tę, w której są te upiorne

belkowania. Odrobiłem za ciebie pracę domową. Masz tutaj ten wiersz... Przepisałem go w całości.

Melrose wyjął z kieszeni arkusz papieru kancelaryjnego.

- Do diabła. Jak ci się udało to znaleźć? Wszyscy moi ludzie wertyują tomiki poezji...

- Ano tak, po prostu. Po pierwsze wyszedłem z założenia, że wiersz pochodzi z epoki elżbietańskiej. A antologii poezji elżbietańskiej jest sporo. Poszedłem więc do biblioteki i znalazłem najgrubszą z nich. Po czym przejrzałem indeks incipitów.

- Incipitów? Ale przecież mówiliśmy, że nie jest to pierwsza linijka tego wiersza...

- I mieliśmy rację. Bo nie jest. Ale ja wziąłem też pod uwagę schemat metryczny. - Melrose poprawił okulary w złotych oprawkach. -1 w ten sposób wyeliminowałem co najmniej trzy czwarte wierszy zamieszczonych w tej antologii. A może nawet więcej. Ten nasz wiersz ma bardzo regularny rytm. Trymetr jambiczny. Gdyby to był pentametr albo coś innego, to byłoby trudniej. Zaznaczyłem sobie po prostu wszystkie incipity w trymetrze jambicznym.

- Cholera. - Jury uśmiechnął się z uznaniem.

- No tak. Jestem irytująco inteligentny, prawda? - zapytał z dumą Melrose.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do sali. O Boże! - przemknęło przez myśl Melrose'owi, który całkiem zapomniał o Vivian Rivington. A tymczasem to ona stała teraz w progu.

Melrose, szybkim ruchem, podsunął arkusz tuż pod nos Jury'ego.

- Masz, czytaj - powiedział.

- Na litość boską, człowieku, nie jestem ślepy! - zaprotestował Jury, opuszczając arkusz i pochylając się nad nim.

Siedzieli w głębi sali, w rogu. Więc było całkiem możliwe, że Jury nie zauważy Vivian, a ona, wraz ze swoim towarzyszem - szczupłym, ciemnowłosym facetem, bez wątplenia narzeczonym - przejdzie dalej. Niech się tylko nie odwraca i nie rozgląda po sali...

Jednak ona się odwróciła.

I to w chwili gdy Jury, po przeczytaniu wiersza, podniósł głowę, żeby coś powiedzieć.

Melrose podziękował Bogu, że nie stoi na linii ich spotykających się spojrzeń.

- Cholera... - mruknął Jury, wstając.

Vivian tymczasem, rozpromieniona, ruszyła w stronę ich stolika. Ubrana w dżinsy i jedwabną białą bluzkę, na dodatek w towarzystwie przystojnego bruneta, wyglądała pięknie.

- Boże drogi, pan inspektor Jury... - powiedziała, wyciągając do niego rękę.

- A, panna Rivington. Co za niespodzianka.

Co za banał, pomyślał z ulgą Melrose.

Jeżeli nigdy nie przeszli na ty, to czymże ja się martwiłem? Ale z drugiej strony, może cała ta sztywność i fakt, że żadne z nich nie wie, co powiedzieć, co zrobić z rękami, są na użytek tego tkwiącego za nią hrabiego Monte Christo?

- Przepraszam, ja... - Vivian zwróciła się do śniadego faceta o wyrazistych rysach, który, poważny jak na Europejczyka przystało, stał z dłońmi w kieszeniach blezera, skłaniając się uprzejmie w ich stronę. - To jest Franco Gia- pinno, mój... a to... pan inspektor Jury i lord... to znaczy Melrose Plant.

Zarumieniła się jak dziecko, które podczas szkolnego przedstawienia zapomniało roli. Czyli jak dawna dobra i znana im Vivian. Zabrzmiały teraz ciche „miło mi poznać”, a także gardłowe włoskie frazy, gdy zwróciła się do Giapinna, do którego Melrose poczuł natychmiastową niechęć.

- Dlaczego to niespodzianka? - zapytała Vivian Jury'ego. - Czy Melrose nie powiedział panu, że jestem w Stratfordzie?

Jury posłał Melrose'owi spojrzenie zdolne wstrzymać w pędzie stado bizonów.

- Nie - padło z jego ust.

Melrose, pomiędzy ich spojrzeniami, poczuł się jak w pułapce.

- No cóż, Vivian - powiedział - nie rozmawiasz już z „inspektorem”, tylko z panem „nadinspektorem” Jurym.

- I tak powinno być - odpowiedziała z tą szczerością, która zawsze sprawiała, że jej najbanalniejsze uwagi brzmiały entuzjastycznie. - Franco i ja, yyy, jesteśmy...

Zawiesiła głos, a Franco, bardzo zadowolony, wpadł jej w słowo.

- Zaręczeni - powiedział i gestem posiadacza objął ją w talii.

Po czym wszyscy się uśmiechnęli, a Jury, w chwilę Potem, nie przyjął zaproszenia Giapinna na lunch.

- Przepraszam, ale jadę do Londynu. Samochód już czeka.

- O - powiedziała smutno Vivian. - Czy to w sprawie... Słyszałam, że w Stratfordzie popełniono morderstwo... Czy to o to chodzi...?

- Właśnie o to - odrzekł lakonicznie Jury.

Ich pożegnanie wypadło dokładnie tak samo głupawo jak niedawne powitanie i Vivian oddaliła się wraz ze swoim Włochem. Dobrze przynajmniej, pomyślał Melrose, że obyło się bez zaproszenia na ślub.

Stali w milczeniu przez dłuższą chwilę - Melrose ze wzrokiem wbitym w podłogę, nie mając odwagi

spojrzeć na Jury'ego, który próbował zapalić papierosa.

W końcu, zza mgły wznoszącego się w górę papierosowego dymu, odezwał się Jury.

- „Tyle jest spelunek we wszystkich miastach na całym świecie. A ona musiała wkroczyć właśnie do mojej”\*.

Of all the gin joints in all the towns in all the world - she had to walk into mine. Cytat z filmu Casablanca (przyp. tłum.).

Deptford

To nas bardziej z nóg zbija niż wielki rachunek na małym arkuszu.

William Szekspir, Jak wam się podoba, akt II, scena 3 (przełożył Leon Ulrich)

- Przepraszam, ale jadę do Londynu. Samochód już czeka.

- O - powiedziała smutno Vivian. - Czy to w sprawie... Słyszałam, że w Stratfordzie popełniono morderstwo... Czy to o to chodzi...?

- Właśnie o to - odrzekł lakonicznie Jury.

Ich pożegnanie wypadło dokładnie tak samo głupawo jak niedawne powitanie i Vivian oddaliła się wraz ze swoim Włochem. Dobrze przynajmniej, pomyślał Melrose, że obyło się bez zaproszenia na ślub.

Stali w milczeniu przez dłuższą chwilę - Melrose ze wzrokiem wbitym w podłogę, nie mając odwagi spojrzeć na Jury'ego, który próbował zapalić papierosa.

W końcu, zza mgły wznoszącego się w górę papierosowego dymu, odezwał się Jury.

- „Tyle jest spelunek we wszystkich miastach na całym świecie. A ona musiała wkroczyć właśnie do mojej”.

\* Of all the gin joints in all the towns in all the world - she had to walk into mine. Cytat z filmu Casablanca (przyp. tłum.).

Deptford

To nas bardziej z nóg zbija niż wielki rachunek na małym arkuszu.

William Szekspir, Jak wam się podoba, akt II, scena 3 (przełożył Leon Ulrich)



Starszy nadinspektor Racer zamknął z trzaskiem tekturową teczkę i ponad blatem biurka posłał sierżantowi Alfredowi Wigginsowi gniewne spojrzenie. Sierżant, całkiem dotychczas wolny od winy angażowania się w tę sprawę, stanowił doskonały cel jego uszczypliwych uwag.

Wiggins wyjął chusteczkę i wydmuchał nos, czyli zrobił to, co robił zawsze w trudnych sytuacjach.

- Przepraszam, że wyciągnąłem was z izby chorych, sierżancie - powiedział na to Racer z ironiczną troską.

Jego sarkazm uszedł jednak uwagi Wigginsa, a siedzący wraz z nimi Jury pomyślał, że sierżant od tak dawna wytrzymuje tego rodzaju ataki jedynie dzięki swej zdolności brania wszelkich wypowiedzi dosłownie.

- Nic nie szkodzi, panie starszy nadinspektorze - powiedział teraz uprzejmie. - To tylko alergja. W tym tygodniu stężenie pyłków w powietrzu jest strasznie...

Twarz Racera, zaczerwieniona od nadmiaru brandy Wypitej podczas lunchu w klubie, stała się teraz purpu- rowa z tłumionej wściekłości. Po czym ta wściekłość <sup>^</sup>buchła.

- Nic mnie, do cholery, nie odchodzi jakieś stężenie pyłków! Nie jestem pszczołą! I zostawcie to sakramenckie pudełko!

Są mężczyźni, którzy w stresie sięgają po broń, są inni, tacy, co sięgają po papierosy. Wiggins sięgał po pastylki na kaszel. W tej chwili obdzierał właśnie pudełko takich pastylek z celofanu.

- Przepraszam, panie starszy nadinspektorze.

Jury ziewnął, nie przestając patrzeć w okno, za którym nad New Scotland Yardem wisiało przypominające szarą maź niebo, majaczył tam także niewielki kwadrat wód Tamizy. Racer uparł się, żeby mieć gabinet z widokiem. I świetnie, pomyślał Jury, niech go ma, aż do dnia, kiedy zdecyduje się skoczyć z okna. Tymczasem Racer, zwracając się do Wigginsa, nadal cedził coś przez zęby. Jury czekał, wiedząc doskonale, że są to tylko przygotowania do właściwej operacji - tej polegającej na spreparowaniu jego własnej osoby. Racer wciągał w ten sposób gumowe rękawiczki oraz układał w równym rzędzie skalpele, noże chirurgiczne, kleszcze. Ten człowiek, pomyślał Jury, minął się z powołaniem. Powinien był zostać lekarzem sądowym.

Skończywszy z nieco jak zwykle pobladłym Wiggin- sem, Racer odsunął się od biurka wraz z obitym skórą krzesłem obrotowym, strzepnął pyłek ze swego doskonale skrojonego garnituru, poprawił miniaturowy goździk w butonierce i zwrócił się z jadowitym uśmiechem ku Jury'emu.

- „Krwawy Rezun”, co? - powiedział, patrząc na Jury'ego tak, jakby ów rezun siedział przed nim w

całej swej krwawej krasie. - To naprawdę nadzwyczajne, panie nadinspektorze - Racer dotychczas nie wy-

baczył Jury'emu jego zeszłoroczny awansu - że jedzie pan ni stąd, ni zowąd do Stratfordu i wraca stamtąd, mając na koncie dwa morderstwa i jedno zaginięcie.

Zabrzmiało to tak, jakby Jury był kolekcjonerem.

Racer wstał i przeszedł się swoim zwyczajem kilka razy po pokoju, po czym z jego ust padły wspaniałomyślnie słowa:

- Nie żebym miał obciążać was odpowiedzialnością za działania tego szaleńca...

- Dziękuję panu - powiedział Jury, po czym nastąpiła pauza.

- Nadinspektorze Jury, sarkazm jest rzeczą zarówno nieprofesjonalną, jak i bezcelową - brzmiały następne słowa Racera, który stał teraz za Jurym i Wigginssem, uważając zapewne, że przemawiając do ich potylic, ma nad nimi psychiczną przewagę.

Jury zauważył kątem oka, że Wiggins skorzystał z okazji, by po cichutku otworzyć pudełeczko z pastylkami.

- Jednakże - mówił dalej Racer - nie wystarczy się uprzeć i zaangażować w sprawę, która w istocie rzeczy leży w gestii policji z hrabstwa Warwick. Czy oni prosili nas o pomoc? Nie, wcale nie! A co wy robicie? Angażujecie się i obciążacie mnie koniecznością załagodzenia sytuacji i kadzenia szefowi policji...

Aha, już, kadzenie! W wykonaniu Racera! Powiedziałbym raczej chluśnięcie w oczy witriolem, pomyślał Jury. Tymczasem Racer, ten bezzębny tygrys, wciąż stąpając bezgłośnie za ich plecami, perorował dalej.

Racer metaforycznie już dogorywał, wciąż jednak opierał się śmierci. Bo choć w zeszłym roku wszyscy inspekto- rzy i nadinspektorzy w New Scotland Yardzie niecierpliwie wyglądali jego przejścia na emeryturę, nie nastąpiło to aż do tej pory. Racer wciąż pełził ku emeryturze, tak jakby stanowiła ona jakieś stadium terminalne. Jego koledzy, by znowu posłużyć się metaforą, pewni, że za chwilę nastąpi śmiertelne zejście, zgromadzili się w piątek wokół jego trumny, po to tylko, by w poniedziałek przekonać się, że trup dał drapaką, przeszedł resuscytację i zasiada przy biurku w zaprasowanych w ostry kant spodniach od krawca z Savile Row i z kwiatem w butonierce.

...no ale wam to nie wystarczy! Bo wy potem, zamiast spokojnie zostawić robotę chłopakom ze Stratfordu, ściągacie cały ten bajzel do Londynu! I po co, Jury, po co?!

- Po gówno - wyrwało się Jury'emu, który czasem nie mógł się powstrzymać.

Zapadła cisza. Kroki Racera ustały. Wiggins spojrzął ukradkiem na Jury'ego, a potem, ssąc pastylkę, wbił wzrok w ścianę.

Racer pochylił się nad ramieniem Jury'ego.

-Co to było, mój chłopcze? - zapytał, ziejąc mu w twarz brandy z wodą sodową.

- Nic, panie starszy nadinspektorze.

Racer wznowił swoją przechadzkę.

- Od czasu, kiedy zostaliście nadinspektorem, Jury-

Jury już zdążył pożałować, że nie trzymał języka za

zębami. Swoją odpowiedzią sprawił, że Racer zaczął pomstować jeszcze bardziej, a na dodatek wsiadł na jego- Jury'ego, toczącą się w zawrotnym tempie karierę.

- Poszedłeś w górę, synu - oznajmił. - Ale powiadam ci, równie łatwo możesz spaść na dół...

Do diabła, pomyślał Jury, jeżeli to będzie szło w tym tempie, spędzę tu całe popołudnie.

W tej chwili jednak na szczęście do pokoju wkroczyła sekretarka Racera, Fiona Clingmore, i rzuciła na jego biurko jakieś papiery. Miała przy tym na sobie coś, co wyglądało na rodzaj negligżu, a było najwyraźniej letnią sukienką. To coś było czarne i miało z przodu całe warstwy szczypanek, dzięki którym wszystko, co było pod spodem, nie zostało tak do końca wystawione na widok publiczny. Stała teraz z jedną ręką opartą o biurko, a drugą na wypiętym biodrze, bębniąc o blat szkarłatnymi paznokciami i obdarzając wszystkich trzech mężczyzn całym dobrodziejstwem swego dekoltu. Jury wiedział, że od chwili jej czterdziestych urodzin upłynął spory szmat czasu. Jednak Fiona się nie poddawała.

- Panno Clingmore - odezwał się Racer - byłbym wdzięczny, gdyby pani była uprzejma pukać. I proszę zabrać stąd tego wyliniałego kota!

- Przepraszam - odrzekła, zwilżając palec i przyklejając sobie lok do policzka. - Musi pan natychmiast podpisać te papiery. Potrzebne są na górze.

Po tych słowach wybiegła z pokoju, zapominając o kocie, nie zapominając jednak puścić oka do Jury'ego. Jury lubił Fionę, lubił też jej coraz bardziej brawurowe numery i odpowiedział jej teraz mrugnięciem.

Kot tymczasem, przewinąwszy się między kilkoma parami ich nóg, wskoczył na biurko Racera, gdzie usiadł i tkwił teraz nieruchomy niczym solidny przycisk do Papierów.

Racer zepchnął go przy akompaniamencie najwyraźniej- niej znajomych dla kocich uszu niecenzuralnych wyraż- \*ów, po czym usiadł.

- No więc ta grupa wycieczkowa, którą macie w hotelu Brown's. Co to za ludzie? Czy można im postawić jakieś zarzuty?

- Nie wiem - odrzekł Jury. - Wiem tylko, że dwie zamordowane w Stratfordzie kobiety, jak również zaginiony chłopiec, należeli do tej grupy.

- A powiedzieliście o tym dziennikarzom? - prychnął Racer. - Zjechało ich się od groma. To jakiś owczy pęd.

- Ja nie rozmawiam z prasą.

- No ale ktoś z nimi rozmawiał, do cholery! Może te przeklęte buraki ze Stratfordu.

Jury poruszył się niecierpliwie na krześle, a potem schylił się, żeby pogłaskać kota, który najwyraźniej podzielał jego emocje.

- Sądzę, że najlepiej by było, gdybyśmy z sierżantem Wiggensem wzięli się do roboty, zanim zostanie popełnione kolejne morderstwo - powiedział spokojnie.

- Kolejne morderstwo? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że morderca jeszcze nie skończył swojej roboty. Wiadomości, które nam zostawia, nie zostały przekazane do końca.

- Proszę mi to wyjaśnić - rozkazał ze ściągniętymi brwiami Racer.

- No cóż, widział pan ten fragment wiersza... Dwie linijki znalezione wraz z ciałem tej Bracegirdle i dwie ze zwłokami córki Farradayów. Z tej samej zwrotki zostały jeszcze trzy linijki - powiedział Jury, a potem, chcąc, żeby Racerowi skoczyło ciśnienie, dodał: - 1 nie jest oczywiście wykluczone, że potem przejdzie do następnej.

Okazało się, że myśl o serii morderstw długiej jak sznur pereł albo jak poemat składający się z dwunastu zwrotek najwyraźniej potrafi otrzeźwić nawet Racera.

- Więc sądzicie, że będzie następne morderstwo? - zapytał, spoglądając to na Jury'ego, to na Wigginsa. - Skoro tak, to dlaczego, u diabła, siedzicie tu i marnujecie mój czas? Mówcie, jaki macie trop!

22

„Myślała oczywiście, że nie mam pojęcia o jej sprawkach”. Amelia Blue stała przed jedną z najbardziej popularnych spelunek w Soho i przyglądała się plakatom przedstawiającym naturalnej wielkości kobiece postacie. „To w takim miejscu wylądowała”, pomyślała, stojąc pewnie zbyt długo, by nie rozpętać demonów pożądania i upodlenia czających się na tej ulicy...

- Cześć, kotku.

- Patrzysz sobie?

Pytania, jedno po drugim, padły z ust chudego osobnika z zaczesanymi do tyłu włosami i jego przysadzistego kumpla, który stał obok, wyłamując sobie palce. Amelia nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Ani też żeby spróbować ich ominąć, bo to by się równało ustąpieniu im z drogi. Nie, Amelia po prostu wyciągnęła ręce, roze- pchnęła ich na dwie strony i poszła dalej.

„Dobrze, że nie żyje”, pomyślała. „Dobrze, bo pozwoliłaby tym dwóm gnojkom ocenić ją zgodnie z tym, czym była”. I z taką myślą - bez skruchy i wyrzutów sumienia - przystanęła przed innym ogromnym billboardem reklamującym jakieś tanie kino. „Zobaczyłabym ją na plakatach rozlepionych wzdłuż całej Drugiej Alei. Boże, ta dziewczyna nie cofnęłaby się przed niczym...”

Znudzona pić lemoniady i piwa na werandzie, a także topornym seksem w wykonaniu Jamesa C., Amelia zaczęła od jakiegoś czasu nawiązywać coś, co nazywała „niezobowiązującymi historiami” - to znaczy brać sobie niekiedy do łóżka pierwszego mężczyznę, jaki się nawinął pod rękę. Ale robiła to dla przyjemności, nie dla pieniędzy - choć nieraz, tak przy okazji, trafiał jej się jakiś drobny upominek - i w przeciwieństwie do Honey Belle, nie sprzedawała się niczym zwykła dziwka. Natomiast Honey Belle okazała się kropka w kropkę podobna do swego rodziciela, do tego kompletnie nic niewartego, niewiernego drania, który był przekonany, że nie oprze mu się żadna kobieta.

Amelia odbywała swój tryumfalny spacer przez Soho, a wokół niej przepływał tłum podejrzanie wyglądających osobników. Potrząsając głową, odrzuciła do tyłu blond włosy. Były długie i nie zamierzała ich ścinać, mimo że pewna kurdupłowata kosmetyczka powiedziała jej pewnego razu: „Kochanie, to cię postarza”. Jej włosy były zawsze bardzo jasne, prawie białe i stanowiły jej największą dumę. Nie pozwalała żadnej tam londyńskiej pomocnicy fryzjerki robić z nimi czegokolwiek, bo przecież wystarczyło je spiętrzyć, wpiąć grzebienie i wyglądało się po królewsku.

Tak naprawdę Amelię nudziły spelunki ze striptizem, kina grające pornosy i tanie chińskie knajpy. Przyszła tu tylko dlatego, że miała serdecznie dosyć, nie chciała już w towarzystwie kupy idiotów z wycieczki oglądać tych cholernych sztuk. Nie chciała też siedzieć jak przykuta łańcuchem w tym snobistycznym hotelu. Do diabła ze wszystkimi tymi białymi rękawiczkami, ukłonami, z szuraniem krzesłami! Cieszy się, że James C. ma pieniądze, ale nie jest przecież snobką! Pieniądze są oczywiście w porządku, ale Chryste Panie, niech szlag trafi tych dwoje jego bachorów! Właściwie nie jego, tylko przybranych. Tej adopcji Amelia naprawdę nie mogła zrozumieć. Zastanawiała się teraz z roztargnieniem, dokąd chłopak poszedł. I chciała, naprawdę chciała, żeby nie wrócił. Wiedziała, że i on, i dziewczyna jej nie znoszą. Nie przejmowała się tym jednak wcale. Miała Jamesa C. i jego pieniądze, a jeżeli ta para bachorów uważała, że może ją ich pozbawić, to się grubo myliła...

W jej stronę zmierzała wataha złożona z czterech mężczyzn. Zanim jej się naprawdę przyjrzeni, już każdy z nich łypał na nią pożądliwie. Było to jak jedno wielkie obleśne typnięcie, po którym posypał się grad obscenów, wymawianych gardłowym londyńskim dialektem sprawiającym, że mówiący potykali sylaby. Nie zdążyli jednak powiedzieć zbyt wiele, bo biust Amelii przeorał się przez ich grupę, korzystając przy tym z niewielkiej pomocy łokci, które wbiły się dwóm z nich w żebra. Ton ich uwag natychmiast się zmienił, a Amelia, przyzwyczajona do takich rzeczy, nie zadała sobie nawet trudu, żeby się obejrzeć. Nie zarejestrowawszy prawie tego incydentu, szła dalej, kontynuując wewnętrzny monolog na temat Honey Belle.

Więc kiedy ten okropny, podający się za detektywa człowieczek zaczął ją szantażować, Amelia mu zapłaciła, przeczytała jego raport na temat córki, po czym spaliła te papiery. Nigdy się nie dowiedziała, kto kazał temu człowiekowi śledzić dziewczynę, ale niech ręka boska brom,

by James C. zwęszył, co Honey Belle wyrabiała. Zdjęcia pornograficzne, porno filmy, no po prostu wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Choć z drugiej strony James C. z całą pewnością nie miałby prawa nic powiedzieć. Bo przecież ona, Amelia, przytapała go wtedy z Honey Belle w sypialni prawie ze spuszczoneymi spodniami. Tak czy inaczej, jedno było faktem: dziewczyna się łądaczyla. Oczywiście z winy swojego tatuśka - byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

Amelia w Soho nie szukała przygód. Po prostu chciała się tutaj trochę powłóczyć przed spotkaniem z George'em. Umówili się w pewnym prywatnym klubie niedaleko Berkeley Square. To już okolica raczej w jej guście. I bardzo blisko hotelu.

Zmęczona chodzeniem zatrzymała taksówkę, opadła na siedzenie i zrzuciła buty. Stopy bolały ją tak, że podczas drogi rozmasowywała je sobie. Gdy dotarli na plac, taksówkarz wysadził ją, prychnając z pogardą na widok napiwku.

Chryste Panie, co za maniery u tych Angoli! Oni wszyscy sądzą, że każdy, kto mieszka w Ameryce, znajduje pieniądze na ulicy...

Amelia ruszyła przez plac, nucąc piosenkę o słowiku śpiewającym na Berkeley Square. Piosenka była bardzo stara, być może z czasów pierwszej wojny światowej, a ona nieraz słyszała ją z ust ojca. Teraz usłyszała świergot ptaków i spojrzała w górę na atramentową koronkę drzew. Na pobliskiej ławce chrapał jakiś pijak. Leżał skulony i otulony płaszczem, tak jakby to był styczeń, a nie "Piec. Amelia uświadomiła sobie, że bardzo dawno nie Myślała o rodzicach, zwłaszcza o ojcu, i przyszło jej do głowy, że on jest teraz gdzieś w niebie, że odsypia jak ten

pijak na ławce. Jej rodzice byli wędrownymi robotnikami rolnymi, jednak ona, poznawszy Jamesa C., dorobiła sobie znacznie bardziej odpowiedni życiorys. Bo choć James C. nie był snobem, to wiedząc, że ma do czynienia z osobą, która pochodzi z tych, których ludzie wciąż nazywają „białym śmieciem", mógł zmienić zamiary. Amelia podniosła głowę, idąc rytmicznym krokiem z przewieszoną przez ramię efektowną torebką. Człowiek musi na tym świecie jakoś przetrwać. Starając się oczywiście o to, by dobrze się przy tym bawić. Dobra zabawa jest przecież w życiu najważniejsza. Czy to jej wina, że z powodu śmierci Honey Belle prawie wcale nie jest jej smutno? Tę śmierć sprowadziła na dziewczynę ręka Losu, to wszystko. Człowiek umiera przecież tak, jak żył. Jakiś zboczeniec zerwał się w tej pipidówce z łańcucha i dopadł przypadkiem dwie kobiety z tej samej wycieczki. Amelia poczuła, że biją na nią poty. Gdyby James C. dowiedział się, co wyrabiała Honey Belle albo też i ona sama, jego żona... Ale nie, nie. Te obawy są śmieszne. Amelia szła dalej, lecz zwolniła kroku. Jednak - pomyślała - skąd mogę mieć pewność, że ten detektyw się do niego nie zgłosi i nie zaproponuje mu kupna informacji? Właściwie to, myślała dalej, nie mam żadnej gwarancji, czy to nie James C. wynajął tego detektywa. I czy sama również nie jestem przez niego śledzona. Przystanęła. Amelio Blue Farraday, zwróciła się do siebie, biorąc się w garść, ty, kochanie, po prostu masz pietra. A to jest śmieszne. Po czym, odzyskawszy siły, przeszła przez plac.

Na Berkeley Square panował śmiertelny spokój. Nikt prócz Amelii Blue nie zażywał tego wieczora przechadzki, a śpiew ptaka cichł i wzmagał się na przemian, tak jakby ptak obserwował jej ruchy.

Ramię, które nagle objęło ją za szyję i pociągnęło do tyłu, było przyobleczone w starą wełnę. I Amelia, zanim poczuła, jak coś ją kąsa w szyję, zdążyła jeszcze pomyśleć: „Człowiek umiera tak, jak żył”.

Na Berkeley Square stała niewielka grupa policjantów.

Dostęp do pobliskiego parku był odcięty, wejścia zagrodzone, a posterunkowi kierowali ruchem pieszych. Jednak ludzie, choć kazano im przechodzić, nie ruszali się z miejsca. W ciągu kilku minut wokół placu ustawił się wianuszek ciekawskich. A w ciągu kolejnego kwadransa gapie tkwili już ustawieni w sześciu rzędach. Ruch uliczny tak zwolnił, że utworzył się korek, a wielu kierowców wysiadało z samochodów, żeby też się pogapić. W dwadzieścia minut po pojawieniu się policji wszystko wyglądało tak, jakby cały Londyn zjechał na Berkeley Square.

Jury patrzył na czerwone spodnie, które kiedyś było białe. „Krwawy Rezun” spisał się i tym razem, pomyślał. Z denatki niewiele można było rozpoznać - poza mopem z jasnych włosów, które co zaskakujące, nie przesiąkły krwią najprawdopodobniej dlatego, że po podcięciu gardła głowa jej się przechyliła. Trawa naokoło była rdzawo-brązowa i wciąż jeszcze lepka. Długa, pionowa, cięta rana biegła od łopatki w dół, wzdłuż tułowia, odsłaniając ścianę żołądka i narządy wewnętrzne.

- Tak samo to wygląda jak w Stratfordzie, panie nadinspektorze? - zapytał Wiggins Jury'ego.

Ten kiwnął głową i zwrócił się do funkcjonariusza kierującego oględzinami miejsca zbrodni.

- Co pan znalazł do tej pory? - zapytał.

Funkcjonariusz odwrócił się i spojrzał na niego ponad notatnikiem.

- Wnętrznosci - powiedział spokojnie.

W swoim dobrze skrojonym i odpowiednim do okazji pogrzebowym garniturze wyglądał prawie elegancko.

- To widzę. Krew musiała zalać wszystko.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Łącznie z mordercą - powiedział i kiwnął głową jeszcze raz. - Tam, w śmietniku, znaleźliśmy jakiś stary płaszcz - dodał.

- Coś jeszcze? Może jakąś wiadomość?

- Zgadł pan, panie nadinspektorze. Przy denatce znaleziono część programu teatralnego z przedstawienia Jak wam się podoba. Chwileczkę, tylko skończę. Potem pan i lekarz wszystko dostaniecie.

Zakończył robienie notatek, a fotograf zrobił ostatnie zdjęcia.

Lekarz sądowy, który ukląkł obok ciała, podał Jury'emu zakrwawioną pierwszą stronę wydartą z programu.

- Co to jest? - zapytał Wiggins, a Jury przeczytał pojedynczy wers:

- „Śmierć zadaje też katusze”.

- Czy to jest koniec tego wiersza? - zapytał Wiggins.

- Nie. Zostały jeszcze dwie linijki.

Farradaya nie zważyło z nóg to, co powiedział mu Jury. Nadinspektorowi skojarzył się z krawędzią klifu erodującą pod naporem smagających ją morskich fal. Patrząc na nią, człowiek zastanawiał się, kiedy runie. Najwyraźniej jednak nie przyszedł jeszcze na to czas.

Penny Farraday, usłyszawszy straszną wieść, wycofała się rakiem w jakiś ciemny kąt, po czym odwróciła się na pięcie i pobiegła do łazienki. W następnej chwili Jury usłyszał, że wymiotuje, żałując równocześnie, że nie może pójść jej na ratunek. Był bowiem zbyt zajęty Farradayem.

Ten tymczasem, z twarzą tak bladą, jakby spuszczone z niej całą krew, podniósł do ust drżącą ręką podany sobie kieliszek brandy.

- Kiedy to się stało? - zapytał w końcu.

- Lekarz mówi, że wczoraj wieczorem albo dziś wczesnym rankiem. Może gdzieś koło północy.

- Dlaczego tak długo... - zaczął Farraday zduszonym głosem.

- ...nikt nie dostrzegł ciała? - dokończył za niego pytanie Jury. - Dlatego, że ten, kto je ukrył w zaroślach, zrobił to bardzo dobrze. Znalazła je kobieta, która wyszła na spacer z dwoma psami. To one wywąchały zwłoki. My dotarliśmy tam dopiero dziś rano, koło dziesiątej.

Farraday w połowie wypowiedzi Jury'ego stracił zainteresowanie i przestał słuchać wyjaśnień. Na to przynajmniej wyglądało, bo przeciągnął dłonią po twarzy jak ktoś, kogo bolą oczy, bo za długo patrzył w słońce.

Jury z niechęcią pomyślał, że jeżeli Amerykanin udaje, to czyni to cholernie przekonująco. Druga ponura konstatacja dotyczyła tego, że każdy, kto tak myśli, zawęży grono podejrzanych. No ale kimże mógł być sprawca, jeżeli nie jednym z uczestników tej wycieczki? Chyba że Morderstwa popełnił ktoś całkiem nieznanym, kto podążał za turystami z Honeysuckle Tours.

- Myśli pan, że może teraz o tym rozmawiać? Czy Powinienem raczej przyjść później? - zapytał.

Farraday w odpowiedzi odwrócił głowę, oglądając się na drzwi, przez które wyszła Penny.

- A co z Penny?

- Przeprowadzę ją, jeżeli pan chce.



- Nie, nie trzeba. A teraz proszę posłuchać. Mogę to panu powiedzieć, bo i tak pan się dowie: między mną i Amelią nie było dobrze.

Co oznaczało, że było bardzo źle. Jury ze stojącej na stoliku butelki nalał do kieliszka brandy i podał go Farra- dayowi.

- Dzięki. - Farraday upił odrobinę, wskutek czego jego twarz nabrała trochę koloru. - Wczoraj wieczorem prosiłem ją, żeby nie wychodziła. To znaczy najpierw chciałem zabrać ją na kolację, może do Simpsona, a potem spędzić z nią wieczór w hotelu. Ale ona odmówiła.

Farraday odchrząknął z zażenowaniem.

- Dlaczego?

- Amelia nie lubi siedzieć bezczynnie...

Jury powstrzymał się od oczywistego pytania: Nawet zaraz po tym, jak jej własna córka została zamordowana?

Zresztą pytanie to praktycznie wypowiedział za niego Farraday.

- Mój Boże - westchnął - czy przysłoby komuś do głowy, że po tym, jak Honey Belle... - Pokręcił głową i dodał szeptem: - Bóg mi świadkiem, że ją to w ogóle nie obeszło. Och, wiem, że zniknięciem Jimmy'ego wcale się nie przejęła, nie ukrywając tego wcale. Jimmy i Penny nic dla niej nie znaczyli. No ale Honey Belle... przecież to jej własna córka, krew z krwi, kość z kości. Nie wiem... nie mam pojęcia-

- Czy sądzi pan - kontynuował Jury - że miała jakiś konkretniejszy powód, żeby wyjść? Mam tu na myśli powód konkretniejszy niż nuda.

Farraday podniósł na niego wzrok.

- Ma pan na myśli mężczyznę? - zapytał, a Jury z przykrością pokiwał głową.

Pan Plant? - zapytała młoda recepcjonistka w hotelu Brown's. - Sądzę, że wyszedł z tym panem... - jej oczy tak niepostrzeżenie przebiegły po wizytówkach, że zdawało się, że ani na chwilę nie oderwała ich od jego twarzy - ...z pokoju 106, z panem Schoenbergiem.

Uśmiechnęła się. Była bardzo ładna.

- Czy wie pani, o której wyszli? - pytał dalej, odwzajemniając uśmiech, Jury.

- Chyba tak gdzieś koło dziewiątej.

Jury pomyślał, że dobrze by było, gdyby cały personel tego hotelu potrafił z taką dokładnością określać czas wyjść i powrotów gości.

- Być może pani słyszała... Zdarzył się niefortunny... wypadek...

To, że o tym słyszała, można było poznać po krótkim kiwnięciu głową i zmianie wyrazu twarzy. Doskonale wyszkolony personel, pomyślał Jury. Swoje własne, prywatne zdziwienie, wzburzenie i szok zachowują dla siebie.

- Wczoraj wieczorem... pani Farraday wyszła z hotelu dość późno. Czy pani tu wtedy była?

Młoda kobieta pokręciła głową - być może bardziej zmartwiona tym, że jej tu nie było i nie może nadinspektorowi udzielić więcej informacji niż myślą o niefortunnym zgonie mieszkanki hotelu.

-Wtedy była tu nocna recepcjonistka... - Dziewczyna zrobiła ruch, jakby chciała wziąć słuchawkę telefonu. - Chce pan, żebym do niej zadzwoniła?

- Po prostu proszę ją poprosić, żeby zadzwoniła do mnie, jeżeli coś sobie przypomni na temat pani Farraday - odrzekł, kręcąc głową, Jury i upuścił na blat swoją wizytówkę. - Aha. A pan Schoenberg... Harvey... Czy macie rezerwację dla jego brata?

Młoda kobieta ponownie w sposób dyskretny rzuciła okiem gdzie trzeba.

- Tak, mamy - powiedziała. - Przyjazdu pana Jonathana Schoenberga spodziewamy się dziś po południu.

Jasnozielone oczy spojrzały na Jury'ego z cichą nadzieją, że ich właścicielka dostarczyła mu wreszcie jakiejś przydatnej informacji.

- Dzięki - powiedział Jury. - Była pani bardzo uprzejma.

I uśmiechnął się ponownie.

A jej oczy spoglądały z coraz większą ciekawością.

Podróż poprzez historię w towarzystwie Harveya L. Schoenberga przypominała podążanie za koniem z klapkami na oczach. Koń znał wszystko, co było przed nim. I tak długo, jak nie musiał określić swojej pozycji w stosunku do widoków po lewej i po prawej stronie, wykonywał sprawnie swoje zadanie. A właściwie nie sprawnie, ale wprost doskonale. Znał każdy kamień brukowy, każdy zakręt, każdą latarnię.

- Brama Zdrajców - powiedział Harvey z entuzjazmem, wskazując widok, który przedstawiał się ich oczom za masywnymi łukami Tower Bridge. Byli teraz na południowym brzegu Tamizy, gdzie znajduje się dzielnica Southwark, zgodnie z naleganiami Harveya, stojąc dokładnie przy końcu nowego London Bridge. - Wyobraź sobie wszystkie te zatknięte tam głowy!

- Jeżeli nie zrobi ci to różnicy, wolałbym nie. Publiczne egzekucje i podobne rzeczy nigdy mnie nie pociągały Podobnie jak szczucie psami uwięzowanego niedźwiedzia.

- Och, daj spokój, Mel! Gdzie twoje wyczucie prawdy historycznej?

- W żołądku.

Ale Harvey nie chciał pozwolić, by w ten sposób oblewano go zimną wodą. A równocześnie zapragnął wlać sobie co nieco do gardła.

- Znajdźmy jakiś pub. W tym miejscu, prawie dokładnie tu, gdzie stoimy, znajdowała się tłumnie uczęszczana tawerna „Pod Niedźwiedziem”. A tam była Tooley Street.

Harvey odwrócił się i wskazał palcem.

- Tam wciąż jest Tooley Street, o ile mnie wzrok nie myli.

- No tak, tak. Ale ja próbuję ci powiedzieć, jak to było kiedyś, dawno temu. Wtedy, kiedy tymi ulicami chodził Marlowe. Znajdowało się tam kilka pubów.

- Jestem pewien, że nic się pod tym względem nie zmieniło.

- Był nawet pub „Pod Czarnym Łabędziem”; na północ od szpitala Świętego Tomasza...

- Zawsze się znajdzie jakiś „Czarny Łabędź”. Jest ich pełno na całych Wyspach Brytyjskich.

Harvey westchnął i złożył stary plan dzielnicy Southward do którego przed chwilą zaglądał, po czym ruszyli obaj Southwark Street.

- Nie wczuwasz się w atmosferę tej pielgrzymki, Mel - powiedział w pewnej chwili Harvey, kręcąc głową jak ktoś, kto nie rozumie postępowania swego towarzysza.

- Myślałem, że pojedziemy do Deptford - odrzekł Melrose. - Do tawerny pani Buli, w której miało miejsce to okropne morderstwo.

- Tam też pojedziemy. Na pewno. Ale najpierw musimy przejść się po Southwark. Bo pomyśl tylko, ile czasu spędził tu Marlowe! - Zeszli właśnie po kamiennych schodach i patrzyli na imponującą fasadę katedry. Następnie

Schoenberg, poprawiając pasek komputera na ramieniu, spojrział na plan. - To był kościół St Mary Overies. Znasz tę historię? Jest naprawdę smutna. A tam było Stews.

- Stews?

- To znaczy dzielnica domów publicznych. Southwark to było prawdziwe szambo. Przestępcy uciekali tutaj z City, żeby uniknąć procesów... To coś takiego jak w Stanach: kiedy przestępca ucieka przed sądem ze stanu do stanu. Ciekawe, gdzie jest Hog Lane? To znaczy to miejsce, w którym Kit pojedynkował się z Billem Bradleyem.

- Ale przecież Marlowe pojedynkował się bez ustanku. I dlatego nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak uparcie wierzysz w tę nedorzeczną teorię. Wiesz co? Chodźmy na drinka.

Po przejściu małymi, zakazanymi, pełnymi magazynów uliczkami za katedrą trafili w końcu na pub, który, mimo swego nieszczęśliwego położenia, cieszył się najwyraźniej powodzeniem u klientów. Melrose, po

wejściu do środka, zdziwił się, skąd, na Boga, wzięli się w pubie wszyscy pijący tam ludzie.

- Spójrz na to w ten sposób... - zaczął Harvey, biorąc w dłonie pół kwarty portera i patrząc na Melrose'a swoimi poważnymi, szarymi oczami. - Zresztą dobrze, zgadzam się, że on zawsze był w gorącej wodzie kąpany. Ale wyjaśnij mi, w jaki, u diabła, sposób mógł się zdarzyć taki »wypadek"? To znaczy, jak to się stało, że on sam wpakował sobie w oko własny sztylet? Czy też dźgnął się tuż nad okiem.

- To proste - odrzekł Melrose, zapalając cygaro. - Pozwól, że ci to zademonstruję. Przyjmijmy - mówił dalej, biorąc laskę - że gałka tej laski to rękojeść sztyletu. Przyjmijmy też, że ty, czyli Frizer, siedzisz wciśnięty między Poley i Skeresa, a Marlowe okłada cię tą rękojeścią po głowie. W tamtych czasach to się często zdarzało. Takie okładanie było swoistym wstępem do poważnego pojedynku czy bójk. Więc Marlowe okłada kogoś rękojeścią, co oznacza, że ostrze noża jest wycelowane w niego samego. Tak czy nie? A kiedy Frizer próbuje skierować broń w inną stronę, ostrze trafia prosto w czoło Marlowe'a. - Melrose wzruszył ramionami. - Nie pojmuję, dlaczego tak trudno to zrozumieć.

- No, no - powiedział Harvey, patrząc na niego z pewnym szacunkiem. - Widzę, że odrobiłeś pracę domową.

- To prawda. Posiedziałem trochę w bibliotece w Stratfordzie i poczytałem sobie. Czuję, że spoczywa na mnie obowiązek rozwiania twoich złudzeń co do tej teorii dotyczącej Szekspira... To znaczy, no wiesz... O nie, na miłość boską, Harvey, nie uruchamiaj znowu tej cholernej maszyny!

Ale Harvey już wyjął komputer z pudła i stukał w klawiaturę. Potem usiadł ze ściągniętymi ustami i czekał, aż ukaże się plik.

- Jest: raport medyczny. Tego rodzaju rana nie mogłaby być przyczyną śmierci. Spowodowałaby śpiączkę.

- Raport medyczny? Jaki raport?

- No cóż, powiedzmy - podrapał się w głowę Harvey - że to taka interpretacja. W wykonaniu pewnego uczonego. 1 jeszcze jedno: skoro wszystko przebiegało w ten sposób, to dlaczego, u diabła, Bob Poley i Nick Skeres nie pomogli Kitowi? Masz na to odpowiedź? Byli przecież jego kumplami. No więc co? Po prostu siedzieli na

tyłkach? No

siedzieli. A jedynym wytłumaczeniem może być tu fakt, że wszystko to było ukartowane!

Harvey wyłączył komputer, gestem tryumfu podniósł szklankę i rozejrzał się po zatłoczonym i pełnym papierosowego dymu pomieszczeniu.

- Wyobraź sobie tylko, jak tu było kiedyś.

Melrose miał nadzieję, że w wypadku Harveya praca wyobraźni odbędzie się w jego własnej pamięci, a nie w pamięci komputera. Jeżeli będę zmuszony jeszcze raz patrzeć, jak otwiera plik, pomyślał, to

chyba poważnie rozważę opcję rzucenia się do Tamizy.

- Wyobraź sobie - mówił tymczasem Harvey - że wjeżdżasz konno na dziedziniec, na twoje spotkanie wybiega służba, stajenny bierze twojego konia, a pokojowy rozpala ogień na kominku w twojej sypialni...

- No tak, tak. Ale ten stajenny jakoś zawsze wyczuwa, jak ciężką masz sakiewkę, a człowiek usługujący w sypialniach potem ci ją kradnie...

- Co za cynizm - powiedział Harvey, a następnie nadal roztaczał swoją wizję: - Oberżysta pomaga ci zdjąć buty, tak jak to robi służa w twoim własnym domu, a barman zapisuje kredą...

- Oberżysta, który jest równocześnie lichwiarzem oszukującym zarówno kmiotków, jak i młodych galantów, a barmanowi zawsze udaje się dodać do twojego rachunku kilka znaków kredą...

- Oj, Mel, zabawny jesteś, jak chcesz. Ale pomyśl tylko, ile mógłbyś tu zjeść posiłków, siedząc przed kominkiem. Za jakieś osiem szylingów dostałbyś całe półmiski baraniny, drobiu, bekonu, gołąbków w cieście, góry chleba i mnóstwo piwa...

- A poza tym w takich gospodach gromadzili się zwolennicy pojedynków i kurtyzany... No cóż, co do tych ostatnich, to dobrze, bo nie włożyły się dzięki temu po ulicach.

- Oj, daj spokój! Czy nie oddałbyś wszystkiego, żeby cofnąć zegar o czterysta lat?

- Cofnąć zegar? O nie, dziękuję. Chcesz wrócić do czasów, kiedy bankierami byli złotnicy, a chirurgami balwierze? Do czasów, kiedy ulice były wąskie niczym wiejskie drogi, tak że mogły się w nich minąć tylko dwa skrzypiące wozy? Kiedy dla powiększenia domu dostawiano nadwieszane górne kondygnacje, które tak podobają się Amerykanom? Kiedy wybuchały zamieszki i pożary, kiedy ludzie mieszkali w czynszówkach przypominających labirynt, a powietrze było tak przesycone zarazkami, że człowiek musiał zaciągać zasłony wokół łóżka, żeby przetrwać noc, nie zarażając się dżumą? Cofnąć zegar? No Harvey, nie bądź idiotą! - zakończył Melrose i dopił piwo.

- Ależ ty potrafisz zdołować! - zawołał Harvey.

- Mój drogi - odrzekł mu na to Melrose - zapewniam cię, że cały wiek szesnasty był jednym wielkim dołem. Gdybyście wy, Amerykanie, posmakowali polityki czasów elżbietańskich, klaskalibyście Nixonowi za to, że był taki otwarty i prawy.

- Nixon? Ten sukinsyn? Prawy?

- Och, nie wiem - odpowiedział Melrose, uśmiechając się na myśl, że zyskał przewagę w najmniej spodziewanej dziedzinie. - Zawsze uważałem Richarda Nixona za taką waszą Marię Stuart.

Nie do wiary - powiedział Harvey, porównując swoją starą mapę dzielnicy Deptford z nędzną rzeczywistością współczesnej zabudowy. - Pepys Park. Możesz to sobie wyobrazić?

- Nie myślałeś przecież chyba, że Deptford Strand wciąż będzie miejscem pojedynków, pełnym ludzi w krezach, a także kobiet podejrzanej kondyty?

- No nie. Ale... naprawdę... - Harvey obejrzał się, patrząc na drugą stronę ulicy, gdzie stał pub noszący nazwę „Victoria”. Chwilę wcześniej minęli inny pub, „John Evelyn”. - Czy można uwierzyć, że zamienili to wszystko w jakieś bloki mieszkalne?

- Można. - Melrose przyjrzał się mapie Harveya. - Nie widzę tu tawerny „Pod Różą” należącej do pani Buli.

- Właściwie - podrapał się w głowę Harvey - to nikt nie wie, gdzie dokładnie się znajdowała. Chodźmy dalej.

- Raczej wracajmy do hotelu - zaproponował Melrose.

- Daj spokój. Nie psuj mi tej wycieczki.

Ruszyli dalej w stronę rzeki.

A może tu? - powiedział Harvey, spoglądając w górę na wysoką fasadę podejrzanie wyglądającego przybytku, na którego szyldzie widniały resztki żółtego napisu głoszącego, że jest to pub „Pod Półksiężycem”.

- Może tu, a może gdzie indziej - odrzekł Melrose. - Przecież prawdziwa tawerna pani Buli już nie istnieje.

- Ale skąd możesz wiedzieć, że nie była właśnie tutaj? - Mały, nie szerszy od rynsztoka przesmyk prowadził w bok, a Melrose zauważył prymitywny drogowskaz ze strzałką. - Widzisz? Tu piszą, że z tyłu jest ogródek.

Budynek był zdecydowanie brzydki, z ciemnym frontem przysłoniętym wystającą górną kondygnacją. Jej nawis powodował wrażenie, że całość przechyla się do przodu. Zielona farba namalowanej na drzwiach kratki obierała się ze starości.

- Ten pub musi być naprawdę stary. Taka kratka oznaczała piwiarnię. Malowano ją czerwoną albo zieloną farbą.

Harvey z wielkim szacunkiem, mnąc w dłoniach czapkę, przyglądał się brzydkiemu budynkowi.

- Och, na miłość boską, Harvey. Nie spodziewasz się przecież, że znajdziesz oryginał. Czy sądzisz, że on wciąż istnieje i stanowi żywy pomnik twojej teorii? Chodźmy, chce mi się pić. Zobaczmy, czy oberżysta ma old peculiar.

Wnętrze było równie mało zachęcające jak fasada. Przez matowe, na dodatek powleczone warstwą brudu okienne szybki oprawione w ołów nie przenikała ani odrobina światła. Bar był długi i wycierał go właśnie powolnym ruchem trzymający w zębach cygaro właściciel tego przybytku. Nad barem wisiało wspaniałe lustro - fazowane, w połączanej ramie ozdobionej amorkami oraz podobiznami bożka Pana, a także innych pomniejszych bóstwek, czyniących akurat rzeczy, których człowiek nie ma prawa robić publicznie. Kilku obecnych tu klientów - a dochodziła dopiero jedenasta rano - wyglądało tak, jakby

urodzili się w tym miejscu i wchłonęli w siebie sporo z ciemności spowijających wewnątrz pubu. Dym z ich papierosów wił się w górę cieniutkimi smużkami, a oni pokaszali. W pomieszczeniu panował zapach martwej ryby. Jednak dusze - niezbyt co prawda uduchowionych - klientów kołował widok wspaniałego lustra i porcelanowych uchwyty przy kranikach do piwa.

- Poproszę... - powiedział Harvey, rzucając na blat kilka brzęczących monet - ...dwa takie. - Wskazał jeden z kraników. A gdy właściciel pubu przygotowywał szklanki, zapytał go ze swoją zwykłą otwartością: - Proszę mi powiedzieć, czy to przypadkiem nie jest dawna tawerna „Pod Różą”?

- Dawne co, kolego? - odrzekł właściciel, mrużąc oczy.

- W Deptford Strand była kiedyś tawerna nosząca nazwę „Pod Różą” - wyjaśnił Harvey. - Prowadzona przez niejaką Eleanor Bull. O ile mogłem się zorientować, powinna się być znajdować gdzieś tutaj. W tej tawernie zamordowano Christophera Marlowe'a - dokończył i przesunął jedną napełnioną już szklankę w stronę Melrose'a, a drugą wziął sobie.

- Morderstwo? - zapytał, błędąc, właściciel pubu. -

O czym pan właściwie mówi? Zaraz, zaraz. Czy wy jesteście z policji?

- Z policji? Kto? My? Nie, nie. Pan nie zrozumiał...

Nie zrozumiał i nie zrozumie nigdy, westchnął w duchu Melrose, odklejając się od niewygodnego drewnianego stołka i przenosząc drinka do stolika. Harvey natomiast został przy barze i gadał dalej jak najęty. Po chwili do jego dyskusji z właścicielem włączyła się jakaś ponura kobieta. W końcu jednak Harvey wzruszył ramionami

1 podszedł do Melrose'a.

- Nikt z nich nie słyszał o pubie „Pod Różą”. Ani o Eleanor, ani o Kicie Marlowe. Mówią jednak, że na zapleczu mają kilka pokoi dla klientów, którzy chcą się bawić we własnym, prywatnym gronie. Chodźmy, sprawdzimy to - Powiedział Harvey i ruszył przodem.

Przeszli przez wąski, ciemny korytarz, przy którego końcu jedne drzwi prowadziły na prawo, a drugie na lewo - do dwóch identycznych pomieszczeń, gdzie stały okrągłe stoły i krzesła, równie niezachęcające jak te w głównej sali. Oprócz tego były tu jeszcze trzecie drzwi, nad którymi wisiał napis ostrzegawczy „Niska futryna”. Te prowadziły na zewnątrz.

Melrose i Harvey, schylając się, przeszli przez te drzwi do ogrodu. Albo raczej do tego, co w zamierzczłej przeszłości mogło nim być, a teraz wyglądało wprost okropnie. Wałący się, kamienny mur ogrodowy miał otwór, przez który można się było dostać na małą uliczkę.

W „ogrodzie” stała przechylona na bok ławka. Melrose usiadł na niej, a tymczasem Harvey rozglądał się naokoło, zachwycony.

- To wszystko wygląda tak, jak mogło wyglądać wtedy - powiedział i zaczął naśladować gesty

reżysera rozstawiającego aktorów po scenie, Kita tam, Boba tutaj. - Nie widzisz tego?

- Nie - odrzekł czarująco Melrose.

I ziewnął.

Nie mów o tym nikomu - zastrzegł Harvey, kiedy zdobyli stolik w ciemnym barze „Pod Półksiężycem” - ale ja sam też piszę wiersze.

- Uwierz mi - odrzekł Melrose, zastanawiając się, czy komukolwiek udało się utonąć w szklance portera tak jak księciu Clarence w beczce małmazji! - nie powiem nikomu.

- No więc piszę przeważnie sonety. Tak, tak. I mam je wszystkie tutaj. - Poklepał komputer, dopił piwo i spojrzął z ukosa na Melrose'a. - Chcesz posłuchać? „Jeśli odcisk sandała wciąż widać na piasku...”

- Na twoim miejscu trzymałbym się programowania - przerwał mu pospiesznie Melrose, zdecydowany, nawet za cenę własnej śmierci, zdusić ten popis w zarodku.

- Wiesz co, Mel? - Harvey pokręcił smutno głową. - Ty potrafisz odebrać człowiekowi wiarę w siebie.

- Jakiemuś innemu człowiekowi może tak. Ale na pewno nie tobie. Bo ty masz tej wiary pod dostatkiem.

- A ty? Co ty robisz w życiu tak dla przyjemności? Masz dziewczynę?

- Dziewczynę?

- Tak. No wiesz...

Harvey nakreślił w powietrzu pełną zaokrągleni sylwetkę.

- Wiem, jak one wyglądają. W tej chwili niestety nie. A ty?

Harvey uciekł wzrokiem w bok, w stronę pogrążonych w półmroku stołów, przy których nikt nie siedział.

- Kiedyś miałem. Mieliśmy się pobrać, choć nie znaliśmy się zbyt długo. Wiesz, miłość od pierwszego wejrzenia, z mojej strony i z jej. - Westchnął. - „Ale to było w innym kraju. A poza tym dziewczyna nie żyje”<sup>6</sup>.

Melrose'a wcale nie zdziwiło to, że Harvey cytuje Marlowe'a. Zdziwiła go natomiast całkiem niepasująca do tego komputerowca gorycz.

- Bardzo mi przykro, naprawdę.

- Aaa tam... - Ruch dłoni zdawał się odpędzać i dziewczynę, i śmierć, i tamten inny kraj. - Przestałem to rozpamiętywać. Bo kiedy człowiek za dużo rozpamiętuje, dochodzi do takiego stanu, w którym nie może już myśleć o niczym innym. Wiesz, co mam na myśli? Słuchaj... - Harvey uśmiechnął się i położył na



stole banknot funtowy. - Ty też połóż funciaka... bo tak na to mówicie, nie?

- Tak, funciaki...

- Dobra, połóż swojego i zobaczymy, kto stawia. - Harvey podniósł szklanę. - Założę się, że nie wiesz, kto to powiedział.

- Ale co?

Melrose posłusznie wyjął banknot z portfela.

- „Nie kochał ten, co w pierwszym nie kochał spojrzeniu”.

Melrose zmarszczył brwi.

- Ależ na miłość boską, ten cytat zna każdy uczeń. To Szekspir.

Harvey, słysząc to, pokręcił głową z miną kogoś bardzo pewnego siebie.

- Oczywiście, że tak - upierał się Melrose. - Przecież wszyscy setki razy oglądaliśmy Jak wam się podoba. To mówi Probiarczyk.

- Nie. To Marlowe.

- Marlowe? Ho, ho, ho. Ty stawiasz.

- Ho, ho, ho. Właśnie że ty.

Ku irytacji Melrose'a, Harvey pochylił się i postukał w klawiaturę komputera. Odczekał chwilę, otworzył plik i odsunął się z uprzedzającą grzecznością.

Nie w naszej jest mocy nienawiść czy kochanie,

Naszą wolę bowiem los ma w swym władaniu...

Gdzie dwoje deliberuje, miłość nie płonie mocnym

płomieniem,

„Bo nie kochał ten, co w pierwszym nie kochał

spojrzeniu”\*.

- To z Hero and Leander - powiedział Harvey i podniósł szklanę. - Ty stawiasz.

- Do diabła! - odezwał się Melrose, ale bez urazy. Zawsze miał chęć się czegoś nauczyć, a teraz nauczył się czegoś od Harveya Schoenberga. - Chcesz przez to powiedzieć, że bard ze Stratfordu to ukraść? - zapytał, biorąc obie szklanki.

- Nie - odrzekł Harvey. - On to zacytował. Spójrz tutaj. Jest cudzysłów. I jest to jeszcze jeden fakt potwierdzający moją teorię - dodał półgłosem, przechylając się ponad stołem.

- No cóż, do zobaczenia za chwilę - powiedział pospiesznie Melrose, ruszając w stronę baru.

Kiedy wrócił i postawił pełne szklanki na stole, Harvey podjął urwany wątek.

- Tak, tak, to jeszcze jeden fakt na jej potwierdzenie. Moim zdaniem - ciągnął dalej, stukając znowu w klawisze - wystarczy porównać sonety z tym, co jest w tej sztuce. I wszystko się zgodzi. No bo na przykład spójrz na to. To znowu Probiarczyk. „To nas bardziej z nóg zbija niż wielki rachunek na małym arkuszu”.

Melrose zmarszczył brwi.

Christopher Marlowe, Hero and Leander, w przekładzie tłu- maczki (przyp. tłum.).

- I do czego to się ma odnosić?

- Do morderstwa oczywiście. Do zabójstwa Marlowe'a. Nie pamiętasz? „Rachunek”. To o to była bójka! To znaczy o płacenie rachunku w tawernie. - Wyciągnął rękę tak, jakby w tej chwili tam siedzieli. - Czy wiesz, że ten wers o miłości od pierwszego wejrzenia to jedyny cytat z innego poety, jaki znalazł się w sztukach Szekspira?

- No to co?

- Oj, daj spokój, Mel. Rusz głowę. To oczywiste, że wieść o śmierci Marlowe'a naprawdę wzburzyła Szekspira. Połącz to sobie ze wszystkim, co ci mówiłem...

Lecz Melrose z prawdziwym zadowoleniem stwierdzał, że z obawy przed całkowitym ogłupieniem zapomniał wszystko, o czym dotychczas mówił mu Harvey. Wpatrzył się teraz w masywne ozdobne lustro w połączanej ramie, wiszące nad barem, a tymczasem zwinne palce Harveya stuknęły w klawiaturę.

- ...a także przyjrzyj się innym sonetom, zwłaszcza temu. - Tekst na ekranie się przewinął, Harvey tryumfalnie uderzył w jakiś klawisz i przeczytał: - „Żegnaj: zbyt drogi jesteś, byś mój mózg być dłużej...”7

Melrose, który uważał wybuchy złości za coś nie tylko emocjonalnie wyczerpującego, ale także niegodnego dżentelmena, rzadko sobie na nie pozwalał. Teraz jednak trzasnął laską o stół, na co Harvey podskoczył wraz ze swoim komputerem.

- Za dużo sobie pozwalasz! - zawołał. - Przecież to chyba jeden z najpiękniejszych sonetów, jakie kiedykolwiek powstały. I jest oczywiste, że został napisany dla jakiejś kobiety\*. Prawdopodobnie dla Czarnej Damy... - Melrose umilkł. Nie był tak do końca pewny swego. Nie miał jednak zamiaru dopuścić do tego, żeby ten sonet stał się przedmiotem komputerowej obróbki. - Dla Czarnej Damy - powtórzył i westchnął w duchu: Dlaczego, u diabła, nie możemy rozmawiać o francuskich symbolistach?

- Ach, Mel - odrzekł Harvey. - Nie bądź taki romantyczny. Tak jak ty twierdzą apologety Szekspira czy jak tam się takich ludzi nazywa. Poczekaj tylko, co będzie, kiedy opowiem to wszystko Jonathanowi. - Tu Harvey, co dla niego było nietypowe, sposepniał. - Jonathan przylatuje dziś po południu. Concordem.

- Musi być dobrze nadziany - zauważył Melrose, po czym, w odpowiedzi na pytające spojrzenie Harveya, dodał: - Pieniędzmi oczywiście.

- No tak, staruszkom ich nie brakowało - rozpromienił się Harvey. - Ale to samo można powiedzieć o tobie. I na dodatek masz tytuł. Wiesz co? Zjedz z nami kolację, dobrze?

Melrose był tak bardzo ciekaw brata Harveya, że przyjął zaproszenie.

- Ty zdecydowanie nie lubisz swojego brata, prawda? - zapytał po chwili.

- Owszem. I z wzajemnością. Ale wracając do tych spraw między Marlowe'em a Szekspirem. Można je podsumować jednym słowem.

-Jakim? - zapytał Melrose, jakby wbrew własnej woli, bo był już wściekły.

- Skrucha. Billy wiedział, co zrobić, i na tym koniec - zakonkludował Harvey i zadowolony z siebie, wypił piwo do dna.

No, mam nadzieję, że to koniec, pomyślał Melrose, a głośno zagadnął:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że siedzimy tu i gadamy o śmierci Marlowe'a, a powinniśmy raczej mówić o morderstwach, które zdarzyły się tuż pod bokiem? Jestem pewien, że masz na ten temat swoją teorię.

Harvey, który zdążył już wyłączyć komputer, wzruszył ramionami:

- To zrobił jakiś świr. No bo kto inny?

- Ktoś z was - powiedział Melrose, a Harvey popatrzył na niego przeciągle.

Po czym tym razem to Plant z zadowoleniem wychylił do dna swój porter.

Honeycutt - jest teraz w pubie „Salisbury” - powiedział Wiggins.

- Aha, tam! No, no. Widzę, że nie traci czasu. No dobrze, chodźmy. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się do niego przyłączyli.

Ich ford utknął, prawdopodobnie na całe wieki, na światłach w permanentnym korku w pobliżu Piccadilly Circus. Przechodnie - zbuntowani przeciwko światłom, przepisom i ignorując wiedzę o tym, że ciężki metalowy obiekt może zmasakrować ludzkie ciało - usiłowali się przez ten chaos przebić. I trudno ich było za to winić, bo w roli rywali mieli w tej sytuacji wszystkie samochody. Wyglądało to tak, jakby każdy z uczestników ulicznego ruchu rzucał kości, chcąc się przekonać, komu pierwszemu uda się ruszyć z miejsca i dotrzeć do celu.

- Powinni zlikwidować te sakramenckie światła i puścić wszystko na żywioł - powiedział Wiggins, posuwając

w żółtym tempie w stronę trzech kobiet w średnim wieku, które najwyraźniej nie miały pojęcia albo

też nic ich nie obchodziło, w jak niewielkiej odległości od ich ciał znajduje się zderzak jego samochodu.

Pod figurą Erosa, jak zwykle, pełno było spędzających tu przerwę na lunch urzędników oraz gołębi.

- Jeżeli wyłączymy z naszych rozważań Farradaya, to można powiedzieć, że nie posunęliśmy się zbyt daleko, szukając motywów kierujących którąkolwiek z tych osób. Co do Farradaya, to mógł on zamordować Amelię z zazdrości, bo pewne jest, że miał mnóstwo do tego powodów. Mógł też zabić swoją pasierbicę. Dziewczyna prowokowała przecież na potęgę. Chociaż z drugiej strony, to jest mało prawdopodobne...

- A ta dziewczynka? Penny? Nienawidziła przecież i macochy, i przyszywanej siostry.

Wiggins, któremu udało się wreszcie wyjechać z Piccadilly Circus na Shaftesbury Avenue, szukał teraz miejsca do zaparkowania.

- Nie - powiedział Jury tonem, który sprawił, że sierżant odwrócił gwałtownie głowę. - W to nie uwierzę. Ona ma dopiero piętnaście lat.

- Dopiero piętnaście lat - cmoknął Wiggins, parkując na chodniku w bocznej uliczce w pobliżu pubu. - Nigdy bym nie pomyślał, że usłyszę od pana coś takiego, panie nadinspektorze. Łagodnie pan, czy co?

- Jestem równie łagodny jak Attyla, król Hunów - powiedział Jury, wysiadając z samochodu. - Ale to wciąż nie wyjaśnia zagadki śmierci Gwendolyn Bracegirdle.

Dlaczego oni tak lubią golfy? - zastanowił się Wiggins, kiedy znaleźli się już w zatłoczonym jak zwykle w porze lunchu pubie.

Choć pub odwiedzała zróżnicowana klientela, to jednak miał on ustaloną reputację jako jeden z tych, w których spotykają się londyńscy geje.

Wiggins miał rację: wyglądało na to, że dzisiaj w golfach występuje połowa gości. Golf miał na sobie także młody człowiek siedzący przy stoliku Valentine'a Honeycutta, który rzeczywiście nie marnował czasu. Widząc, że zbliżają się Jury z Wigginssem, cofnął dłoń z kolana przyjaciela. Ten zaś, przyodziały w golf i obcisłe dżinsy, popijając piwo, spoglądał na nowo przybyłych z entuzjazmem, którego Honeycutt bynajmniej nie podzielał.

- O nie - powiedział z westchnieniem.

- Zwiastuni złych wiadomości - odezwał się Jury, nie czekając, aż go zaproszą, żeby usiadł. Uśmiechnął się do młodzieńca, którego zęby były bielsze od śniegu i którego twarz okalały kręcone włosy, ciemne i można by powiedzieć bajroniczne, gdyby oczywiście Byron miał coś podobnego w głowie. - Oto sierżant Wiggins. A to pan Honeycutt - przedstawił sobie obu panów.

Młody człowiek, zorientowawszy się, o co chodzi, strasznie się zasmucił. Wyglądało na to, że po tym poszerzeniu towarzyskiej oferty spodziewał się zupełnie czego innego. Chociaż, z drugiej strony, przyjrawszy się uśmiechowi Jury'ego, zdążył się zorientować, że nie jest w typie nadinspektora.

- Przepraszam, że przeszkadzamy. Chcielibyśmy z panem Honeycuttem porozmawiać poufnie - powiedział Jury, po czym odczekał, aż tamci dwaj skończą krótką szeptaną konferencję i ten w golfie wycofa się ze szklanką w dłoni.

Dżinsy zdecydowanie utrudniały mu poruszanie się; Jury prawie słyszał, jak pękają szwy.

Honeycutt nosił się jak zwykle modnie. Miał na sobie gładką niczym jedwab skórzaną marynarkę, fular owinięty wokół szyi i spływający kaskadą jedwabiu na plecy oraz białe sztruksowe spodnie. Brakowało mu tylko wyścigowych gogli.

- O co znowu chodzi? - zapytał tak, jakby Jury był tylko specem od psucia innym zabawy.

- O panią Farraday. Panią Amelię. Przykro mi powiedzieć, ale uległa wypadkowi. Śmiertelnemu.

- Boże miłosierny! - zawołał Honeycutt, opadając na oparcie czerwonej wyściełanej ławy, nad którą, po obu stronach z lekka cofniętego siedzenia, rozsiewały światło kinkiety w kształcie tulipanów. Ten pub był jednym z najelegantszych w Londynie. - Gdzie? Jak to się stało?

- Czy pan, panie Honeycutt, był wczoraj wieczorem w hotelu? - odpowiedział pytaniem na pytanie Jury.

- Tak. Gdzieś do dziewiątej trzydzięci. A może do dziesiątej. Potem poszedłem do „Tiddly-Dols”. To taka niewielka restauracja, która znajduje się w pobliżu. - Honeycutt, widząc, że sierżant Wiggins to zapisuje, zmarszczył brwi: - A dlaczego pan pyta?

- Sam pan tam był?

- Nie. Z przyjacielem. Ale zaraz, skąd te pytania? - Nerwowy śmiech Honeycutta zabrzmiał jak piskliwy chichot. - To, co pan mówi, brzmi tak, jakbym potrzebował alibi. Przecież pan nie podejrzewa...

- A o której pan wyszedł z tej restauracji, proszę pana? - przerwał Wiggins.

- Nie przypominam sobie dokładnie - powiedział Honeycutt, nie odrywając wzroku od oczu Jury'ego. - Koło jedenastej... Ale wciąż nie rozumiem...

- Nazwisko pańskiego przyjaciela? - zapytał Wiggins, zwilżając językiem koniuszek ołówka, bo trzeba tu nadmienić, że bał się wszystkich znanych ludzkości chorób, z wyjątkiem zatrucia ołowiem.

Honeycutt już otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Jednak nie powiedział nic i wciąż patrzył na Jury'ego. Ten, widząc, że jego rozmówca wkroczył w fazę niechęci do współpracy, zwrócił się do Wigginsa:

- Może zamówimy sobie coś do jedzenia, sierżancie? Dla mnie kawałek zapiekanki z ziemniaków i mielonego mięsa. I pół kwarty ciemnego. - Wiggins, słysząc to, zamknął notes i wstał. - Jeszcze dziś jedliśmy. - Jury uśmiechnął się do Honeycutta. - A tu jest dobra kuchnia.

Honeycutt jakby się odprężył. Ktoś, kto ma zaraz zjeść zapiekankę, chyba nie uderzy w najbliższy

punkt? - zdawał się sobie mówić.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, panie nadinspektorze, jak to się stało - odezwał się.

- Wczoraj w nocy na Berkeley Square. Prawdę mówiąc, niedaleko stąd. Lekarz policyjny twierdzi, że około północy - uśmiechnął się znowu Jury, wiedząc, że najślabszy punkt został uderzony, bo Valentine Honeycutt pobladał.

- Nie sądzi pan przecież, że ja...

- Och, ja nic nie sądzę. Przynajmniej w tej chwili. Wyobrażam sobie jednak, że pan zrozumie naszą chęć ustalenia, co robili w Londynie ci, którzy, o ile wiemy, JA znaleźli. To znaczy uczestnicy wycieczki Honeysuckle Tours. Dzięki, sierżancie - powiedział, bo w tej chwili sierżant postawił przed nim dymiący talerz mielonej wołowy z ładnie zarumienionym ziemniakami. Postawił też na stole piwo Jury'ego i swojego guinnessa. - A wy? Nic nie zjecie?

- Mam lekkie dolegliwości żołądkowe - odrzekł Wiggins, kręcąc przecząco głową, po czym wyjął z kieszeni płaszczka małe, opakowane w folię pudełeczko i wrzucił do swojej szklanki z guinnessem dwie białe tabletki.

Jury, który sądził dotychczas, że sierżant niczym go już nie zdoła zadziwić, zmienił teraz zdanie, bo usłyszał charakterystyczny syk.

- Alka-seltzer w piwie? - zagadnął.

- To jest doskonałe na trawienie, panie nadinspektorze - wyjaśnił Wiggins. - A i sam guinness jest nadzwyczaj zdrowy.

Wiggins otworzył ponownie notes, tymczasem aksamitną pianę w jego szklance zaczęły przebijać bąbelki.

- Widział się pan zeszłej nocy z jakimiś innymi uczestnikami waszej wycieczki? Czy wciąż stosuje pan zasadę „każdy sobie rzepekę skrobie”? - zapytał Jury Honeycutta.

- Widziałem kilka osób - zabrzmiała odpowiedź. - A jeżeli chce pan wiedzieć dokładnie, gdzie kto był, to radzę, żeby pan przede wszystkim zapytał Cholmondeleya - dokończył Honeycutt tonem, w którym zabrzmiała nuta tryumfu właściwa komuś, kto znalazł kurę znoszącą złote jaja.

- A dlaczego?

- Dlatego że on miał się później spotkać z Amelią - wyjaśnił Honeycutt, zapalając papierosa.

- Skąd pan o tym wie?

- Skąd? Stąd, że mi to powiedział.

Jury odłożył widelec.

- Moim zdaniem to dziwne. Cholmondeley nie wygląda mi na człowieka, który chodzi i zwierza się z takich rzeczy wszystkim naokoło.

- Zwierza się? Nie, nie. Moim zdaniem w tym, co mi powiedział, nie było nic ze zwierzeń. Wtajemniczył mnie tak od niechcienia. Po tym, jak go zapytałem, czy nie poszedłby ze mną do kasyna. - Honeycutt poczerwieniał i odwrócił wzrok, zaciągając się lekko papierosem. Wzruszył ramionami. - Po prostu powiedział, że jest umówiony z Amelią. - Tu nastąpiła pauza, podczas której Honeycutt oglądał swoje perfekcyjnie wypolerowane paznokcie. - Nie sądzę, by wiedział, że Amelia zostanie zaraz zamordowana.

Jak to się dzieje, że zawsze muszę jeść lunch w towarzystwie policji? - zapytał George Cholmondeley tonem całkiem przyjaznym.

Zrobił to po tym, jak Jury przedstawił mu Wigginsa, wskazując gestem krzesła przy swoim stoliku.

- Przepraszam pana za to. Ale recepcjonistka w hotelu Brown's powiedziała nam, że pana tu zastaniemy. Więc jesteśmy, bo sprawa jest dość istotna. Jak rozumiem, nie słyszał pan nowin na temat pani Farraday?

Cholmondeley, który podnosił właśnie do ust kieliszek wina, nie upił ani kropli. Powolnym ruchem postawił kieliszek na stole, odsuwając równocześnie talerz i sprawiając wrażenie, że jedzenie przestało go interesować. Jury natomiast zauważył, że interesuje ono sierżanta Wigginsa, który ze znaczną dozą podejrzliwości wpatruje się w tournedos Rossini. Trzeba tu nadmienić, że Wiggins nie ufał obcym klimatom, a także, w równym stopniu, nie miał zaufania do bardziej wyszukanych potraw. Jury'ego w związku z tym nieodmiennie zdumiewał fakt, że ktos, kto ma wiecznie tyle złych przeczuc, uparcie trzyma się diety składającej się z halibuta, frytek i konserwowego groszku.

- Wyobrażam sobie - odezwał się Honeycutt - że nowiny są bardzo nieprzyjemne. Bo przecież inaczej pan by się tutaj nie zjawił.

- Rzeczywiście. Bardzo - odrzekł Jury.

- A co się stało?

- Znalaziono ją martwą. Ktoś ją zamordował. Jak rozumiem, powiedział pan Honeycuttowi, że był pan z nią umówiony? - zapytał Jury i dał swemu rozmówcy trochę czasu.

Dokładnie tyle, żeby ten mógł wyjąć papierosy, poczęstować nimi ich obu i zapalić.

- No cóż, tak, rzeczywiście, byłem umówiony z panią Amelią Farraday. Z tym, że lepiej by było powiedzieć, że to ona poprosiła mnie o spotkanie.

- O? A dlaczego?

- Bo raczej nie rozumiała, że flirt między nami jest skończony.

- I sprawiała panu jakieś kłopoty?

- Kłopoty? To znaczy, czy stawiała mnie w kłopotliwym położeniu? - Cholmondeley roześmiał się, a potem najwyraźniej się zorientował, że śmiech w tej sytuacji raczej nie przystoi. - Przepraszam. Nie. To się nie mogło zdarzyć. Ale sądzę, że wiem, do czego pan zmierza.

- Wie pan? - zapytał Jury z kamienną twarzą. - No to proszę mi powiedzieć. Wtedy może i ja się tego dowiem.

Cholmondeley milczał, spoglądając to na Jury'ego, to na Wigginsa tak, jakby z twarzy sierżanta chciał wyczytać, czy policjanci wiedzą, dlaczego nie chce się przyznać, gdzie był poprzedniego wieczoru. Jednak twarz Wigginsa Pozostawała nieprzenikniona jak ceglany mur.

- Wygląda na to - powiedział wreszcie - że szukają panowie motywów. Zatem uwierzcie mi, że mój byłby bardzo słaby.

- Gdzie mieliście się spotkać?

- Na Berkeley Square. To niedaleko hotelu. Ale, z drugiej strony, nie za blisko.

- To niezbyt ładnie spotykać się późną nocą w parku z damą, której nikt nie towarzyszy.

- A kto powiedział, że to miało być późną nocą?

Cholmondeley palił spokojnie, jakby wiedząc, że zdobył punkt.

- No cóż, ja po prostu tak przypuszczam. Jej mąż twierdzi, że po kolacji wyszła na spacer. I było to między wpół do dziesiątej a dziesiątą. Sądzę, że bliżej dziesiątej. Czy spacerowała z panem?

- Nie - powiedział szorstko Cholmondeley. - Mówiłem już panu: Amelia się nie pojawiła.

- Nie pojawiła się kiedy, proszę pana? - zapytał Wiggins, który odłożył notes, żeby odkręcić małą fiołkę z pigułkami.

- O północy. Znam w sąsiedztwie kilka klubów. Obiecałem jej, że ją tam zabiorę.

Wiggins wziął pigułkę pod język i wrócił do robienia notatek.

- To wskazuje na to, proszę pana, że był pan na Berkeley Square mniej więcej w tym czasie, w którym ją zamordowano - powiedział Jury.

- Ależ ja wcale nie poszedłem na Berkeley Square. Czekałem po zachodniej stronie, tam, gdzie się umówiliśmy. Nie, nie mam na to świadków, więc spodziewam się, że jestem waszym pierwszym podejrzanym. - Cholmon-

deley pochylił się nad stołem. - Tylko jaki ja mógłbym mieć motyw dla tego morderstwa?

- Może tym motywem mogłoby być to, o czym była mowa wcześniej: fakt, że ona była w sposób dla pana niewygodny nieustępliwa.



Cholmondeley spojrział na Jury'ego z pogardą, jakby sugerując, że nadinspektor powinien był wystąpić z czymś sensowniejszym.

- Albo też, że wiedziała o czymś bardziej kłopotliwym niż ten banalny romans. Wciąż się zastanawiam, dlaczego taki człowiek jak pan, obyty w świecie i doświadczony podróżnik, i na dodatek Anglik, zdecydował się pojechać na wycieczkę z grupą Amerykanów.

- Nie rozumiem, dlaczego to pana niepokoi.

- Ano choćby dlatego, że z pańskiego paszportu wynika, że był pan w tym roku na Kontynencie już pięć razy. W Amsterdamie.

- I co w tym dziwnego? Mówiłem, że zajmuję się handlem drogimi kamieniami. Muszę odbywać podróże w interesach.

- Tak na mój gust powinien pan mieć Amsterdamu trochę dosyć. A ta grupa wycieczkowa zatrzymuje się tam na cały tydzień. Po Londynie też nikt pana nie musi oprowadzać. Ani po Stratfordzie, jeżeli już o tym mowa. Są tuż obok, dostępne w każdej chwili. Moim zdaniem powinien pan na wakacje wybrać się raczej na wyspy Morza Śródziemnego, na Wybrzeże Amalfijskie albo Lazurowe Wybrzeże. Bo to by się różniło od pana zwykłych podróży.

- Panie nadinspektorze - odrzekł Cholmondeley - wyjazd na wakacje w okolice Amalfi czy gdziekolwiek

indziej to może być pański wybór. A mnie proszę pozwolić spędzać urlop tam, gdzie ja mam ochotę.

To rzekłszy, wetknął sobie do ust cygaro i sięgnął do tylnej kieszeni spodni, bo najwyraźniej doszedł do wniosku, że już czas zapłacić.

- A owszem - powiedział Jury - chętnie bym tam pojechał. Problem w tym, że raczej nie miewam wakacji. Jednakże kiedy przypadkiem trafi mi się kawałek urlopu, nie spędzam go tak jak pan na objeżdżaniu znanych mi miast.

Cholmondeley, milcząc, pokręcił tylko głową, po czym wyjął bardzo duży banknot i położył go na stole.

Jury natomiast otworzył notes.

- Policja w Amsterdamie - zaczął - odbyła kilka rozmów z dżentelmenem, z którym pan robi interesy, a który nazywa się Paul Van Derness. Pan Van Derness prowadzi legalny sklep. Przez większą część czasu. Niekiedy jednak bywały co do niego podejrzenia. O to, że handluje diamentami na czarnym rynku.

- Nie wierzę w to - odrzekł Cholmondeley. - Zresztą nawet gdyby to była prawda, to co to ma wspólnego ze mną?

- Zastanawiałem się, jak podczas takiej objazdowej wycieczki, w odróżnieniu od indywidualnej podróży, mają się rzeczy z bagażem. Pewnie ten kłopot zdejmują wszystkim z głowy Honeycutt. Zbiera walizki i torby na wielką kupę i przeprowadza tę górę bagażu przez cło. A jest to prawdziwa góra, bo sami Farradayowie mają wszyscy razem z piętnaście walizek. Celnicy natomiast, widząc, że to tylko grupa Amerykanów na wakacjach, pewnie go nie sprawdzają. Albo sprawdzają tylko pobieżnie. Więc jeżeli o mnie chodzi, to gdybym chciał nielegal-

nie wywieźć diamenty, przyłączyłbym się do takiej wycieczki.

Cholmondeley strzepnął z cygara popiół - małym palcem, na którym migotał jeden z takich diamentów, jakimi handlował.

- Proszę zachować ostrożność, panie nadinspektorze - powiedział. - Nie mam nic więcej do dodania. Poza tym, że nie spodoba się to moim prawnikom.

Jury milczało. Był pewien, że Cholmondeley nie wytrzyma i będzie się dalej bronił.

Cholmondeley natomiast, chowając do kieszeni cy- garnicę, mówił dalej:

- Zatem doszedł pan do wprost śmiesznego wniosku, że ja powiedziałem Amelii Farraday, że przemycam diamenty i że ona zagroziła... No naprawdę, to absurdalne.

Jury nie przerywało milczenia.

- A co z tą Bracegirdle? I z córką Amelii? - mówił dalej Cholmondeley. - Czy to ja je obie, jak lubi pisać prasa, „zaszlachtowałem”? Po to, żeby je uciszyć? Czy pan sobie wyobraża, że wszystkie one wiedziały o moich czarno- rynkowych transakcjach? Moje nieszczęście polega na tym, że nie ma tu Amelii i nie może położyć kresu tym nonsensom.

Jury przerwało milczenie dopiero po chwili.

- Dla Amelii - powiedział - jest to jeszcze większe nieszczęście niż dla pana.

Czy pan naprawdę tak myśli, panie nadinspektorze? - zapytał Wiggins już w samochodzie, kiedy wracali do hotelu Brown's.

- Chodzi wam o ten przemyt, sierżancie? Sam nie wiem. Moim zdaniem udowodnić tego raczej się nie uda.

Uzyskałem nakaz rewizji, ale nasi ludzie nic u niego nie znaleźli. Zresztą wcale się tego nie spodziewałem. Chol- mondeley na pewno pozbył się wszelkiej kontrabandy, którą wiozł z Amsterdamu. Może nawet w Paryżu... Sam nie wiem. Ale mówienie o tym trochę go zdenerwowało.

-Ale czy dzięki temu uzyskujemy wystarczającą orientację, jeżeli chodzi o motyw?

- Szczerze mówiąc, wątpię. No tak. Brak motywu to w tej sprawie rzecz najgorsza. Bo może być tak, że mamy do czynienia z jakimś „Rezunem z Yorkshire”. Mordującym kogo popadnie. Z drugiej jednak strony, ten nasz morderca nie morduje kogo popadnie. To jest jasne. - Jury zamilkł i przez chwilę jechali bez słowa. - Kiedy znajdziemy się w hotelu - powiedział w końcu - wy, sierżancie, porozmawiacie z Cyclamen Dew, a ja z jej ciotką. Nie poznaliście jej, prawda? - Wiggins pokręcił głową. - Założę się, że w zetknięciu z nią bardzo szybko pozbylibyście się kataru. Co to była za pigułka, którą wzięliście? Jeszcze takiej u was nie widziałem.

- Mam trochę podwyższone ciśnienie, panie nadinspektorze - odrzekł Wiggins, zadowolony, że Jury interesuje się jego lekami.

- Oj, to niedobrze. Musicie brać tabletki. Jedną dziennie? Wiem, bo cierpi na to mój kuzyn.

Wiggins, zachwycony, że może uświadomić w tym względzie Jury'ego, skręcił teraz w Albemarle Street. Nadciśnienie było pierwszą od kilku lat nową chorobą, na którą udało mu się zapaść. Był z tego zadowolony, bo dotychczas musiał się jak niepyszny ograniczać do doskonalenia starych.

- Mój lekarz mówi - zaczął swoje wyjaśnienia - że to choroba zawodowa. Mamy w naszej pracy zbyt wiele stresów, więc nadciśnienie jest nieuniknionym tego skutkiem. A pan, panie nadinspektorze... No cóż, nie sądzę, żeby był pan tak wrażliwy jak ja... - Jury szybko odwrócił głowę i wpatrzył się w szklaną fasadę jakiegoś salonu wystawowego, a Wiggins najwyraźniej poczuł, że niechcący uraził swego zwierzchnika, zatem dodał pośpiesznie:

- Nie chcę oczywiście przez to powiedzieć, że pan stracił wrażliwość. Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Miałem tylko na myśli, że ja... No, wie pan, ja zawsze odczuwałem różne rzeczy znacznie silniej niż inni ludzie. A to przecież musi się jakoś odbić na zdrowiu człowieka. Nasza praca naprawdę wymaga poświęceń.

Wiggins będzie się świetnie czuł, rozmawiając z Cyclamen Dew, pomyślał Jury, z pewnością oboje dadzą upust swojej skłonności do męczeństwa.

- ...a to, że człowiek musi brać tabletki na coś, co nie daje żadnych objawów, to takie straszne zawracanie głowy. To znaczy... no, wie pan... kiedy człowiek jest poza tym całkiem zdrowy...

Wiggins urwał, a Jury popatrzył na niego ze zdumieniem, tym większym, że twarz sierżanta była całkiem normalna. Miała wyraz godny świętego.

Kiedy Jury wszedł do wyłożonego boazerią holu hotelu Brown's, lady Violet Dew, przechylając małą piersiówkę, nalewała właśnie coś do filiżanki z herbatą. Czytając równocześnie „Hustlera”.

Gdy się zbliżył, podniosła na niego wzrok i przesunęła okulary na czubek głowy.

- Potrzebuję ich tylko do czytania - poinformowała, składając energicznie czasopismo.

Potem uśmiechnęła się i popatrzyła na Jury'ego z uznaniem.

Dzisiejsza jej aprobata dorównywała tej, z którą powitała go poprzedniego dnia w chwili, gdy wycieczka wsiadała do autokaru mającego wyruszyć w drogę ze Stratfordu do Londynu.

- Znowu pytania - zagadnęła teraz. - Wiem, czego będą dotyczyć, bo już o tym słyszałam. Cały hotel o tym aż huczy, a moja pokojowa prawie sika ze strachu. Zbrodnie na tle seksualnym są zawsze najgorsze, prawda? Pewnie dlatego, że w skrytości ducha każdy o czymś takim marzy. Proszę siadać, proszę. - Poklepała zapraszającym gestem krzesło. - Napije się pan herbaty? Ja stawiam.

Jury mistrzowską pantomimą odegrał rolę człowieka całkiem wykończonego, dając do zrozumienia, że chce tylko odpocząć. Rozluźnił nawet krawat.

- Chętnie się napiję - powiedział.

- Pewnie nie ma pan zbyt wiele czasu? Nie usiądzie pan na dłużej, nie odpocznie i nie pogada, prawda? Bo musi pan wracać do domu, do żony i dzieci.

- Nie mam ani żony, ani dzieci - uśmiechnął się promiennie Jury.

- Niech pan da spokój! - zawołała lady Dew, klepiąc go żartobliwie po ramieniu. - Taki przystojny mężczyzna? No ale jeżeli rzeczywiście jest pan sam, to pewnie wszystkie policjantki szaleją za panem.

- Wszystkie to pewnie nie. Choć oczywiście korzystam z życia. Na tyle, na ile mogę.

- Był pan kiedyś w Stanach? - zapytała, przysuwając się bliżej. - Pewnie nie i pewnie nie widział pan toru w Hialeah?

- Ależ, proszę pani...

- Proszę mi mówić Vi.

- A więc Vi. Zaprosiła już pani przecież pana Planta.

- No to co? Przecież we trójkę też moglibyśmy się świetnie zabawić. Nie sądzi pan?

- No tak, oczywiście. Jestem tego pewien. Ale tymczasem... Może byłaby pani uprzejma odpowiedzieć na kilka pytań?

- Byłabym. Bo ja dla pana wszystko. Niech pan strzela! - zakończyła, kładąc starczą dłoń na dłoni Jury'ego.

- Gdzie pani była wczoraj wieczorem?

- Gdzie byłam...?

Myśl, że mogłaby być podejrzana, zdawała się wprawiać ją w zachwyt. Roześmiała się i klepnęła dłońią po udzie.

- No wie pan, naprawdę chciałabym móc powiedzieć, że poszłam w miasto. Ale niestety. Tak nie było. Siedziałam zupełnie sama. W swoim pokoju.

- Z pani bratanicą?

- Nie, nie - zaprzeczyła. - Cyclamen poszła do teatru z Farradayem i jego małą. Mówiłam, byłam zupełnie sama. I nie mam żadnych świadków. Wie pan, po prostu ostrzyłam brzytwę - zakończyła.

- To nie są żarty, proszę pani - powiedział Jury. - Czy pani się wcale nie boi?

- A pan by się bał po trzech szklaneczkach dżinu? A zresztą dlaczego miałabym się bać, skoro jestem winna? „Gdzie pani była wczoraj wieczorem?” - zapytała, naśladowując niski głos i intonację Jury'ego.

- Przyjmijmy, że pani nie jest winna - odrzekł Jury. - Ale w takim razie, moim zdaniem, powinna pani czuć przynajmniej niepokój na myśl, że zostały zamordowane aż trzy kobiety z waszej wycieczki. Wyłącznie kobiety.

- A co z chłopcem? Z Jamesem Carltonem? Czy myśli pan, że on jest kolejną ofiarą? Której ciała jeszcze nie znaleziono? Oczywiście, że się boję, głupcze! No bo, jak pan sądzi, dlaczego siedzę tutaj i zalewam się w trupa? - zapytała, dając znak kelnerowi, żeby przyniósł jeszcze jedną filiżankę.

- Mówi pani, że pani bratanica poszła do teatru... - zagadnął Jury

- Tak. Zgadza się. Wróciła jakieś pół godziny przed północą. A może o północy. Więc ja nie mogę jej zapewnić alibi. Ale być może mogą to zrobić inni. Farraday i ta mała Penny.

- Jak pani myśli, czy ona byłaby zdolna do popełnienia takich zbrodni? - zapytał Jury.

- Prawdopodobnie nie - odrzekła lady Violet. - Ale przecież to samo da się powiedzieć o wszystkich innych uczestnikach wycieczki. Jest Farraday i Schoenberg, i Cholmondeley. Za żadnego z nich nie dałabym głowy. Ale nie sądzi pan chyba, że te straszne rzeczy mogła zrobić kobieta? Tam chodziło o seks, może mi pan wierzyć.

- Nie ma na to żadnych dowodów - zauważył Jury. - A gdyby nawet były, to nie wykluczałoby to kobiety.

- Gdyby tak było, to ta kobieta musiałaby być jakaś dziwna.

- Tu się z panią zgadzam. Zdecydowanie. A teraz proszę mi opowiedzieć o swojej bratanicy.

- Nie wiem, co pan ma na myśli - odrzekła, puszczając chwyconą poprzednio dłoń Jury'ego, która opadła ciężko na blat stołu.

- A ja wiem, że pani to wie. I to doskonale - stwierdził Jury.

Nie zachowała pokerowej twarzy. Przeciwnie - zeszytniała i przyjęła postawę obronną, wskutek czego Jury doszedł do wniosku, że co do Cyclamen Dew Cholmondeley miał rację.

Lady Violet milczała.

- Gwendolyn Bracegirdle i Cyclamen bardzo się przyjaźniły - odezwał się Jury. - Mówią tak...

- To kłamstwo!

- Co jest kłamstwem?

- To, że Cyclamen... no, że jest zбочzona.

- A panna Bracegirdle?

- Nie mam zwyczaju mówić źle o zmarłych - odrzekła z wyższością.

Jury tylko się uśmiechnął, bo był pewien, że gdyby jej to pasowało, mówiłaby najgorsze rzeczy dosłownie o każdym. I wystarczyłaby jej do tego niewielka zachęta. Nie za bardzo przepadała za bratanicą, jednak fakt, że kobieta z jej rodziny jest w tym sensie dziwna, uznałaby za plamę na własnej seksualności.

Jury wyciągnął z kieszeni jakieś zwinięte w rulon czasopisma.

- Co to jest? - zapytała lady Violet.

- To kilka magazynów, które chcę zanieść znajomemu. Bo wydział brudów dokonał wczoraj oczyszczenia terenu.

- Wydział brudów? A co to takiego?

- To inaczej wydział do spraw narkotyków i pornografii... - odrzekł. - O nie! - Cofnął się, gdy wyciągnęła po nie rękę. - To jest materiał dowodowy.

- A przed chwilą mówił pan, że chce je pan zanieść znajomemu.

- No tak, ale ten znajomy jest też policjantem.

- I będziecie się we dwóch nad tym wszystkim ślinić? Obrzydliwość.

- No cóż, wszyscy musimy czasami chwilę odpocząć - powiedział Jury, przerzucając kartki magazynu.

Nagle gwizdnął przeciągle, a lady Dew wyciągnęła szyję, chcąc mu zajrzeć przez ramię. On jednak złożył energicznie magazyn.

- Przepraszam.

- To szantaż, panie nadinspektorze. Bezcelny szantaż! - Zamilkła, bo kelner postawił właśnie na stoliku imbryk z herbatą i filiżankę dla Jury'ego. - No dobrze - skapitulowała. - Powiedzmy, że Cyclamen lubi się zabawić w ten sposób. Ale kimże ja jestem, żeby patrzeć na nią z góry? Chociaż z drugiej strony naprawdę nie wiem, jak można to robić z kimś takim jak ta Bracegirdle. Z taką tępą babą. Ciekawa jestem, która z nich była, no wie pan... a która... No cóż, takie rzeczy zdarzają się stale, ale każdy to lekceważy. No bo niech pan weźmie tego Honeycutta. Cóż to za kretyn, proszę pana.

- Pani bratanica - zagadnął Jury, podając jej magazyny - i panna Bracegirdle wychodziły niekiedy razem. A proszę mi powiedzieć, czy w Stratfordzie chodziły razem do teatru?

- O ile się orientuję, to nie. Tamtego wieczora myślałam, że Cyclamen się położyła. Choć oczywiście nie mam co do tego pewności. Ale co pan sugeruje?

- Nic, naprawdę nic. - Jury doszedł do wniosku, że nie należało jej dawać tych magazynów przed uzyskaniem od niej odpowiedzi, bo teraz, całkiem o nim zapomniawszy, oglądała rozkładówkę. - Innymi słowy, proszę pani, chcę zapytać, czy istnieje możliwość, że wieczorem w dzień śmierci Gwendolyn Bracegirdle pani bratanica wychodziła z hotelu? A także wczoraj wieczorem?

- Co...? O... tak. Tak sędzę. Nikt z nas nie ma alibi. - Zdawało się, że uważa to za rzecz raczej zabawną. - Więc pan nigdy nie był żonaty. Hm. A ile pan ma lat, chłopcze?

- Czterdzieści trzy. Nie jestem już taki młody - odrzekł Jury.

- Ha! Niech pan poczeka, aż będzie pan miał sześćdziesiąt dwa. To znaczy tyle co ja. Wtedy dopiero pan oceni, czy czterdziestka z okładem to już starość.

No cóż, pomyślał Jury, gdybym nawet nie widział jej paszportu, i tak bym wiedział, że przekroczyła osiemdziesiątkę.

Mimo to czuł się w tej chwili bardzo stary.

Penny Farraday wpuściła bluzkę w dżinsowe spodnie i przygładziła włosy.

- Posłuchaj, Penny - zwrócił się do niej Jury - to jest sierżant Wiggins z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

- Miło mi - odrzekła, podając mu rękę.

- Dzień dobry, panno Farraday - powiedział Wiggins.

- Przykro mi, Penny - ciągnął dalej Jury - ale musimy zadać ci kilka pytań. Wczoraj wieczorem byłaś w teatrze z panem Farradayem i Cyclamen Dew. Tak?

-Tak, zgadza się - odparła dziewczynka bezbarwnym tonem, po czym wzięła do ręki jakieś czasopismo i zaczęła je machinalnie przeglądać.

- O której godzinie wróciliście do hotelu?

- O wpół do jedenastej. A może o jedenastej. Amelia... - Jej przewracająca kartki dłoń na moment znieruchomiła, zaraz jednak podjęła ponownie tę czynność. - Amelia też miała z nami obejrzeć sztukę, ale już w teatrze zmieniła zdanie i powiedziała, że pójdzie po prostu pospacerować. Sądzę, że staruszek był wściekły I nie powiem, że go za to potępiam. - Penny nerwowym ruchem odrzuciła czasopismo na stolik. - To było o takim podrzutku. Dobra sztuka. A wie pan, co to podrzutek? - Jury kiwnął głową, jednak ona mówiła dalej: - Podrzutek... no to jest wtedy, kiedy podkłada się po kryjomu jedno małe dziecko w miejsce innego. - Zmarszczyła brwi. - To tak - kontynuowała - jakby ktoś ukradł dziecko i udawał, że to jego własne. Wie pan, to nie jest do końca to samo co adopcja...

- Zatem pan Farraday wychodził wczoraj wieczorem z hotelu? - przerwał jej Jury, widząc, dokąd prowadzi jej monolog.

- Tak - odrzekła, marszcząc brwi, gdyż nie wyzbyła się okropnych myśli na temat podrzutków. - Ale jeżeli chce pan z niego zrobić winowajcę, to powiem, że pan zwariował. On nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nigdy.

- Sprawiasz wrażenie osoby, która ma w tej sprawie absolutną pewność.

- Bo ją mam. Choć - dodała pospiesznie - nie chcę przez to powiedzieć, że popieram wszystko, co staruszek robi...

- A panna Dew?

Penny wzruszyła ramionami.

- Chyba poszła spać.

- Czy widziałaś jej ciotkę? Albo którąś z innych osób? Cholmondeleya? Schoenberga?

Penny założyła ręce za głowę i spojrzała w górę na sufit.

- Nie. Ten kretyn Harvey był po drugiej stronie rzeki. Mówił mi, że idzie zobaczyć katedrę w Southwark.

- Ale to musiało być wcześniej.

- Chyba tak. - Penny podparła dłońią głowę. Trudno było osądzić, czy przygnębia ją fakt śmierci Amelii, czy też nudzą te wszystkie pytania. Kiedy jednak w końcu ponownie spojrzała na Jury'ego, przyczyna jej niepokoju okazała się oczywista. - A co z Jimmym? Teraz, kiedy stały się te inne rzeczy, nikt go przecież nie szuka. Jimmy nie żyje, prawda? - zakończyła cicho.

- Nie, nie - zaprzeczył Jury. - Gdyby nie żył, wiedzielibyśmy o tym. I nie myśl, że przestaliśmy go szukać. Policja z Warwickshire przeczesuje teren - zapewnił jeszcze, patrząc na nią uważnie i mając nadzieję, że intuicja w sprawie chłopca go nie myli.

Kiedy książki, spiętrzone w stertę, leżały już na podłodze, James Carlton zdjął długą na pięć stóp górną półkę i położył ją na blacie biurka. A potem obrócił ją i wsunął przez otwór, który się utworzył, kiedy pręt



kraty w oknie w końcu ustąpił. Ponieważ otwór był zbyt mały, musiał deskę przechylić, co z kolei utrudniło oparcie jej końca o gałąź rosnącego za oknem drzewa i wymagało od niego wielkiego wysiłku. James Carlton spociał się bardzo, a na dodatek w pewnej chwili miał wrażenie, że deska wyślizguje mu się z rąk, że zaraz spadnie i będzie to koniec wszystkiego. Jednak tak się nie stało. Chłopcu udało się oprzeć przeciwny koniec deski o prostą gałąź i utworzyć w ten sposób rodzaj pomostu. Bliższy sobie koniec oparł na kilkucalowym kamiennym występie muru. Ustawiony w ten sposób pomost wydawał się wystarczająco stabilny. James Carlton wysunął się przez otwór i oparł rękami mocno na desce. Pomost wytrzymał, a więc będzie chyba bezpieczny. Choć z drugiej strony nie był to dostateczny sprawdzian, bo przecież nie obciążył go całym swoim ciężarem. Chłopiec spojrział w górę na niebo i stwierdził z zadowoleniem, że jest prawie zupełnie czarne i tylko nikła chłodna księżycowa poświata powleka cieniutką warstewką górne gałęzie rosnącego naprzeciwko drzewa.

Szary kot, siedzący początkowo na biurku, najwyraźniej uznał, że chłopiec wykonuje wszystkie te czynności wyłącznie ku jego osobistej ucieście. Gdy pomost był już gotowy, wyślizgnął się zwinnie przez otwór i zaczął się po nim przechadzać. Przez chwilę chodził w tę i z powrotem, po czym jednym susem wylądował na dużym konarze drzewa, gdzie przysiadł i zabrał się do drapania pazurami pnia.

Była czwarta nad ranem. James Carlton zaplanował ucieczkę tak, żeby dokonać jej jeszcze nocą. Równocześnie jednak tak blisko świtu, żeby nie musieć zbyt długo maszerować w ciemności. A poza tym była to godzina, o której ludzie jeszcze śpią.

James Carlton przysiadł na parapecie i najpierw wysunął za okno nogi. Potem, przytrzymując się kraty, przedostał się bardzo powoli przez otwór, uważając przy tym, żeby nie strącić deski. Siedział teraz ze zwisającymi w dół nogami. W chwilę potem, nie patrząc na dół, podciągnął się i stanął na występie muru, trzymając się mocno znajdującej się z tyłu kraty.

Deska przesunęła się tylko nieznacznie. W końcu, powiedział sobie chłopiec, od konaru dzieli mnie zaledwie kilka stóp. Więc wystarczą dwa duże kroki, a znajdę się na drzewie, obok kota. Wciąż jednak trzymał się kraty, patrząc w ciemne niebo usiane zimnymi gwiazdami i czując wokół siebie ogromną pustkę tej nocy.

Szary kot siedzący na gałęzi sprawiał w świetle księżyca upiorne wrażenie. Najwyraźniej ta nocna wycieczka była jego zdaniem zdecydowanie lepszą zabawą niż wylegiwanie się na łóżku Jamesa Carltona. No dalej, ponaglił w myślach chłopca.

Ale Jamesowi Carltonowi palce jakby przymarzły do okiennej kraty. Spojrzawszy w niebo, zobaczył przy- marznięte do firmamentu gwiazdy i wydało mu się, że Bóg postanowił zatrzymać wszechświat w biegu. Czy mój zegarek jeszcze chodzi? - zastanowił się. Czy bije moje serce? Czy może to wszystko, co bije i tyka, absolutnie znieruchomiło?

Może powinienem się modlić, myślał dalej, patrząc na deskę, która wisiła przerzucona nad otchłanią tak wielką jak wszechświat. Nie musiał opróżniać umysłu, bo jego umysł zdawał się być częścią pustki. Tak, chciał się pomodlić. Nie wiedział jednak, jaką wybrać modlitwę. A potem, nagle, jego umysł wypełnił się obrazami. Pojawił się jego ojciec, korespondent wojenny czy też as pilotażu, a może baseballista. A

także bez wątpienia wspaniały spadochroniarz. No tak, pomyślał chłopiec, ojciec nie byłby ze mnie dumny... podobnie jak człowiek w Żelaznej Masce, któremu z pewnością niepotrzebna byłaby żadna deska. Bo zebrałby się w sobie i skoczył.

Jeden z palców chłopca odtajał i - niczym koniuszek miecza - wbił mu się w plecy. W uszach zabrzmiał mu chór głosów, śpiewających „Hej, ho. I flaszeczka rumu...”\* A potem jeden głos, pełen okrucieństwa, zachrypty od rumu, grożący mu, że stanie się „żarciem dla ryb”\*\*\*.

Własny palec dźgnął go mocniej w plecy. Chłopiec nie mógł nic w tej sytuacji zrobić - nie miał wyboru. Albo Przebiegnę po tej desce, albo pożrą mnie rekiny... pomy-

Robert Louis Stevenson, Wyspa skarbów, przel. Michał Filipek, Zielona Sowa, Kraków 2005, s. 11 (przyp. tłum.).

Tamże, s. 144.

ślał. Pod nim, w dole kłębiły się spienione ciemne wody, z których od czasu do czasu wyłaniały się płetwy morskiego drapieznika. Oczami wyobraźni widział też, jak na powierzchni wypływa jego własna krew...

I zanim się zorientował, że puścił kratę, już był na drzewie.

Teraz czekało ich kolejne zadanie - trzeba było zejść na ziemię. Dla niego samego, dla chłopca, który łąził po wszystkich drzewach w całej Wirginii Zachodniej i Marylandzie, była to po prostu bułka z masłem.

Jednak nie dla kota. Dla zwierzęcia bowiem chodzenie po desce okazało się łatwe, ale schodzenie z drzewa niezupełnie. I gdyby James Carlton nie ciągnął go i nie szarpał, siedziałby na gałęzi przez całą noc, miauczając do księżycyca.

Jednak w końcu chłopiec osiągnął swoje i obaj wylądowali na kupce miękkiej ziemi u stóp drzewa.

Dom był tak ciemny jak noc za drzewami. James Carlton, wraz z kotem stąpającym za nim miękko krok w krok, cofnął się najpierw, żeby się dobrze przyjrzeć budynkowi. Dom wyrastał przed nim wysoki, zimny i ciężki jak więzienie, którym było jego wnętrze. Nic się w nim nie ruszało. Nie świeciły się żadne światła. Nagle jednak, gdzieś z drugiej strony, chłopiec zauważył bladą poświatę. Pod- kradł się po cichu w tamtą stronę, po czym wyprostował się i zajrzał przez oświetlone okno. W pomieszczeniu dojrzał poruszającą się sylwetkę jakiegoś mężczyzny.

Nie zadał sobie trudu, żeby mu się przedstawić. Chwyciwszy kota, wziął nogi za pas.

Melrose Plant usadowi! się w hotelowym holu mniej więcej w tym miejscu, które ostatnio zajmowała lady Dew. Był też mniej więcej w takiej samej formie jak Jury, który siedział obok.

- Gdzie jest Schoenberg? - zapytał bez żadnych wstępów Jury.

- Mój Boże, Richard, czy zanim zaczniesz mnie przepytawać, nie pozwolisz nawet odpocząć moim nadwyrężonym, choć dobrze obutym, stopom?

- Nie - odrzekł Jury, dając znak kelnerowi, który z pewnością przygotowywał się już na niekończący się napływ herbaciarzy zasiadających na tej kanapie.

- Skoro tak, to ci powiem - skapitulował Melrose. - Sądzę, że wciąż jeszcze biega po Pepys Park. Te kanapki wyglądają naprawdę zachęcająco. Agatha dałaby wszystko...

Wyciągnął rękę po trójkąt z rzeżuchą.

- A co to jest Pepys Park?

Melrose westchnął.

- Jest to osiedle mieszkaniowe, wzniesione kilka lat temu przez ojców miasta w miejscu, gdzie za czasów Marlowe'a była prawdopodobnie dzielnica Deptford Strand. Harvey oczywiście rozpacza z tego powodu. Ale cóż, taka jest kolej rzeczy. Postęp, postęp - zakończył Melrose, sięgając po kolejną trójkątną kanapkę, tym razem z czymś, co przypominało rybę.

- Kiedy wysłicie...?

- Powiedziałbym, że gdzieś w okolicach roku 1586... A dlaczego pytasz? - zagadnął Melrose, a kiedy Jury powiedział mu, co się stało z Amelią Farraday, przerwał jedzenie, milczał przez chwilę, a potem już poważnie odpowiedział na pytanie:

- Wyszliśmy z hotelu około dziewiątej. Zjedliśmy razem śniadanie.

- Ten, kto zamordował Amelię Farraday - powiedział Jury po krótkim zastanowieniu - ryzykowałby, wracając do hotelu nad ranem. Wiggins mówi, że nikt z personelu nie zauważył, żeby ktoś z interesującej nas wycieczki wrócił po północy. Z wyjątkiem Cholmondeleya. Ale o tym i tak wiedzieliśmy.

- Czy ja wiem... Do hotelu są dwa wejścia, z dwóch różnych ulic. Ja sam wszedłem tym drugim i nie sądzę, żeby mnie ktoś zauważył. No, w każdym razie do chwili, gdy znajdowałem się już w holu.

- Ale na to, że nie zostanie zauważony, ten ktoś nie mógł liczyć. Podejmowałby przecież w ten sposób ogromne ryzyko.

- Zamordowanie kogoś to już jest ogromne ryzyko. Samo w sobie, mój stary - odrzekł Plant, patrząc na Jury'ego, na co ten uśmiechnął się nieznacznie.

- To prawda - powiedział, a po chwili dodał tonem znużenia: - Nie rozmawialiśmy jeszcze z Harveyem. Kiedy wróci?

- Spodziewam się, że niedługo. Ma zjeść kolację ze swoim bratem Jonathanem. Ten brat przylatuje dziś po południu. Concordem, jak mówił mi Harvey.

- Ho, ho. To droga podróż - powiedział Jury. - Facet musi mieć forszę.

- O ile zrozumiałem, zgarnął wszystko, co w pocie czoła wypracowała ich rodzina. A tak nawiasem

mówiąc, ja także zostałem zaproszony na tę kolację. Tylko że...

- Świetnie - przerwał mu Jury, wstając. - Będziesz mógł zadać Harveyowi pytania. A żebyś na pewno spełnił stawiane ci wymagania, urządzę wszystko tak, żeby Wiggins wpadł tam na kawę. Ten drugi Schoenberg nie powinien być zbyt zmęczony po podróży...

- Bardzo ci dziękuję - uśmiechnął się kwaśno Melrose. - Nie sądzisz chyba, że oni są do siebie podobni? Możesz sobie wyobrazić rozmowę z oboma? - Melrose odstawił filiżankę. - Wiesz, jest coś, o czym chciałem ci powiedzieć... - Wzruszył ramionami. - Zresztą, czy ja wiem... To może poczekać.

- No to ja idę. Wracam do Scotland Yardu, a poza tym chcę pogadać z sierżantem Laską - powiedział Jury i wyszedł.

Melrose został, zastanawiając się, czy przypadkiem nie powinien był wspomnieć o tym, o czym zaczął mówić. Jednak z drugiej strony mówienie w tej chwili o związkach łączących Thomasa Nashe'a i Christophera

K If- \_

Thomas Nashe (Nash) (1567-1601), angielski satyryk i pro- ^ik, przyjaciel i współpracownik Christophera Marlowe'a; autor Pamfletów obyczajowo-społecznych, komedii oraz pierwszej=>

Marlowe'a wydało mu się nieco niepoważne. Jury mógłby pomyśleć, że on, Plant, ulega powoli szaleństwu Harveya Schoenberga. Zresztą, powiedział sobie, może rzeczywiście tak jest. Może to szaleństwo ogarnia i mnie...

Nic - powiedział Lasko, którego głos docierał przez telefon ze Stratfordu. - Z dziesięć razy przeczesał całą okolicę, sprawdziliśmy wszystkie autobusy i pociągi... No, dosłownie wszystko... I nie znaleźliśmy nawet śladu dzieciaka - zakończył, a Jury odniósł wrażenie, że ma przed sobą jego twarz, na której widnieje mina winowajcy.

Poinformował go, co się stało z Amelią Farraday. I zauważył, że w reakcjach Laski było coś nie do końca szczerego. Jakby się cieszył, że to morderstwo nie zostało popełnione w Stratfordzie. Za co zresztą raczej nie można go było winić.

- Pilnuj sprawy Jimmy'ego Farradaya - przykazał, bo nic więcej nie przychodziło mu w tej chwili do głowy.

Odłożył słuchawkę. Patrolujący dotychczas koryta-

I

rze kot Racera wcisnął się przez uchylone drzwi do jego spartańsko umeblowanego pokoju, a potem, jakby goniąc za snopem światła, krążąc pośród nielicznych mebli i przekradając się między nogami nadinspektora, osiągnął w końcu moment, w którym udało mu się wskoczyć na biurko.

angielskiej powieści łotrzykowskiej The Unfortunate Traveller (1594) (przyp. tłum.).

J

Jury i kot, wyrabiając sobie nawzajem opinię o sobie, przebywali razem aż do północy. Jury przez ten czas wielokrotnie przewertował dokumenty dotyczące sprawy-

Nie odkrył jednak niczego nowego... Bo na dobrą sprawę nic nowego w nich nie było...

Pomijając oczywiście list od starszego nadinspektora Racera, przystany tego popołudnia.

Jury!, zaczynał Racer, jak zwykle niegrzecznie. Choć w ciągu ostatnich kilku godzin nie miałem od was wieści, doszły mnie słuchy, że popełniono kolejne morderstwo. Wy tymczasem nie uznaliście za stosowne natychmiast się u mnie zameldować. Wydaje mi się to jakieś nienormalne, choć z drugiej strony jest tak być może wskutek tego, że uparcie żywię przekonanie...

Tu posypały się zwykle uwagi krytyczne, złorzeczenia oraz wariacje na temat omylności Jury'ego i zawodności jego metod. Po czym wszystko to kończyło się rozkazem stawienia się o świcie. Jury, rzucając list na biurko, pomyślał, że do tej chwili pluton egzekucyjny z pewnością zdąży już załadować broń.

Kot, który skończył się myć, spojrzął na list Racera i ziewnął.

Jury tymczasem przeszedł do czytania wiersza z programu teatralnego. Przeczytał go raz, a potem drugi. 1 wciąż nie rozumiejąc, jaki może on mieć związek z popełnionymi morderstwami, poczuł się jak kompletny idiota. Jedyny sens dostrzegał w tym, że wszystkie ofiary śmiertelne były kobietami i że ten smutny fakt znajdował odbicie w wiadomej zwrotce. Jednak nie, to nie wszystko. Było coś jeszcze: zwrotka mówiła o przemijaniu urody. Piękność, która szczerze. Królowe z ich urodą. Helena Trojańska. Niweczący wszystko czas. Jury podniósł wzrok i wpatrzył się w nagą ścianę. Gwendolyn Bracegirdle wcale nie grzeszyła urodą - korpulentna i wyondulowana, mając lat zaledwie trzydzieści pięć, była już kobietą w średnim wieku. Gdyby

nie jej śmierć, można by było mieć pewność, że ktoś zawziął się na rodzinę Farradayów.

Jury wziął do ręki paszport Jamesa Farradaya i spojrzął na malutkie zdjęcie. Potem przeniósł wzrok na jego powiększenie, na którym twarz Jamesa Carltona była dobrze widoczna. Następnie jeszcze raz spojrzął na paszport - na Jimmy'ego z Jamesem Farradayem i Amelią - i pomyślał, że chłopiec wygląda na bardzo inteligentnego. Nie odrywając od niego wzroku, wziął do ręki słuchawkę telefonu.

Lotniska? - zapytał zaspany Lasko. - Nie, do diabła, nie. Po kiego licha ktoś miałby go wywozić z kraju?... Posłuchaj, Richard. Przykro mi to mówić, ale obaj wiemy, że dzieciak leży martwy gdzieś na jakiejś łące, do której nie zdołaliśmy jeszcze dotrzeć.

- Nie, nie - zaprzeczył Jury.

Na co Lasko westchnął i powiedział:

- Skąd, do cholery, możesz być tego taki pewny?

- Wszystkie ofiary były kobietami, Sammy - odrzekł Jury, nie będąc pewnym niczego.

- Ale żeby wywieźć chłopca, porywaczom potrzebne by były dokumenty umożliwiające wyjazd z kraju.

- Zdobycie paszportów, Sam, nie jest bynajmniej rzeczą niemożliwą. No cóż, na razie dosyć, ale jeżeli będziesz mnie potrzebował, to jestem w domu.

Podał sierżantowi swój domowy numer w Islington, rozłączył się, odwrócił razem z obrotowym krzesłem i wbił wzrok w czarną okienną szybę.

Tak, tak, pomyślał, tu musi chodzić o rodzinę Farradayów. A ściślej, o kobiety z tej rodziny. W tej chwili żyła już tylko jedna. Penny.

Panie nadinspektorze...

Był to głos mieszkającej w suterynie pani Wasserman. Kobieta stanęła właśnie na progu mieszkania Jury'ego, jedną ręką zbierając pod szyją ciemny szlafrok, a drugą podając nadinspektorowi dzisiejszą, a może wczorajszą gazetę.

Jej ręka, Jury widział to wyraźnie, mocno drżała.

- Proszę wejść - powiedział uprzejmie, nie pytając, dlaczego jest na nogach o tak późnej godzinie. Domyślał się bowiem, że jak zwykle - przez cały długi dzień i jeszcze dłuższy wieczór - wyglądała zza ciemnych zasłon w swoim oknie, czekając, aż on wróci do domu.

Teraz, wciąż przytrzymując pod szyją szlafrok, weszła do środka i szybko zamknęła za sobą drzwi. Po czym oparła się o nie, kładąc dłoń za plecami na klamce.

Jury omal się nie uśmiechnął. Przypomniawszy mu się bowiem stary film z Bette Davis i typowa poza tej aktorki. Spojrzawszy jednak na przyniesioną przez panią Wasserman jedną z bardziej krzykliwych londyńskich bulwarów-tek, uświadomił sobie natychmiast, że starsza pani wcale nie gra. Na pierwszej kolumnie bulwarówki bowiem nie widniały dzisiaj porozbierane dziewczyny. Nie. Była tam wiadomość o „Krwawym Rezonie”. Jeżeli pani Wasserman, prawie w dezabilu, weszła na górę o pierwszej w nocy, pomyślał, to musi być naprawdę przerażona.

Współpracujące z policją gazety brytyjskie, podając informacje o morderstwach, usuwały z reguły wszelkie co bardziej krwawe szczegóły. I chwala im za to, pomyślał Jury, choć wiedział, że jest to konieczne z jednej przyczyny. Takiej mianowicie, że na świecie jest zbyt wielu potencjalnych „Krwawych Rezonów”, którzy tylko czekają na ujawnienie sposobu działania umożliwiającego im zdobycie jak największego rozgłosu. Jednak dzisiejsza bulwarowa gazeta, myślał dalej, stanowczo za bardzo i zbyt dosłownie zbliża się do kałuży krwi, w której leżało ciało zamordowanej Amelii Farraday. Choć z drugiej strony trzeba jej przyznać, że pozostawia wyobraźni nieco pola do popisu. Jednak powtarzające się słowo „okaleczenia” może sprawić, że nawet osoba o znacznie mniej żywej wyobraźni niż pani

Wasserman dozna szoku.

- „Krwawy Rezun” - powiedziała starsza pani. - Co za okropne określenie. Panie nadinspektorze, ten człowiek jest gdzieś w tym mieście. Chodzi sobie po prostu i wygląda jak każdy normalny mężczyzna.

Jury nie sprostował, że zabójczynią mogła być równie dobrze kobieta. Obawiał się bowiem, że mogłoby to tylko spotęgować lęki jego starszej sąsiadki. Pani Wasserman znała - albo uważała, że zna - zagrożenia ze strony mężczyzn. Tak dokładnie okopała się w swojej paranoi, że Jury wielokrotnie pomagał jej instalować coraz to nowe zasuwki w drzwiach, kraty w oknach, kupować zamki, klucze, łańcuchy. I produkował coraz to nowe kłamstwa. Sam nie potrafił policzyć, ile dotychczas wymyślił historyjek o niezawodności stołecznej policji, a także o jej skuteczności w ochranianiu chodzących po ulicach miasta kobiet.

Wiedział, że pani Wasserman, zabarykadowana w swoim mieszkaniu w suterynie, słysząc kroki przygodnego przechodnia, wyobraża sobie całą armię maszerujących ludzi, w której szeregach znajduje się jej prześladowca, że gdy ktoś się zatrzyma i gdy na chodnik padnie czyjś cień, natychmiast widzi czającą się postać. Wiedział też, że w jej wyobraźni te zapewniające bezpieczeństwo, starannie wybrane rzeczy - te zasuwki, zamki, łańcuchy

- roztapiają się niczym elementy krajobrazu Salvadora Dalego i spływają strugą ciemnej krwi po drzwiach mieszkania.

Wyraz jego twarzy musiał wzbudzić jej podejrzenia.

-Ja mam rację, panie nadinspektorze - powiedziała teraz. - Już samo wyjście z domu jest takie niebezpieczne...

Jury zdecydowanym gestem wziął ją pod ramię i posadził na obitym skórą fotelu, który był jedynym porządnym meblem w pokoju.

- Nie, proszę pani. Pani się myli - powiedział stanowczo i odrzucił daleko na biurko gazetę, z której niemal unosił się zapach krwi pomieszany z zapachem farby drukarskiej. -1 powiem pani dlaczego. Ale tylko pod warunkiem że jutro nie kupi pani kolejnej gazety. Słowo?

Złożyła ręce na kolanach i pokiwała głową.

- Słowo. - Uśmiechnęła się swoim smutnym uśmiechem nauczycielki i pogroziła mu palcem. - Z tym, panie nadinspektorze, że oboje wiemy, że nic mi pan nie jest w stanie powiedzieć. Choć, jak piszą w gazecie, to pan kieruje śledztwem.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z dumą - niczym ciotka, której młody krewniak okazał się mimo wszystko wartościowym człowiekiem.

- Proszę nie zwracać uwagi na to, co piszą - powiedział Jury. - A ja mogę panią zapewnić, że wszelkie informacje o tym jakimś „Krwawym Rezonie”, który jakoby grasuje po Londynie, to całkowita nieprawda. On wcale nie zabija ko... To znaczy, nie zabija ludzi jak popadnie. Ten człowiek doskonale wie, na kogo poluje. I nie ma to nic wspólnego z cudzoziemcami. Nie dotyczy też całego Londynu ani nikogo innego, poza tym kimś, kogo on ma na uwadze.

243

Uwierzyła mu. Jak zawsze. Z tym, że tym razem, pomyślał z zadowoleniem, wcale nie skłamałem. To, co powiedział, sprawiło, że sam zaczął czuć, że prawda jest blisko. I uśmiechnął się pierwszym tego dnia szczerym uśmiechem.

A wyraz twarzy pani Wasserman był wyrazem twarzy osoby, która omal nie poszła na dno i której mimo wszystko udało się wypłynąć na powierzchnię.

Powietrze, zdawał się mówić, dzięki Bogu. Nareszcie. Powietrze.

Jury mrugnął do Fiony Clingmore, która oderwała oczy od własnych, niedawno polakierowanych paznokci, próbując spowodować, żeby jego spojrzenie spoczęło na czymś daleko ważniejszym. Zmieniła w tym celu pozycję własnego biustu i nóg, a starannie umalowaną twarz oparła ostrożnie na splecionych dłoniach.

- Spóźniłeś się - zauważyła i przesunęła wzrok na drzwi gabinetu starszego nadinspektora Racera.

- Jeżeli o niego chodzi, to jego zdaniem zawsze jestem spóźniony - odrzekł i otworzył drzwi dokładnie w chwili, gdy Racer poprawiał sobie tupecik, co bynajmniej nie było okolicznością sprzyjającą jego wkroczeniu do gabinetu. Wkroczył tam jednak, podszedł do krzesła stojącego przy biurku Racera, usiadł na nim niedbale i powiedział:

- Cześć.

Tak wielka bezczelność sprawiła, że Racer, zapominając o tupeciku, spiorunował go wzrokiem jak kogoś, kto całkiem oszalał.

- Co takiego, panie nadinspektorze? - zapytał.

- Jak to? - padło w odpowiedzi, po czym Jury popatrzył na Racera niewinnym spojrzeniem - jasnym, łagodnym i szarym jak synogarlica.

Wiedział doskonale, że nie warto próbować doprowadzać szefa do szału. Jednak pokusa okazała się zbyt wielka.

- Jak to „jak to”? - twarz Racera zalała krew w kolorze tkwiącego w jego butonierce goździka. - Nie zwracamy się do zwierzchników, mówiąc „cześć”.



- O, przepraszam - powiedział Jury. - Panie starszy nadinspektorze - dodał w samą porę.

Racer opadł na oparcie obrotowego krzesła, patrząc na niego z podejrzliwością, jaką oficer policji rezerwuje raczej dla czynności związanych z dochodzeniem, i powiedział:

- Pewnego dnia, Jury, posuniecie się naprawdę za daleko.

Uwaga ta była chybiona, bo Jury zwykł był to czynić od niepamiętnych czasów.

- Pan chciał mnie widzieć? - zapytał.

- Oczywiście że chciałem was widzieć! Wczoraj. W sprawie tej Farraday. Kolejna Amerykanka zostaje za- szlachtowana na ulicy, więc konsul amerykański chce wiedzieć, co się dzieje, do cholery! No więc, Jury?! Co takiego się dzieje?!

- Jeżeli pyta mnie pan, czy rozwiązałem zagadkę tej serii zabójstw, to odpowiedź brzmi: „Nie”.

- Ja, panie nadinspektorze, proszę pana o raport - wycodził Racer przez zaciśnięte zęby.

Jury opisał, co trzeba. Scharakteryzował stan martwego ciała Amelii Farraday z wszelkimi krwawymi szczegółami.

- ...tak jakoś między jedenastą a wpół do pierwszej - zakończył.

- Motyw? - warknął Racer.

- Gdybym go znał, to skakałbym z radości.

- Wiggins?

Racer - zapewne z zamiarem wywołania u podwładnych jeszcze głębszej frustracji - nabrał ostatnio zwyczaju wyrażania się nader eliptycznie.

- A o co panu chodzi? - zmarszczył brwi Jury.

- Człowieku, no przecież chcę wiedzieć, co on robi! Oczywiście poza tym, że zaraza wszystkich naokoło swoimi chorobami. - Racer, co u niego rzadkie, spojrzął w porozkładane na biurku papiery i posłał Jury'emu zabójczy jak lewy sierpowy uśmiezek. - Wszystkie te poetyckie kawałki. No i zaraza. Sierżant Wiggins bardzo dobrze nadaje się do tej sprawy. - Racer rozsiadł się wygodniej, jak zwykle w pełnej gotowości do pouczania. - Czytałem o tym kiedyś. „Panie, zmiłuj się nad nami”. Tak chyba wtedy ludzie pisali na drzwiach. - Wykonał palcem wskazującym ruch pisania na drzwiach, za którymi zgodnie z jego życzeniem powinien się znajdować Jury. - Czy wiecie, że ludzie w tamtych czasach uważali, że zarazę zwiastują pewne znaki? Takie, jakie ja widuję, kiedy korytarzem nadciąga Wiggins. To znaczy ropuchy z długimi ogonami, chmary małych żabek, takie rzeczy - zakończył i zakaszłał.

- Mam nadzieję, że pan się nie... - zaczął tonem kondolencji Jury, ale zaraz przerwał, bo podczas peroracji starszego nadinspektora wypłynęła na powierzchnię jakaś myśl, pogrzebana dotychczas w

czeluściach jego podświadomości. Czy to możliwe, zastanowił się, że Racer powiedział coś, co ma nam zdecydowanie pomóc w śledztwie?

Moim zdaniem jest trochę złośliwy - powiedział Wiggins.

Jechali wzdłuż Piccadilly, rozmawiając o Jonathanie Schoenbergu. Sierżant zamilkł na chwilę, wciskając się z samochodem pomiędzy dwa piętrowe autobusy, które zdawały się ścigać wzdłuż Green Park.

- I co jeszcze macie o nim do powiedzenia, sierżancie? - ponaglił Jury.

Wiggins zajęty był właśnie wyjmowaniem z kieszeni chusteczki do nosa mającej rozmiary niewielkiego obrusa. Jego nos drgał lekko niczym nos królika. Jury obawiał się jednak, że wcale nie dlatego, że sierżant wyczuł trop.

- O kim, panie nadinspektorze? O Harveyu czy o jego bracie?

- Harveya bardzo dobrze znamy. Chodzi mi oczywiście o Jonathana.

- Ten człowiek wygląda jak...

Wiggins dostał tak gwałtownego napadu kichania, że Jury, chcąc utrzymać samochód na właściwym pasie ruchu, musiał chwycić kierownicę.

- Przepraszam, panie nadinspektorze. Zauważył pan, że Green Park pełen jest alergenów? - zapytał, po czym wydmuchał nos i skręcił w Albemarle Street.

- Raczej nie. Ale ja czekam, więc mówcie dalej. O bracie.

- No więc oni z wyglądu są bardzo do siebie podobni. Ale kiedy przychodzi do działania, różnią się całkowicie. Harvey przez większość czasu po prostu macha widelcem. Podczas gdy jego brat używa swojego do jedzenia. No wie pan, co mam na myśli.

- Tak - uśmiechnął się Jury. - A co sądzi o nim pan Plant?

- Jest tego samego zdania co ja. Uważa, że Jonathana nic nie ruszy. A poza tym Jonathan gardzi Harveyem. I nie sądzę, żeby się razem dobrze bawili. Powiedziałbym, że to taka zawodowa zazdrość.

- Trudno mi sobie wyobrazić - odrzekł Jury - że ktoś może czegoś zazdrościć Harveyowi. W sferze zawodowej czy też innej.

- Moim zdaniem to Harvey zazdrości bratu, bo Jonathan jest profesorem literatury angielskiej. Wykłada na uczelni. St. Mary's w Wirginii. Ale większość czasu spędza tutaj, w Muzeum Brytyjskim, na czytaniu starych manuskryptów.

Wiggins zatrzymał samochód przy krawężniku przed hotelem, po czym wysunął głowę przez okno i krzykiem przepędził z drogi srebrnego mercedesa. Nie wysiedli jednak od razu, tylko rozmawiali dalej.

- Jak na te morderstwa zareagował Jonathan Schoenberg?

- Tak jak mówiłem. - Wiggins wzruszył ramionami. - Raczej z zimną krwią. Nie wychylając nosa ze swojej wieży z kości słoniowej. Powiedział oczywiście, że jego zdaniem to wszystko jest szokujące. Ale szczerze mówiąc, musiałoby zajść znacznie więcej, żeby się zaczął martwić o brata. Czy też o kogokolwiek innego.

- Nie mogę się doczekać - powiedział Jury, gdy już wysiedli z samochodu - kiedy go poznam...

Moim zdaniem tu chodzi o zemstę - powiedział Jury, siedząc w salonie hotelowego apartamentu Melrose'a Place.

- A dlaczego nie o zysk? - zapytał Plant ze zmarszczonymi brwiami.

- Motyw zysku nie pasuje tu z psychologicznego punktu widzenia, bo wszystkie te zabójstwa... no nie wiem... mają zbyt wiele cech morderstw rytualnych.

- Ale przeciwko komu z wycieczki miałyby być wymierzona ta zemsta? Gdyby przyjąć, że przeciwko Farradayom, to sprawa byłaby jasna. Jednak wtedy śmierć Gwendolyn Bracegirdle całkiem tu nie pasuje. Nie uważasz? - zapytał Plant.

- Uważam. - Jury kiwnął głową. - Może ona w jakiś sposób weszła zabójcy w drogę? Może mu przeszkadzała?

- To nie jest teoria doskonała - skrzywił się Plant.

- Nic na tym świecie nie jest doskonałe. - Jury wzruszył ramionami.

- Zemsta. To mi przypomina taki dość głupi... a może nie taki głupi... komentarz Harveya na temat Hamleta. Tragedie zemsty są wszystkie jednakowe. Zanim ukatrupi się w nich właściwego człowieka, zabija się najpierw całą kupę innych ludzi. Trudno przypuszczać, że nasz morderca po prostu trenuje w ten sposób: likwiduje kolejne ofiary, zbierając się na odwagę, żeby w końcu, jak Hamlet, zabić swojego własnego Klaudiusza - powiedział Plant z ponurym uśmiechem. - A gdyby to wszystko było skierowane przeciwko Farradayom, niepokoiłbym się bardzo o Penny.

Słyszając te słowa, Jury poczuł, że przenika go zimny dreszcz.

- Pozwolisz? - zapytał i nalał sobie odrobinę brandy z karafki Melrose'a. - A ty sam? Chcesz trochę?

- Tak, brandy dobrze mi zrobi - odrzekł Melrose, patrząc na zegarek. - No cóż, nie jest to picie od samego rana, bo już jest po południu. Ale wiesz, zdaniem Agathy jestem na najlepszej drodze do popadnięcia w alkoholizm. Jedyną pozytywną stroną całej tej ponurej serii morderstw jest fakt, że moja ciotunia się przestraszyła i nie przyjechała do Londynu. Zdrowie - zakończył Melrose, podnosząc kieliszek.

- Gdzie jest Schoenberg? - zapytał Jury. - Czy widziałeś się z nim dziś rano?

- Tak, oczywiście. W Deptford... Ale zaraz, ty pewnie masz na myśli jego brata? - Jury kiwnął głową. - Naturalnie, widziałem go. W Muzeum Brytyjskim. Wyszli stamtąd razem.

- A co sądzisz o Jonathanie Schoenbergu?

- Jest zimny jak lód. I z całą pewnością swego brata nie traktuje poważnie.

- A Penny? Czy widziałeś i ją? - Plant pokręcił głową. - Nie chcę, żeby wychodziła z tego cholernego hotelu - powiedział Jury z taką pasją, że jego przyjaciel się zdziwił.

- Jeżeli nie chcesz, żeby oni wszyscy poruszali się po mieście, będziesz ich musiał umieścić w... no, jak to się nazywa... aha, w areszcie prewencyjnym.

- Penny powinienem zamknąć na klucz w szafie - powiedział Jury, po czym dopił brandy i wstał.

- Dokąd idziesz? - zapytał Melrose.

- Zobaczyc się z Jonathanem Schoenbergiem - odrzekł Jury i ruszył w stronę drzwi.

- Słuchaj, jest taka mała rzecz - powiedział Plant, a Jury się obejrzał.

- Jaka?

- No wiesz... Może to nic nie znaczy... Chodzi mi o ten cholerny wiersz. Napisał go Thomas Nashe.

- Wierz mi, przyjacielu - odrzekł Jury, zwracając - dla mnie w tej chwili to żadna nowina.

- Aha. No to w takim razie tyle - powiedział Melrose, również dopijając brandy. - Nie mogę tylko zrozumieć jednego: dlaczego Harvey Schoenberg stwierdził, że nie wie, kto jest jego autorem.

Cisza, która teraz zapadła, była wprost namacalna.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Jury po chwili milczenia.

- Ano to, że Jonathan rozpoznał ten wiersz natychmiast. Już po przeczytaniu pierwszej linijki. „Szczejnie piękność każdej rzeczy”.

- Schoenberg jest kierownikiem katedry anglistyki - powiedział Jury. - Na tym polega jego...

- To prawda - wpadł mu w słowo Melrose. - Chciałeś powiedzieć: „Na tym polega jego zawód”. Ale spójrz na to w inny sposób... A zresztą, sądząc po twojej minie, z pewnością już na to tak patrzysz... Otóż Jonathan Schoenberg z całą pewnością zna się na twórczości Szekspira. A także Marlowe'a. Jednak założę się, że Harveyowi nie dorasta do pięt jeżeli chodzi o znajomość faktów. Thomas Nashe był jednym z najlepszych przyjaciół Christo- phera Marlowe'a. Nie miałeś okazji usłyszeć, jak Harvey rzuca nazwiskami najróżniejszych przedstawicieli epoki elżbietańskiej. Opowiadał mi też o różnych naprawdę mało komu znanych zdarzeniach z życia Marlowe'a. Marlowe słynął z tego, że brał udział w różnych burdach i że się ciągle pojedynkował. Słynna była uliczna bójka na Hog Lane, która przerodziła się w pojedynek. Harvey wymienił nazwiska różnych ludzi w nią zamieszanych. Nie powiedział jednak, że

jednym z nich był Nashe. Thomas Nashe, który stanowił swoistą nić wplecioną w życie Marlowe'a i który napisał elegię na jego przedwczesną śmierć...

Plant przerwał, zapalił małe cygaro i spojrzał na Jury'ego.

- No więc, stary. On po prostu musiał znać autora tego wiersza, a udał, że go nie zna. Więc pytanie brzmi: dlaczego skłamał?

Panna Farraday? - Ładna recepcjonistka zdążyła się już tak przyzwyczaić do obecności policji, że rzadko jej ruchy paraliżowała nadmierna ciekawość. - Sądzę, że wyszła, panie nadinspektorze. Ale oczywiście zadzwonię do jej pokoju.

Kiedy spełniła tę obietnicę, okazało się, że nikt nie odbiera telefonu.

Na drugim brzegu Tamizy, w pubie „Pod Półksiężycem”, ruch był bardzo mały, a właściciel pubu nie mógł się już doczekać godziny zamknięcia. Jeżeli nie liczyć hałaśliwych chłopaków, raczących się trochę tańszym drinkiem przy barze, od południa nie zawitał tu żaden klient.

Właściciel, znudzony dzisiejszą niemrawą atmosferą, wypił drinka, po czym skierował się do męskiej toalety. Idąc korytarzem, rzucił okiem na puste pomieszczenie znajdujące się na lewo od niej. Dlaczego ta moja stara nie zgasiła tu światła?, pomyślał i odruchowo sięgnął do kontaktu. Nie zdążył jednak go przekręcić, bo w tej samej chwili oczy dosłownie wyszły mu z orbit.

A on sam, całym ciężarem swego potężnego ciała, padł zemdłony.

Jury otworzył drzwiczki policyjnego samochodu, zanim siedzący za kierownicą Wiggins zdążył auto zatrzymać. Nadinspektor wysiadł szybko, stawiając stopę na krawężniku, przy którym parkowały już samochody innych funkcjonariuszy. Kilku umundurowanych policjantów opasało miejsce zbrodni kordonem, nie dopuszczając bliżej tłumu, który zawsze gromadził się przy okazji różnych pełnych pompy ceremonii, wypadków czy takich jak to morderstw.

-Tędy, panie nadinspektorze - powiedział jeden z nich, sierżant, który, jak sam twierdził, wezwał telefonicznie Scotland Yard.

Policjanci ochraniający to miejsce stwarzali większe zagrożenie dla ruchu kołowego niż zgromadzony tłum ciekawskich. Jury został przedstawiony funkcjonariuszowi wydziału dochodzeniowo-śledczego, komisarzowi Hatchowi, który następnie poprowadził go słabo oświetlonym korytarzem do pomieszczenia po lewej stronie.

Jury był do tego stopnia pewny, co zastanie na miejscu zbrodni, że podczas jazdy przez Southwark Bridge starał się przygotować psychicznie na widok okaleczonego ciała Penny. A znalazłszy się już na miejscu, z początku nie był w stanie przyjąć do wiadomości faktu, że ofiarą jest zupełnie kto inny

Tkwące na krześle ciało - nieruchoma postać ze zwisającymi ramionami i głową wskutek brutalnych ciosów w twarz odrzuconą do tyłu - było ciałem Harveya Schoenberga. Widok papkowatej masy, która niegdyś była oczami denata, spowodował, że Jury pomyślał, że Harvey, kierując się jakąś godną Edypa

furią, skierował miecz przeciwko sobie. A tym, co wydało mu się najsmutniejsze w widoku tej marionetki w przesiąkniętym krwią ubraniu, była krew spływająca po ślepych w tej chwili komputerowym monitorze.

- Witam, panie nadinspektorze - powiedział lekarz policyjny, zamykając torbę. - Jak pan widzi, nie było zbyt trudno stwierdzić, jaka jest przyczyna zgonu. Gardło częściowo podcięte, a ta druga rzecz... ciekawe, tak jakby dla upewnienia się... przeszła na wylot przez mózg. Interesujące jest, jak morderca wszedł w posiadanie tej broni. - Lekarz wyciągnął ku Jury'emu dłoń, na której, na chusteczce do nosa, spoczywał sztylet. - Wygląda na średniowieczny, prawda?

- Pochodzi z epoki elżbietańskiej - sprostował Jury.

- Muszę powiedzieć, że wy tam w Yardzie naprawdę znacie się na broni - skomentował zaskoczony i z lekka ubawiony lekarz, zawijając sztylet w chusteczkę. - Denat nie żyje od niecałych dwóch godzin. Nie ma śladu stężenia pośmiertnego. - Lekarz zaczął zakładać płaszcz przeciwdeszczowy. - Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

Zrobiłem, co w mojej mocy i straciłem drugi akt świetnej sztuki Webstera". Biała diablica.

Żółte światło przysłoniętej metalowym kloszem wiszącej u sufitu żarówki powodowało, że na stół padały ponure cienie.

- Te tragedie zemsty są wszystkie jednakowe - oznajmił Jury.

- Tego bym nie powiedział - odrzekł lekarz, zaskoczony.

- To on tak twierdził.

Jury wskazał denata, a lekarz odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na zwłoki.

- Więc pan go znał? - zapytał. - No cóż, sądzę, że to ułatwi panu zadanie.

- Z całą pewnością - zgodził się bez uśmiechu Jury.

Zdaniem komisarza Hacha nikt nie zauważył, jak denat wchodził.

- Musiał wejść od strony małej uliczki i ogrodu. Właściciel pamięta, że widział go tutaj wczoraj z jakimś mężczyzną. Mówi, że pytał o starą tawernę noszącą nazwę „Pod Różą”. Twierdząc, że prawdopodobnie mieściła się właśnie tutaj. On... - Hatch wskazał gestem krzesło, na którym do niedawna tkwiło ciało Harveya Schoenberga - ...musiał tu wejść zaraz po otwarciu o jedenastej. Tak wynika ze słów lekarza. Musimy znaleźć tego drugiego, tego, z którym denat był tu wczoraj.

\* John Webster (1580-1634), angielski poeta i dramaturg, wybitny twórca okresu poszekspirowskiego, autor mrocznych tragedii intrygi i namiętności: Biała diablica (ok. 1612) i Księżna d'Amalfi (ok. 1614), które w Anglii przyniosły mu sławę nie mniejszą niż sława Szekspira (przyp. tłum.).

- Ja wiem, kim był ten drugi - oznajmił Jury, a Hatch spojrzał na niego jak na obdarzonego jakimś

dodatkowym zmysłem.

- Aha. No to jeszcze rzecz ostatnia - powiedział, podając Jury'emu jakąś kartkę. - To.

A Jury, bez patrzenia, wiedział natychmiast, o co chodzi.

Chory jestem, umrzeć muszę.

Panie, zmiłuj się nad nami.

- Wygląda to na jakiś sakramencki list samobójcy. Ale przecież to nie było samobójstwo. Co to może znaczyć? Przychodzi panu do głowy jakaś odpowiedź?

- To jest zakończenie wiersza - odrzekł Jury, mając nadzieję, że się nie myli.

Bo chciałam obejrzeć katedrę w Southwark - powiedziała Penny Farraday.

Wyglądało na to, że nie ma żadnych trudności ze stawianiem czoła bardzo zirytowanemu nadinspektorowi z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

Wcześniej, gdy Jury powiedział jej, co się stało z Har-veyem, poszła do swojego pokoju. Zatrzasnęła drzwi za sobą, pobyła tam przez parę minut, a potem wróciła z lekko zaczerwienioną twarzą, z której starannie starta ślady łez.

Mimo to nie wspomniała o Harveyu Schoenbergu ani słowem. Burzliwa dyskusja dotyczyła jej własnych wędrówek po Londynie.

- Cholera jasna, nie jesteśmy przecież więźniami! Nikt nas nie aresztował!

- Katedra w Southwark - powiedział Jury. - Od kiedy stałaś się taka religijna?

Penny siedziała zgarbiona na sofie obok Melrose'a Plan ta.

- Od chwili kiedy Harvey... No, wie pan, przykro mi, że on... No, w każdym razie, od kiedy opowiedział mi tę historię...

Chwyliła poduszkę, poboksowała ją, a potem wepchnęła sobie za plecy - tak, jakby cała jej złość była skierowana przeciwko meblom.

- Historię! Jeżeli chcesz usłyszeć jakąś historię, to ja ci ją opowiem! Zamknę cię w komisariacie i opowiem ci bardzo długą historię, która ci wyjaśni, dlaczego nie chcę, żebyś chodziła po Londynie sama. Bo wiedz, że w różnych zaułkach tego miasta aż roi się od facetów, którzy mają w zanadrzu mnóstwo fascynujących historii dla małych dziewczynek...

- Ja nie jestem małą dziewczynką...

- A zwłaszcza - przerwał jej podniesionym głosem - nie chcę, żebyś wychodziła z hotelu z kimkolwiek z tej waszej wycieczki! Jasne?

Milczała, spuszczać oczy.

- Czy to jest jasne, Penny? - powtórzył pytanie Jury.

- Pan nie jest moim tatą! - zaprotestowała, podnosząc gwałtownie głowę.

Jej twarz płonęła z gniewu, ale ton nie był do końca szczery.

Co to za historia? - zapytał Melrose dziewczynkę, kiedy Jury, z zamiarem udania się do Scotland Yardu, wyszedł już z pokoju.

- A, mniejsza z tym - odpowiedziała z rozdrażnieniem. - Zostały zamordowane już cztery osoby. A Jimmy? Co się z nim stało? - Wzięła poduszkę i osłoniła się nią niczym miękką tarczą. - Próbuję przekonać sama siebie, że to nic, że on po prostu uciekł. Ale pan dobrze wie, że chodzi o coś więcej.

Nie chcąc, żeby zastanawiała się nad tą okropną ewentualnością, ale także z ciekawości, Melrose zaczął nalegać, żeby mu zrelacjonowała historię, którą opowiedział jej Harvey.

- No więc, to jest historia takiej dziewczynki, Mary Overs. Jej tata nazywał się John Overs i przewoził ludzi promem z jednego brzegu Tamizy na drugi. A ponieważ był to jedyny prom pływający po rzece, John Overs bardzo się wzbogacił. Ale był okropnie skąpy, a na dodatek wredny. - Penny zaczęła obgryzać paznokcie kciuka, wciskając się w róg kanapy i zapadając się jakby w najgłębszą czeluść wredności. Gwałtownym ruchem zrzuciła mokasy. - No więc ten John był taki okropnie skąpy, że trzymał swoją córkę, tę Mary, w ukryciu. Dlatego że nie chciał, żeby ją zobaczył jakiś chłopiec. Bo widzi pan, Mary była taka piękna, że każdy chłopak, który na nią spojrzał, z punktu się w niej zakochiwał. Ot tak, po prostu. - Strzeliła palcami. - No a przecież każdy taki zakochany chciałby się zaraz z nią żenić. I ten stary, wydając ją za mąż, musiałby dać jej posag.

Penny spojrzała na Melrose'a z ukosa, tak jakby chciała sprawdzić, czy rozumie, ile w tych zwyczajach dotyczących posagów było okrucieństwa.

- A potem ten jej tata, ten John - opowiadała dalej - Postanowił przez jeden dzień udawać, że już umarł. A to w tym celu, żeby przez ten czas nie dawać jeść służbie i w ten sposób trochę zaoszczędzić. Taki był z niego skąpiec. Tymczasem służący na wieść o jego śmierci tak się ucieszyli, że wdarli się do spiżarni i zaczęli ucztować. Bawili się świetnie, jedząc i pijąc. Siedzieli przy tym naokoło jego ciała, bo myśleli, że to prawdziwe zwłoki. John, który chciał ich powstrzymać, wstał wtedy, owinięty całunem. A oni, uznawszy, że to jakaś diabelska sprawa, rzucili się na niego i przeszli go mieczem. - Penny wykonała ruch pchnięcia białą bronią. - John padł martwy, a Mary była teraz wolna. Na wieść o tym jej ukochany wsiadł na konia i pędził do niej galopem. Ale jego koń się potknął i chłopak skreślił kark. Co złamało serce biednej dziewczynie. Mary nie miała wyjścia - została zakonnica. A potem założyła ten klasztor, zwany klasztorem Świętej Marii Overies...

- Który później stał się katedrą w Southwark - dokończył Melrose.

- Skąd pan to wie? - zapytała, patrząc na niego, zaskoczona Penny.



- Jestem nauczycielem - wzruszył ramionami Melrose.

Gdy to usłyszała, jej zaskoczenie przerodziło się w coś w rodzaju obrzydzenia.

- Nauczycielem? Jak to? Księciem i nauczycielem? Jak to możliwe?

- Nie jestem księciem - zaprzeczył z roztargnieniem Melrose, analizując w myśli szczegóły relacji Jury'ego na temat morderstwa Harveya Schoenberga i dochodząc do wniosku, że wszystko to jest tak dziwne, że zakrawa na absurd.

- Nie jest pan księciem? - oburzyła się Penny. - Ale on przecież mówił... - zaczęła, wskazując drzwi, przez które wyszedł ten kłamca Jury.

- Przykro mi - odrzekł Melrose. - Zrezygnowałem z tytułu w oparciu o ustawę uchwaloną przez parlament w roku 1963, którą można by nazwać prawem dotyczącym zubożałych książąt.

Penny zamurowało na chwilę, a on patrzył na nią z uśmiechem.

- Dlaczego? - padło w końcu z jej ust.

- Dlatego.

- Mówi pan „dlatego”? To nie jest żadna odpowiedź! Człowiek przecież nie rezygnuje tak po prostu z...

Melrose jednak nie podjął wątku, bo myślał teraz

O swojej rozmowie z Harveym.

- Kiedy chirurgami byli balwierze... - powiedział w zamyśleniu - Southwark...

Penny jednak nie ustępowała.

- Czy to znaczy - pytała dalej - że pana żona nie może być...

- Księżną - dokończył, a na jej twarzy odmalował się wyraz oburzenia.

- Chce mi pan powiedzieć, że... Boże... zrezygnował pan także za swoją żonę z tytułu księżnej?! - Penny kopnęła czubkiem stopy swój mokasyn i uderzyła pięścią w jedwabną poduszkę. - Co za egoizm!

Melrose wziął laskę, przygotowując się do wyjścia

1 zrobił taki ruch, jakby laska była bronią palną, a on z niej celował.

- No cóż - powiedział - ponieważ nie mam żony, nie czyni to żadnej różnicy. Nieprawdaż?

Penny zagryzła wargę i milczała przez chwilę.

- A ja mogę panu powiedzieć tyle - wypaliła wreszcie. - Gdyby ktoś, kogo bym kochała, miał umrzeć,

to na pewno nie zwariowałabym z jego powodu na tyle, żeby zostać zakonnica.

Siedzieli jeszcze razem przez kilka chwil w na wpół przyjaznym milczeniu, rozmyślając o śmierci Harveya Schoenberga, o parach Anglii oraz o możliwych reperkusjach ostatnich wydarzeń dla stanu rzeczy w Wirginii Zachodniej.

31

Jonathana Schoenberga, który był pod względem fizycznym bardzo podobny do brata, odróżniały od niego nie tyle brązowe oczy, niezbyt wypielęgnowane wąsy i znużenie manifestujące się w pochylonej sylwetce, ile lodo- watość zachowania. Starszemu bratu Harveya zupełnie brakowało jego żywiołowości. Był w porównaniu z nim jak szampan, z którego uszły bąbelki.

Zastali go w Muzeum Brytyjskim, gdzie siedział przygarbiony tak, jakby na jego barkach ciążył kurz pokrywający otaczające go zabytki starożytności.

- Nie żyje. - Głuchy dźwięk tych słów wypowiedzianych przez Jonathana Schoenberga mogło wywołać sąsiedztwo sarkofagów i egipskich rzeźb. Wyglądało też na to, że starszy brat zamordowanego nie ma pojęcia, jak zareagować. Zgarbił się jeszcze bardziej, jednak ani jego oczy, ani głos nie zdradzały żadnej określonej emocji. - Nie mogę w to uwierzyć. Widziałem się z nim przecież nie dawniej jak dziś rano...

Urwał, kręcąc głową.

- Wyszli panowie razem z hotelu?

Jonathan Schoenberg kiwnął głową.

- Wybierał się do Southwark - powiedział. - Chociaż nie. Do Deptford. On miał tę swoją obsesję na punkcie Christophera Marlowe'a.

- Rzeczywiście - powiedział Jury. - Wiemy o tym. Proszę posłuchać - dodał zaraz. - Może moglibyśmy porozmawiać w muzealnej kawiarni? - zaproponował, bo chłód panujący w sali zaczął mu się tak dawać we znaki, że prawie widział mgiełkę własnego oddechu.

Schoenberg usiadł nad filiżanką kawy i rozluźnił krawat z jedwabnej dzianiny. Krawat ten, podobnie jak jego garnitur, wyglądał na drogi, choć Jonathan ostentacyjnie nie obnosił się z tym. Wyglądało to tak, jakby ciężar gatunkowy jego wybitnej umysłowości przytłaczał ciało i tłamsił ubiór. W porównaniu z nim ten biedak Harvey wyglądał na człowieka, który bardzo dba o swój wygląd.

- Jest pan uczonym - zwrócił się do niego Jury. - Więc proszę mi powiedzieć, czy w badaniach pańskiego brata było coś, co mogło kogoś zainteresować?

- Zainteresować? - roześmiał się Jonathan Schoenberg. - Boże drogi, panie nadinspektorze, ta jego teoria była całkiem nedorzeczna. Co pan usiłuje zasugerować? Że ktoś go z powodu tej teorii zabił?

Jonathan Schoenberg przyjrzał się swoim splecionym na kolanach dłoniom. Mówił o pomysle brata

tak lekceważąco, że nie czuł potrzeby, by dla wzmocnienia wagi swych słów spojrzeć na Jury'ego czy Wigginsa.

- Pański brat nie miał wrogów? - zapytał Jury.

- Jeżeli nawet miał, to z całą pewnością nie takich, którzy mogliby zrobić coś takiego. Ale trudno sobie wy-

obrazić, żeby Harvey naprawdę mógł kogoś urazić - dodał z bardzo nieznacznym, ale jednak uśmiechem.

- A między wami dwoma istniały jakieś nieprzyjazne uczucia?

Jonathan Schoenberg uderzony pytaniem omal się nie roześmiał.

- Z jakiego powodu miałbym żywić złe uczucia w stosunku do Harveya? - zapytał.

Jego opanowanie najwyraźniej zirytowało Wigginsa, sierżant bowiem przesunął w ustach cukierek od kaszlu i powiedział:

- No przecież my tego nie wiemy. I dlatego właśnie zadajemy to pytanie.

- No tak - zwrócił się Jonathan Schoenberg do Jury'ego, nie racząc zauważyć Wigginsa, podobnie jak z pewnością w stosunkach zawodowych nie zauważał młodych, mniej błyskotliwych kolegów. - Istniały między nami takie uczucia. Bo Harvey był chyba zazdrosny. W dzieciństwie to ja byłem tym zdolniejszym z braci. To mnie faworyzowali rodzice. I to ja dostałem większą część z tego, co kiedykolwiek było do wzięcia. A jemu mnóstwo energii pochłaniało udowadnianie własnej wartości. Jestem prawie pewien, że właśnie stąd brała się cała ta jego idée fixe na punkcie Marlowe'a i Szekspira.

Wszystko to Jonathan Schoenberg wygłosił bez specjalnego zainteresowania teorią Harveya czy jego osobą, tonem całkiem obojętnym i popatrując na bure ściany oraz bezbarwne elementy instalacji.

Być może, pomyślał Jury, to życie akademickie wpływa na człowieka w taki zobojętniający sposób.

- Czy często pan się widywał z bratem? - zapytał.

- Rzadko - odrzekł Jonathan, kręcąc głową.

- Ale przecież nie mieszkaliście aż tak daleko od siebie.

- To prawda - przyznał Jonathan.

- Jednak w Londynie się spotkaliście.

- No to co? - zapytał Jonathan Schoenberg, gwałtownym ruchem podnosząc głowę. - Ja tu przyjeżdżam przynajmniej raz do roku. Zwykle w lecie. - Rzucił na stół swój paszport, po czym kontynuował beznamiętnym tonem: - Zapewne chciał mi pokazać te wszystkie zgromadzone przez siebie dowody. - Uśmiechnął się lodowato. - Albo popisać się mną przed ludźmi. Jednak, biorąc pod uwagę to, co się tu działo, teorie Harveya na temat Marlowe'a i Szekspira musiały chyba zejść na drugi plan?

Mówię o tych kilku morderstwach, popełnionych na uczestnikach jego wycieczki - dokończył, spoglądając na Jury'ego tak, jakby był zdania, że mógłby lepiej spędzić czas, który zabiera mu ta rozmowa.

Jury, który miał właśnie poprosić go o paszport, doszedł do wniosku, że Schoenberg, uprzedzając go, zdobył punkt w swoich własnych oczach. Przekartkował dokument i przekonał się, że wizy były wbijane od pięciu lat, za każdym razem mniej więcej o tej samej porze roku. Wbrew temu, co Jury powiedział sierżantowi Lasce, paszport wyglądał na autentyczny. Zwrócił go Schoenbergowi.

- Sądzę, że Harvey opisał panu metody działania tego mordercy - zagadnął, wyjmując z kieszeni kartkę z wierszem, w którym jedna zwrotka była zakreślona, i podał ją Schoenbergowi.

- Sierżant Wiggins mówi, że rozpoznał pan ten wiersz.

- „Szczerze piękność każdej rzeczy” - przeczytał Schoenberg. - Oczywiście. To wiersz Nashe'a. Już sama ta linijka jest słynna.

- Thomas Nashe napisał go podczas zarazy - powiedział Jury, a Jonathan jeszcze raz uśmiechnął się z wyższością.

- Tak, wiem o tym.

Jury czekał, że powie coś jeszcze, ale on milczał.

Ten człowiek, pomyślał Jury, odbierając kartkę i chowając ją do kieszeni, jest najzimniejszą rybą, jaką w życiu złowiłem. Albo raczej jakiej nie udało mi się złowić.

Nie był bowiem w stanie faceta rozgryźć.

Biedny Harvey - powiedział Melrose Plant. - Zaczynałem naprawdę lubić tego głuptasa. - Z niejaką nostalgią opowiedział właśnie Jury'emu i Wigginsowi o swoich wspólnych z Harveyem wędrówkach po Deptford. Teraz natomiast odłożył dopiero co przeczytane, spięte zszywkami kartki. - A poza tym, czy to raczej nie zaprzecza teorii głoszącej, że celem mordercy były piękne kobiety?

- Dziękuję za przypomnienie - odrzekł Jury, trąc oczy i siadając wygodniej.

Znawali się w saloniku hotelowego apartamentu Planta i każdy z nich miał przed sobą wydruk z komputera Harveya Schoenberga, wydobyty, mimo oporu maszyny, przez jakiegoś specja z New Scotland Yardu. Okazało się, że podczas wycieczki Schoenberg utworzył ponad sześćdziesiąt stron materiału, którego miał pewnie jeszcze więcej u siebie.

- Przeczytałem to już trzy razy - powiedział Jury, odkładając swój wydruk - i cholera, nie znajduję niczego, co by mogło nas naprowadzić na trop.

- Nie wiedziałem o tym - odezwał się Wiggins.

- O czym nie wiedzieliście, sierżancie? - zapytał Jury.

- O tym, że te publiczne egzekucje były tak obrzydliwe. On opisuje uciechę, z jaką gapie patrzyli na drgawki człowieka dopiero co zgładzonego. I domagali się od kata, żeby wyciął mu serce. Naprawdę. - Wiggins sprawiał wrażenie chorego. - A kat zostawiał go półprzytomnego i potem rozcinał ciało, żeby wydobyć... Ale, panie nadinspektorze, jak to możliwe, żeby ktoś jeszcze żył po...

- Spróbujcie o tym nie myśleć, Wiggins - poradził ponuro Jury.

- Tak czy inaczej, panie sierżancie - włączył się Mel-rose, przeczytawszy do końca swój wydruk - świąt się od tamtej pory nieco ucywilizował. Teraz gapie zbiegają się tylko przy okazji wypadków drogowych albo gdy kogoś zabiera z ulicy karetka pogotowia.

- Nie nazwałbym tego, co przydarzyło się Schoenber- gowi i innym ofiarom, którymi zajmujemy się w tej sprawie, rzeczą „cywilizowaną” - powiedział cierpko Wiggins. Nie był bowiem człowiekiem, który, choćby i chory, mógł po prostu przejść do porządku nad taką uwagą. - A wracając do czasów Marlowe'a, to wtedy szalała jeszcze na dodatek zaraza. Boże drogi, możecie sobie wyobrazić coś bardziej okropnego? - zakończył, wzdrygając się.

Jury, który siedział, podpierając czoło dłonią i próbując bezskutecznie pozbyć się bólu w skroniach, teraz powoli uniósł głowę i powiedział:

- „Od zarazy wszystko ginie”. Przeczytaj tę zwrotkę, dobrze? - poprosił Melrose'a.

Plant włożył okulary i przeczytał:

Zdrowia, nawet gdyś bogaty,

Nie nabędziesz za dukaty;

Próżno ufać medycynie;

Od zarazy wszystko ginie,

Nikt nie oprze się Kostusze;

Chory jestem, umrzeć muszę '.

- Mówiłeś kiedyś - powiedział, patrząc na niego, Jury - że gdy rozmawiałeś z Harveyem, była mowa o jakiejś kobiecie...

- A, tak. „Ale to było w innym kraju. A poza tym dziewczyna nie żyje”.

Jury, podążając za biegiem własnych myśli, zwrócił się teraz do Wigginsa.

- Możliwe, że znajdziecie tu coś dla siebie, sierżancie.

Wiggins rozejrzał się po pokoju tak, jakby owo „coś” mogło być jakimś znajdującym się tutaj przedmiotem.

- To znaczy, panie nadinspektorze?

- Te publiczne egzekucje - odrzekł Jury. - To wypruwanie wnętrzości. No i fakt, że to, co się przydarzyło naszym ofiarom, wcale nie było czymś bardziej cywilizowanym - dodał i wstał, czując, że na powierzchnię wydobywa się ponownie tamta ulotna myśl, która nawiedziła go w gabinecie Racera. - Skupialiśmy się na tamtej zwrotce. To znaczy tej, którą zostawił morderca. A ignorowaliśmy treść całego wiersza - powiedział i ruszył ku drzwiom.

- Dokąd pan idzie, panie nadinspektorze?

\* Thomas Nashe, Litania w czasie zarazy, dz. cyt, s. 80 (przyP- tłum.).

- Zobaczyc się z Jamesem Farradayem. Byłem całkiem ślepy. Zapomniałem o kimś, kto jest naprawdę ważny.

- Chyba mam zaćmienie - zauważył Melrose, zdejmując okulary - ale nie rozumiem. To znaczy o kim?

- O ich matce - odrzekł Jury

Neli? - James Farraday zdziwił się. - A o co chodzi? - Siedząc w eleganckiej hotelowej jadalni, pił właśnie kolejną whiskey. - Nie rozumiem.

- Proszę mi po prostu powiedzieć, co pan o niej wie - odrzekł Jury.

- Ale przecież... ona nie żyje - powiedział Farraday, wtykając sobie do ust czarne cygaro, ale zapominając je zapalić.

- Wiem o tym - oznajmił Jury. - Penny twierdzi, że jej matka zmarła na „wyniszczającą chorobę”, nie bardzo mając ochotę powiedzieć, o jaką chorobę chodzi. Zresztą sędzę, że tego nie wie. Więc, proszę pana, co to była za choroba?

- Weneryczna - powiedział Farraday po dłuższym milczeniu i przerwał. - Syfilis. - Jego oczy błędziły między oknem a szklanką whiskey. - Jest to coś, czego człowiek raczej nie ma ochoty powiedzieć dzieciom, prawda?

- Prawda - zgodził się Jury.

- Neli była po prostu głupią wiejską dziewczyną. Wie pan, to trwało zbyt długo. Kiedy lekarz powiedział mi, co to jest, było już za późno. - Farraday zapalił w końcu cygaro. - Musiała pójść do szpitala. A właściwie do czegoś w rodzaju sanatorium. Ale nie można jej było pomóc. Lekarze już nic nie potrafili zrobić. Zapewnili jej tylko to, że trwała we względnym dobrostanie. Rozumie pan? Dobrostan jak cholera! Widział pan kiedyś kogoś chorego na syfilis?

- A co pan powiedział Penny i Jimmy'emu?

- Powiedziałem im tylko, że umarła. I to wszystko.

To wszystko. Jury'emu wydało się dziwne, że śmierć  
matki można potraktować z takim lekceważeniem.

- A jak ona się tym zaraziła?

- Sugeruje pan, że ode mnie? A więc nie, panie nadinspektorze, to nie ja przekazałem jej tę chorobę. Sądzę, że ona sypiała z kim popadnie. Proszę mnie posłuchać. Kiedy ją poznałem, Neli Altman była już niemal uliczną prostytutką, „w pracy” z tą parą dzieciaków... No i doczekałem się od nich wdzięczności...

Jego słowa nie wyglądały na uzalanie się nad sobą. To raczej gra na zwłokę, pomyślał Jury.

- Kiedy pan odkrył jej chorobę, musiał jej pan zadawać pytania...

- „Musiał pan”. No jasne, ma pan rację, oczywiście, że je zadawałem. Ale ona nie chciała odpowiadać. Nie znał pan Neli, panie nadinspektorze. To była naprawdę uparta kobieta.

- Jeżeli nic panu o sobie nie powiedziała, to skąd pan wiedział, że „sypiała z kim popadnie”? - Jury, z jakichś nieracjonalnych pobudek, zapragnął jej bronić. - Zarazić mógł ją równie dobrze mąż...

- Mąż? Nie sądzą, żeby ona kiedykolwiek miała męża.

- No dobrze. Więc jakkolwiek pan określi tego dżentelmena...

- Aha, tak! Dżentelmena! To był sukinsyn! I tyle! - wyrzucił z siebie Farraday, pochylając się nad stołem i ziejąc na Jury'ego whiskey. - Ten drań był chory i nic jej o tym nie powiedział.

- Może sam o tym nie wiedział.

- Oj, chyba raczej wiedział, proszę pana! Tylko po prostu nie chciał jej niepokoić taką informacją. Nie chciał związanego z nią kłopotu.

- Więc co, pańskim zdaniem, stało się z ojcem dzieci?

- Bóg raczy wiedzieć. - Starszy człowiek wzruszył ramionami. - Pewnie ją po prostu rzucił. Ona nigdy nic na ten temat nie mówiła. A gdzie złapała to śmierdzące choróbsko? Po prostu nie wiem. - Farraday przeciągnął dłońią po twarzy. - Ta biedna kretynka sypiała z kim popadnie, bo była taka głupia, że nie potrafiła odróżnić...

- Sypiała z kim popadnie, ale nie z panem - wpadł mu w słowo Jury. - To o to panu chodzi?

Farraday milczał przez chwilę.

- Ja bym się z nią ożenił - powiedział wreszcie. - To znaczy, zanim się dowiedziałem...

Nie dokończył. Zamilkł.

Stchórzyłeś, stary, pomyślał Jury, zirytowany tym, że sam, co bardzo nieprofesjonalne, odczuwa złość z tego powodu.

Jednak ta złość ulotniła się natychmiast, kiedy usłyszał kolejne słowa Farradaya.

- Ona mnie nie chciała - powiedział starszy człowiek ze smutkiem. - Niech pan mnie nie pyta o ojca dzieci czy męża, czy kim on tam był. Neli pochodziła z jakiejś zapadłej dziury w Wirginii Zachodniej. Wie pan, z jakiegoś Sand Flats czy czegoś takiego. Wiem o jej rodzinie tylko jedno: jej kochany ojczulek przyjeżdżał do niej i wyciskał z niej pieniądze... - Farraday podniósł szklankę, tak jakby chciał wznieść toast za ojca Neli Altman, w rzeczywistości jednak dając znak kelnerowi, który natychmiast zjawił się przy nim. - Czy nie macie tu jakiegoś bourbona z Kentucky?

- Nie, proszę pana, tego nie mamy. Ale mamy sour mash whiskey z Tennessee.

Farraday kiwnął na to głową, a kelner się wycofał.

- Neli miała miękkie serce. Tak bym o niej powiedział. Myliłem się, mówiąc przed chwilą, że była głupia. Nie, nie. Neli nie była głupia. Wcale nie. Była łatwowierna. To jest dobre słowo. Każdy potrafiłby wyłudzić od niej wszystko. Tak jak ten jej żalosny ojczulek...

- A jak on się nazywał?

Farraday, zdezorientowany, podniósł wzrok znad talerza, w którym grzebał widelcem.

- Jak on się nazywał?

- To znaczy, czy nazywał się Altman? - sprecyzował Jury. - Albo inaczej: czy Neli Altman postugiwała się nazwiskiem panieńskim?

- Tak - odrzekł po zastanowieniu Farraday. - Chyba tak. Musi pan zrozumieć, Neli nigdy nie mówiła zbyt wiele o sobie...

- Proszę kontynuować...

- Penny jest do niej podobna. Wygląda tak jak ona i tak jak ona się zachowuje. Próbuje oczywiście sprawiać wrażenie twardej, ale w środku jest miękka jak wosk. No a Jimmy? Skąd on się wziął taki zdolny? Przecież nie zawdzięcza swojej inteligencji szkole. Próbowałem go posłać do szkoły prywatnej... I właściwie nie ja wpadłem na ten pomysł, tylko Amelia. - Farraday, chcąc, jak domyślił się Jury, powstrzymać się od łez, wytarł sobie twarz serwetką. A potem roześmiał się sztucznie. - Ale Jimmy jakoś nie polubił tej szkoły. Podobnie zresztą jak przedtem szkoły publicznej. Żartowaliśmy sobie nieraz we dwóch. Mówiliśmy, że takiej szkoły, w której on by zagrał miejsce, jeszcze nie stworzono. No ale

Amelia chciała, żeby wszystkie dzieci chodziły do szkół prywatnych. Co do Honey Belle, to... No cóż, ona uważała, że każda szkoła to więzienie. A Penny... Penny to co innego. Ta dziewczyna mówi jak jakiś prymitywny wieśniak... I moim zdaniem, chce w ten sposób okazać się wierna swoim korzeniom. Wie pan oczywiście, co mam na myśli.



- Wiem - odrzekł Jury, patrząc, jak Farraday wypija do dna całą whiskey, którą mu przyniósł kelner. - Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego Neli Altman nie chciała za pana wyjść?

Farraday milczał przez chwilę, wpatrując się w swoją szklanekę.

- Nie kochała mnie po prostu - odrzekł wreszcie. - Neli była kobietą, która nie wyszłaby za nikogo dla pieniędzy. - Odwrócił pospiesznie wzrok, nie chcąc, żeby wyraz jego twarzy zdradził, że myśli: „Nie tak jak niektóre inne”. A potem znowu spojrzął na Jury'ego. - Nie ma co udawać, że ja i Amelia byliśmy parą gruchających gołąbków. W naszym małżeństwie istniały problemy. Zanosilo się na rozwód, to pewne.

- Nie wiedziałem o tym - stwierdził Jury.

- Ona też o tym nie wiedziała - odrzekł cicho Farraday. - No a poza tym sądzę, że po tym, co zaszło, mówiąc to panu, głupio robię.

- Proszę pana - uśmiechnął się Jury - policja nigdy by się nie wyrobiła, gdyby każdy zamierzający się rozwieść mężczyzna postanawiał zamiast tego zamordować swoją żonę. A poza tym ten motyw nie tłumaczyłby śmierci pozostałych osób.

- Wie pan - powiedział Farraday - jakoś myśli mi się płaczą.

- Jednak nie na tyle, żeby pan nie mógł mówić dalej - odparł Jury. - Proszę kontynuować.

- Zatem niech pan posłucha. Proszę nie myśleć, że nie dałbym wszystkiego, co mam, żeby cofnąć czas i żeby Amelia, Honey Belle i ci inni nie zginęli z ręki mordercy. Być może sprawiam wrażenie człowieka zimnego. Jednak proszę mi wierzyć, oddałbym wszystko, a mam naprawdę wiele. Ale prawdę powiedziawszy... - Przerwał i prawie błagalnie spojrzął na Jury'ego. - To brzmi dość okropnie...

- Z prawdą tak zwykle bywa - zauważył Jury.

- No więc... Ja tak naprawdę to żałuję tylko Jim- my'ego. I Penny. Jej nic co prawda się nie stało... Jeszcze...

To ostatnie słowo zawisło w powietrzu - lodowate i ostre niczym sople lodu.

- Znajdziemy Jimmy'ego - obiecał Jury z udawanym przekonaniem, biorąc pod uwagę, że starszy człowiek już tyle przeszedł. - A co do Penny, to zabroniłem jej wychodzić z hotelu, chyba że będzie jej towarzyszył któryś z nas.

- Och, Penny - roześmiał się mimo wszystko Farraday. - Jej nikt niczego nie może zabronić.

- Ale mnie będzie posłuszna - zapewnił z uśmiechem Jury.

- Ale wy... - powiedział bardzo cicho James Farraday. - Wy, moim zdaniem, nie zbliżyliście się ani o krok do rozwiązania tej zagadki.

Zabrzmiało to nie jak oskarżenie, ale raczej jak ponura przepowiednia.

Jury jej nie skomentował.

- Czy powiedziałby pan, że Neli była piękna? - zadał zamiast tego pytanie.

Farraday milczał przez chwilę, sprawiając wrażenie, że bardzo dokładnie się nad tym zastanawia.

- Dla mnie była piękna - powiedział wreszcie i przerwał. - Tak, była. I prawdę mówiąc, uważam, że każdy by ją uznał za taką.

- A co do pańskiej poprzedniej uwagi - powiedział teraz Jury, wstając - to odpowiem tak: jesteśmy bliżej rozwiązania tej zagadki. W każdym razie znaleźliśmy motyw. „Neli” to forma zdrobnięcia. A czy jej prawdziwe imię brzmiało „Helen”?

- Tak. Słusznie. Miała na imię Helen - odrzekł Farraday, a w jego oczach pojawił się wyraz zdziwienia. - Helen.

James Carlton szedł lasem (prawdopodobnie zataczając koła), a potem długą aleją (dostrzegając o tej wczesnej porze tylko nieliczne samochody) - zdecydowany dotrzeć na drugi brzeg rzeki, którą widział przedtem ze swego okna w wieży. Do jego uszu dobiegał daleki szum ruchu ulicznego.

A on ze wszystkich swoich sił starał się być przez nikogo niezauważony. Na rękach niósł kota, osłabłego (jak sądził) z braku galaretki. W końcu po prawej stronie dostrzegł pas soczycie zielonej trawy. Pomyślał więc, że natrafił na pole golfowe.

Jednak idąc dalej, pokonawszy grzbiet wzgórza, zobaczył nagrobki. Były ich tu całe rzędy, ciągnące się jeden za drugim. I zdumiał się, że na świecie jest tylu zmarłych.

W dole, gdzieś daleko, znajdowała się mała grupka ludzi.

Do jego uszu dobiegł dźwięk trąbki. Ktoś grał sygnał ku czci poległych. I James Carlton znowu się zdziwił, bo dotychczas myślał, że taka rzecz może się zdarzyć tylko w filmie.

Trzymając kota pod pachą, stanął na baczność i zaszalutował. Dźwięk trąbki, powolny i żałobny, niósł się w powietrzu. A chłopca, niby cios bagnetem prosto w serce, uderzyła myśl, że jego tata nie żyje.

Tak, tak. Jego tata nie był żadnym baseballistą ani nikim takim. Jego tata zginął śmiercią bohatera. Może ta dziwna wizja, pomyślał James Carlton, wizja Sissy biegnącej wśród trupów, pośród krwi i strzałów, była dawnym, wypływającym na powierzchnię z jakiegoś ciemnego miejsca w moim umyśle wspomnieniem...

Szary kot wydał pomruk niezadowolenia.

James Carlton odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę rzeki.

Musiał to po prostu przyjąć do wiadomości: jego tata nie żył. A człowiekiem, który miał prawo zająć jego miejsce, był jedynie J.C. Farraday. No cóż, starszuka można zaakceptować, pomyślał James Carlton. Ale przysięgam, że prędzej wskoczę w otchłań pełną płomieni, niż zaakceptuję tę okropną Amelię Blue.

Tak czy inaczej, prawdziwa mama chłopca była w Hollywood. Choć nie miał co do tego stuprocentowej pewności. Sądził jednak, że być może tam jest i być może nawet wciąż pamięta, że on, jej synek, zaginął.

W chwili gdy James Carlton dotarł do mostu na rzece, było już całkiem widno. Przekroczywszy most, chłopiec skręcił w pierwszą napotkaną ulicę, wciąż niosąc na rękach kota, którego nie chciał postawić na ziemi w obawie, że zwierzak wpadnie pod samochód.

Idąc dalej, spotkał siwowłosego mężczyznę w dżinsach i z kolczykiem w jednym uchu i zapytał go, gdzie znajduje się najbliższy komisariat policji. Mężczyzna, chwiejąc się trochę na nogach - jakby w takt grającej mu w głowie muzyki - stwierdził, że nie ma pojęcia, czy w okolicy w ogóle jest coś takiego. Stali bowiem na jakiejś handlowej ulicy, pełnej eleganckich sklepów i delikatesów, jeszcze pozamykanych i po części zabezpieczonych kratami.

Następną osobą, którą zagadnął James Carlton, była pochylona nad śmietnikiem staruszka, która nie zrozumiała pytania, a zamiast odpowiedzi poprosiła go o pieniądze.

W końcu udało mu się jednak otrzymać odpowiedź. Udzieliła mu jej pewna solidna, ubrana na biało matrona, z pewnością pielęgniarka, która zaraz zaczęła go wypytywać, dlaczego szuka komisariatu i czy ma jakieś kłopoty. Stała nad nim niby biała, zadająca mnóstwo pytań i życzliwa góra i przypominała mu bardzo jego dawną nianię. Odpowiedział jej, że nie dzieje się nic złego, że jego ojciec jest szefem policji, po czym, widząc jej zdumienie, brnął dalej, twierdząc, że kot wpadł pod samochód. Na co ten ostatni, jakby przyłączając się do spisku ze swoim dobroczyńcą, zamiauczał żałośnie.

Biało ubrana kobieta, której nieobce były wszelkiego rodzaju wypadki, choroby i inne ludzkie tragedie, wskazała chłopcu drogę, wyjaśniając, gdzie ma skręcić, i życzyła mu szczęścia. Po czym, na do widzenia, poklepała lekko kota i James Carlton mógł się już oddalić.

Kiedy wkroczył wreszcie do siedziby policji w Georgetown pod Waszyngtonem, w Dystrykcie Kolumbii, przystojny, dyżurujący za biurkiem czarnoskóry policjant podniósł głowę i obdarzył go serdecznym uśmiechem.

James Carlton od niepamiętnych czasów wiedział, że policjanci uwielbiają zabłąkane dzieci, a także zwierzęta. Dlatego bez żadnych oporów przedstawił czarnoskóremu stróżowi prawa swoją historię:

- Nazywam się James Carlton Farraday - powiedział - a moim tatą, to znaczy przybranym tatą, jest pan James C. Farraday. Tata znajduje się teraz w Stratfordzie nad Avonem. To znaczy w Anglii. A ja pięć dni temu zostałem porwany.

Przystojny policjant słuchał i uśmiech, który zniknął z jego twarzy, przemienił się najpierw w wyraz niedowierzania, a potem zdumienia. Robił jednak przez cały czas dokładne notatki. I w końcu działającym na nerwy pełnym emocji tonem oznajmił, że James Carlton jest bardzo dzielnym chłopcem i że spotkała go fascynująca, romantyczna przygoda.

- W tym nie ma nic romantycznego - zaproponował chłopiec. - A jeżeli pan mi nie wierzy, to niech pan

pojedzie do tamtego domu i sprawdzi, co zapisał na odwrocie obrazka wiszącego na ścianie pomieszczenia w wieży. Oświadczam panu, że przez pięć dni znajdowałem się w rękach porywaczy. Podobnie zresztą jak ten kot... - powiedział i na dowód podniósł w górę zwierzę. - Macie tu w tym więzieniu galaretkę? - zapytał w końcu, zdesperowany i bliski łez.

Jonathan Schoenberg otworzył Jury'emu, Wigginsowi i Melrose'owi Plantowi drzwi swojego apartamentu w hotelu Brown's, nie demonstrując specjalnych emocji ani z powodu kolejnej wizyty policji, ani też dlatego, że policjanci przyprowadzili dodatkową, działającą nieoficjalnie osobę.

- Jeszcze kilka pytań, proszę pana - zwrócił się do niego Jury, wciąż stojąc, choć pozostali trzej usiedli; Schoenberg tam gdzie przedtem, na kanapie, a Plant i Wiggins w wygodnych fotelach z uszakami.  
- Wszystkie te złe uczucia pomiędzy panem a pańskim bratem... - kontynuował Jury.

- Złe uczucia były ze strony Harveya, panie nadinspektorze - brzmiała odpowiedź.

- No tak. Ale... ja po prostu zastanawiałem się- czy moglibyśmy coś do tego dodać... Może jakieś kobiety?

- Kobiety? - zapytał nieco zaskoczony Jonathan.

- No tak. A właściwie jedną, ściśle określoną...

- A czy nie powinien pan zadawać raczej pytań bardziej istotnych dla sprawy zabójstwa Harveya? - zagadnął Schoenberg ze śmiechem.

- Sądzę - odrzekł Jury - że to moje pytanie jest pod tym względem jak najbardziej istotne. Pan nigdy nie był żonaty?

- A co to ma do rzeczy? - Jonathan Schoenberg wrzucił ramionami. - Nie, nie byłem. Bo po co wiązać się z jedną kobietą na całe życie? Przecież chcąc mieć kobietę, mężczyzna nie musi się zaraz żenić.

Jonathan Schoenberg zgarbił się na kanapie, po czym rozluźnił jeszcze bardziej i tak już luźny krawat. Wyglądało to tak, jakby jego węzeł za bardzo przypominał mu małżeńskie jarzmo.

- Nie spotkałem dotąd kobiety, która byłaby tego warta - dodał.

Jury, omijając go wzrokiem, popatrzył w ciemniejące okno. Zapadał zmierzch, zamazując zarysy stojących w pokoju mebli.

- A czy Harvey też był tego zdania? - podjął indagacje.

- Harvey? Ależ, panie nadinspektorze. Skąd ja to mogę wiedzieć?

- Zachodzi też poważniejsze pytanie - odrzekł Jury. - O morderstwa popełnione na pozostałych trzech osobach.

- Jeżeli popełnił je jeden i ten sam człowiek, panie nadinspektorze, to macie do czynienia z

niebezpiecznym dla otoczenia maniakiem - powiedział Schoenberg, zapalając kolejnego papierosa od niedopałka tego, którego palił dotychczas.

- Nie wiem. - Jury ruchem głowy wskazał Melrose'a. - Zna pan pana Planta. Ma on interesującą teorię...

- Wolałbym - powiedział Schoenberg - żeby Scotland Yard, zamiast siedzieć i teoretyzować, podjął raczej zdecydowane działania.

- Śmierć Christophera Marlowe'a... - zaczął Melrose.

- Harvey zaraził i pana tą tematyką? - wpadł mu ze śmiechem w słowo Schoenberg.

- W pewnym sensie tak - przyznał Melrose. - Proszę o chwilę cierpliwości.

- Niech pan mówi - zachęcił Schoenberg, machając ręką wielkopańskim gestem. - Choć co prawda mnie się zdaje, że słyszałem już wszystko o śmierci Marlowe'a. Tak, wszystko. Z najmniejszymi szczegółami.

- Biorąc pod uwagę motyw i możliwości - powiedział Plant z lekkim uśmiechem - pan wiedział wystarczająco dużo, żeby sprawić, by śmierć pańskiego brata była jak najbardziej podobna do śmierci Marlowe'a.

Schoenberg usiłował zareagować uśmiechem, ale wypadło to bardzo nieprzekonująco.

- Ależ nie było żadnego motywu - zaproponował. - A poza tym nie można mnie podejrzewać o zamordowanie innych osób, bo w czasie, gdy zostały popełnione tamte morderstwa, byłem w Stanach Zjednoczonych. Mam na to z tuzin świadków.

- Z pewnością - odparł Jury, powodując, że Schoenberg na niego spojrział.

- Wie pan - odezwał się Melrose Plant - ciekawa jest ta historia z Thomasem Nashe'em.

- Dla mnie nie - oznajmił Schoenberg. - Ale jestem pewien, że zaraz pan mi wyjaśni, co miał na myśli.

- 1 owszem. Wyjaśnię. Najpierw jednak przytoczę dość interesujący pogląd na sprawę jego śmierci, o którym pański brat, o dziwo, nie wspominał. - Melrose pokazał Schoenbergowi wydruk komputerowy. - Wszystko znajduje się tutaj, na tych kartkach.

- No, no. A co to takiego? Pewnie nazwisko zabójcy? - zapytał Schoenberg.

- Można by tak powiedzieć, proszę pana - stwierdził zachrypniętym głosem Wiggins, wyjmując z kieszeni jakiś papier.

- Z początku - mówił dalej Plant - twierdzono, że Marlowe zmarł w roku 1593 na chorobę zwaną morową zarazą, czyli na dżumę dymieniczą. Interesujący jest fakt, że przez następne piętnaście lat

opowieść o tym, że został zabity w jakiejś tawernie w Deptford, rozpowszechniali jedynie jego wrogowie. Jego przyjaciele natomiast nie brali tej wersji poważnie. W raporcie koronera znalazło się nazwisko niejakiego Christophera Morleya, a „Mor-ley” było nazwiskiem bardzo pospolitym. Poza tym istnienie różnych wariantów ortograficznych nazwisk w tamtych czasach bardzo utrudniało identyfikację dokumentów. Szekspir pisał swoje nazwisko na kilka różnych sposobów.

- Na litość boską - odezwał się zniecierpliwiony Schoenberg. - Ja przecież to wiem. Od wielu lat prowadzę wykłady na temat epoki elżbietańskiej.

- Marlowe czasami podpisywał się „Morley” - ciągnął Plant. - Ale tylko do pewnego czasu. Potem stosował formę „Marley” albo jakąś inną. Istniał jednak ktoś inny, noszący nazwisko „Christopher Marlowe”. Ten mianowicie, który był agentem kursującym pomiędzy Anglią i Niderlandami. A co do pozostałych uczestników zdarzeń, to: po pierwsze, Robert Poley, jeden z trzech zamieszanych w sprawę, w dzień śmierci Marlowe'a znajdował się podobno w Hadze. Co oznacza, że musiał przyjechać do Deptford potajemnie. Po drugie, istniało co najmniej dwóch ludzi noszących nazwisko Nicholas Skeres. I w końcu w raporcie koronera znalazło się nazwisko „Francis Frazier”. Nie „Ingram”...

- A co to wszystko, do diabła, ma wspólnego z Harveyem? - zapytał Schoenberg, okazując w końcu złość.

- Proszę mi pozwolić dokończyć - powiedział Melrose i zapalił cygaro. - Jest całkiem możliwe, że Christopher Marlowe dramaturg nie był tym człowiekiem, który zginął w tawernie w Deptford Strand, tylko zmarł z innego powodu.

- Ale przecież ciało zidentyfikowało szesnastu sędziów przysięgłych - powiedział Jonathan.

- Widzę, że bardzo dużo dowiedział się pan od brata - uśmiechnął się Melrose. - Jednak biorąc pod uwagę fakt, że ofiara została ugodzona nożem w twarz, identyfikacja w tym wypadku musiała być bardzo trudna.

- Dlaczego więc Marlowe się nie ujawnił i nie zaprzeczył temu wszystkiemu? - zapytał Schoenberg, wciągając się mimo woli w dyskusję.

- To proste - odrzekł Melrose. - Z powodu intrygi politycznej. Kazano mu po prostu siedzieć cicho...

- A potem powrócić z zaświatów?

- Jest możliwe, że Christopher Marlowe popełnił samobójstwo - stwierdził Melrose, paląc cygaro. - Miał po temu mnóstwo powodów. Więzienie Newgate. Śmierć Toma Watsona. Zdrada ze strony najlepszego przyjaciela, Walsinghama. Christopher Marlowe był wówczas najprawdopodobniej młodym człowiekiem pogrążonym w głębokiej rozpacz. Więc jego samobójstwo nie jest wcale rzeczą nieprawdopodobną.

- Cudownie! - zawołał Schoenberg, wyrzucając w górę ręce. - Rozwiązał pan zagadkę śmierci Christophera Marlowe'a! A czy byłby pan uprzejmy mi powiedzieć, jaki jest związek między tym

wszystkim a Har-veyem? Może sugeruje pan, że mój brat sam siebie zabił?

- Czy nie zorientował się pan, o co chodzi? - zapytał Melrose, unosząc brew. - No to powiem panu. Chodzi o błędną identyfikację ciała!

Po tych słowach zaległa długa cisza, którą w końcu przerwał Jury.

- Brak motywu - powiedział - jest w każdej tego rodzaju sprawie rzeczą najtrudniejszą. Dopóki nie doszliśmy, jaki był motyw, nie widzieliśmy związku między tymi wszystkimi morderstwami. Lecz w końcu okazało się, że łączy je osoba Neli Altman. Jednak moim zdaniem to nie Farraday ją zdradził. Tylko pański brat. Prawda?

Schoenberg milczał przez kilka minut, zdając się studiować wzór na dywanie. A kiedy w końcu się odezwał, mówił całkiem innym tonem.

- To przecież Farraday ją wyrzucił. Pozwolił jej umrzeć w tym przeklętym szpitalu...

- „Ale to było w innym kraju. A poza tym dziewczynka nie żyje” - zacytował ze smutkiem Melrose Plant.

- To było pierwszorzędnie zagrane, Harvey - odezwał się teraz Jury. - Powinien pan być aktorem. Jedynym problemem były oczy, prawda? Prawie ten sam wzrost, ten sam kolor włosów. Wystarczyło trochę się pochylić, dodać sobie wąsy, co przecież bardzo łatwe. No i w celu wykonania „zabiegu chirurgicznego” posłużyć się tą samą brzytwą co przy innych morderstwach. To ostatnie jest dość makabryczne, ale z pewnością nie zajęło więcej niż minutę. A zmienić własne szare oczy w brązowe też dało się z łatwością. Posługując się soczewkami. Jednak koloru oczu pańskiego brata nie udałoby się panu zmienić. Cały ten materiał dotyczący śmierci Marlowe'a był już zgromadzony, więc mógł pan podrzucić nam ten temat zastępczy. A także zasugerować, żebyśmy podejrzewali Jonathana, który, jak pan twierdził, znał tę historię „w najdrobniejszych szczegółach”. No cóż, musiał pan bardzo dokładnie obserwować brata, skoro tak doskonale naśladuje pan jego ruchy i jego głos. Robił pan nagrania?

Harvey Schoenberg milczał. Ponownie gwałtownym ruchem poluzował krawat. Wyglądało to tak, jakby ten go dusił.

- Nie lubi pan krawatów, prawda? - powiedział Melrose Plant. - Muszek też nie, zresztą bez przerwy pan przy nich coś poprawiał. Chcę jednak panu powiedzieć, że zaproszenie mnie na spotkanie z bratem to była hucpa co się zowie. No ale musiał pan tak zrobić. Po prostu po to, żeby ktoś znajomy zobaczył was razem. A teraz, Harvey, wróćmy do Thomasa Nashe'a. Muszę panu powiedzieć, że w tym miejscu się pan potknął. Bo lepiej było przyznać się, że zna pan ten wiersz. Thomas Nashe był przecież jednym z przyjaciół Marlowe'a i jednym z jego największych wielbicieli. Twierdził, że nie zna bardziej boskiej muzyki niż ta Christophera Marlowe'a, a także współpracował z Marlowe'em przy pisaniu dramatu Dido. To oczywiste, że każdy, kto zna życie Marlowe'a tak dobrze jak pan, musi to wszystko wiedzieć. I musi, po prostu musi, znać ten słynny wiersz.

Wiggins wyjął z kieszeni fotokopię jakiegoś dokumentu, po czym, odchrząknąwszy, przeczytał:

- „James Carlton Altman, urodzony w czerwcu 1974 roku w St. Mary's w stanie Wirginia. Jako nazwisko ojca podano: Jonathan Altman". - Patrzył teraz na Harveya Schoenberga wzrokiem tak chłodnym jak badacz oglądający pod mikroskopem jakiś nowy wirus. - Może nie chciała dać dziecku innego nazwiska - powiedział. - Bo to byłoby żenujące dla niej, a także oczywiście dla niego.

- Gdzie jest Jimmy Farraday, proszę pana? - zapytał nagle Jury.

- Altman - poprawił Harvey, podnosząc gwałtownym ruchem głowę. - Chciał pan powiedzieć „Altman”. Jimmy Altman...

Umilkł i ponownie wbił wzrok w dywan.

Milczenie trwało tak długo, że Melrose i Wiggins zdążyli spojrzeć na Jury'ego, zanim ten powiedział:

- Wiem, że Jimmy znajduje się na terenie Waszyngtonu. Lot concordem trwa zaledwie cztery godziny. Podróż w tę i z powrotem można by nim odbyć w ciągu jednego dnia i nikt by się o niej nie dowiedział. Jimmy bardzo często urywał się rodzinie i chodził samopas, a ruchów pozostałych uczestników wycieczki nikt nie kontrolował. Policja ze Stratfordu już rozesała zdjęcia pana i Jimmy'ego. Samolot wylatuje z Londynu przed południem, o jedenastej czterdzieści pięć, i ląduje w Dystrykcie Kolumbii przed południem o jedenastej". Dwie godziny później inny samolot typu concorde wylatuje z lotniska Dulle- sa z Waszyngtonie. Co najmniej dwóch członków załogi

\* Było to możliwe dzięki pięciogodzinnej różnicy czasu między Waszyngtonem a Londynem. Było, ponieważ concorde przestał latać w 2003 r. (przyp. red.).

przypomina sobie śpiącego chłopca, który podróżował z ojcem. Nawiązaliśmy już kontakt w policję w Waszyngtonie i z policją w Wirginii.

Jury mówił przez kilka minut, a głowa Harveya przez ten czas zdawała się opadać coraz niżej. Wyglądało to tak, jakby nieszczęsny komputerowiec przysnął. Teraz podparł głowę rękami, a głos Jury'ego, cichy od samego początku, stał się jeszcze cichszy.

- Niech pan posłucha, Harvey. Myślę, że moglibyśmy poskładać całą tę historię, choć brakowałoby w niej paru elementów. Zrobił pan to wszystko z powodu Neli Altman. Dlatego że Neli została oszukana, zdradzona i jak sądzę, uwiedziona przez Jonathana... a także przez Farradaya, jak pan zdaje się uważać - powiedział Jury i zamilkł na chwilę. - Pan ją kochał - zakończył.

- Oczywiście, że ją kochałem! - oświadczył Harvey zmienionym od płaczu, płynącym ze ściśniętego gardła głosem. Po czym podniósł głowę. - Jonathan zabrał mi ją. Tak zresztą jak wszystko inne. Znałem Helen... Penny była w tym czasie bardzo mała... I... chciałem się z Helen ożenić. Ale wtedy pojawił się ten drań Jonathan. On zawsze postępował z kobietami w ten sposób. Biedna, biedna...

Harvey przerwał i ukrył twarz w dłoniach.

Jury milczał uparcie, więc Wiggins przerwał w końcu ciszę.



- Ale skąd ta wendeta - zapytał - przeciwko Farra- dayowi?

- Stąd, do jasnej cholery, że on jej pozwolił umrzeć! 1 powiem wam więcej: uważałem, że sam także powinien stracić życie. Tamte dwie to były po prostu dziwki. - Machnął ręką. - Po tym, jak Helen zniknęła z niemowlęciem, wynająłem prywatnego detektywa. I to trwało całymi latami. - Przerwał na dłuższą chwilę. - No cóż, czekałem zbyt długo. Ona umarła.

- Ona - powiedział pospiesznie Melrose Plant - umarłaby tak czy inaczej, bo w którymś momencie zaraziła się syfilisem.

- Od Farradaya.

- Nie. Nie od niego - zaprzeczył, kręcąc głową, Jury. - A proszę nam wyjaśnić, co wspólnego z Jamesem Farra- dayem miała Gwendolyn Bracegirdle?

- Nic - odrzekł Harvey. - Ona tylko za dużo kłapała dziobem. I zauważyła podobieństwo. Twarzy. Wciąż gadała, że Jimmy jest bardzo podobny do mnie. Był oczywiście podobny do Jonathana, ale Gwen o tym nie wiedziała. Kiedy była w pobliżu, mój plan był niewykonalny. Dlatego zamknąłem jej usta na amen.

- A co pan zaplanował dla Penny Farraday? - zapytał Wiggins.

Harvey popatrzył na niego tak, jakby go nie poznawał.

- Co zaplanowałem? - zapytał. - Myśli pan, że mógłbym skrzywdzić Penny? Przecież Penny to córka Helen! - Opadł zgarbiony na kanapę, chwytając się za głowę. - Nic. Nic dla niej nie zaplanowałem. Jimmy... No cóż, Jimmy to całkiem co innego. My z Jimmy'm bardzo szybko się dogadujemy. Jimmy'ego mógłbym przekonać...

Przerwał i ponownie zapadła cisza.

- O czym? - zapytał w końcu Wiggins.

Ale uśmiech igrający na twarzy Harveya sugerował, że jego myśli błędzą gdzieś daleko.

- Oczywiście, musiałem dać mu coś na sen. Ze Stratfordu na Heathrow... pojechaliśmy wynajętym samochodem... a potem wsiedliśmy do samolotu. Rany, jak ten dzieciak spał! W samolocie co prawda obudził się na jakiś czas i oglądał film. - Harvey zachichotał. Sprawiał wrażenie człowieka, który zapomniał o całym świecie. I pamięta tylko Jimmy'ego Farradaya. - Chłopak miał bardzo bujną wyobraźnię. Był podobny do Helen... - powiedział Harvey, a potem ocknął się z tych snów na jawie. - Musiałem - dodał - dać mu następny zastrzyk... - Przeciągnął sobie dłonią po karku, marszcząc brwi, jakby chciał coś sobie przypomnieć. - On jest teraz w moim domu. W Wirginii. Po drugiej stronie Potomaku. Kupiłem ten dom po tym, jak wpadłem na cały ten pomysł. Stary, zbudowany z kamienia, stoi w lesie i ma jeden pokój na górze, w którym są zakratowane okna. Jest to coś w rodzaju zameczku. Chłopakowi to się przecież powinno podobać. Zatrudniłem do opieki nad domem pewnego człowieka z okolicy. To taki trochę przyglup. Ale jak mu się zapłaci, to zrobi wszystko, co trzeba. Kiedy przywiozłem

tam Jimmy'ego, powiedziałem temu człowiekowi, że chłopak jest trochę chory, zabroniłem go wypuszczać i kazałem dostarczać mu jedzenie. Powiedziałem też, że wrócę za kilka dni... - Oczy Harveya błędziły po twarzach trzech mężczyzn obecnych w pokoju, nie skupiły się jednak na żadnej. - Farraday...

Wypowiedział to nazwisko takim tonem, jakby stracił zainteresowanie rozmową.

- Sądzę, że pański zabity na samym końcu brat był dla pana takim hamletowskim Klaudiuszem - padły słowa Melrose'a Planta, na które Harvey Schoenberg nie zareagował.

Jury przypatrywał mu się chwilę, wreszcie rzekł:

- Zajmijcie się wszystkim, Wiggins.

Po czym wyszedł z pokoju.

James Carlton Farraday stał teraz na lotnisku Dullesa obok wysokiego czarnoskórego policjanta, sierżanta Poole'a, do którego zdecydowanie się przywiązał w chwili, gdy ten przyniósł trochę galaretki.

- Ja mu o tym mówiłem, ale on mi nie wierzy - powiedział sierżant Poole do stewardesy, po czym spojrzał na pojemnik dla kota spełniający wszelkie wymogi lotniczej podróży

Szary kot tymczasem mył się, równie jak James Carlton pewien własnego immunitetu.

Młoda kobieta w uniformie British Airways przyklęła (choć James Carlton wolałby, żeby dorosłe kobiety rozmawiały z nim normalnie, stojąc), uśmiechnęła się (choć James Carlton wolałby też, żeby nie robiły takiej lukrowanej miny) i powiedziała:

- Szkoda, kochanie, naprawdę szkoda, ale do Zjednoczonego Królestwa nie wolno wwozić zwierząt.

- Nie słyszałem w życiu czegoś bardziej kretyńskiego - westchnął chłopiec. - W Anglii jest przecież tyle kotów. Chce mi pani powiedzieć, że one wszystkie się tam urodziły?

Stewardesa roześmiała się sztucznie, posyłając zdesperowane spojrzenie sierżantowi. A on uśmiechnął się, pokręcił głową i wzruszył ramionami. Wydawało się, że dobrze wie, kiedy ma się czuć pokonany.

- To nie o to chodzi - persadowała stewardesa tonem, jaki stosuje się, przekonując o czymś dziecko. - Nie o to chodzi, że zwierzę tak naprawdę nie może...

Aha, zaraz znowu coś nakłamię, pomyślał James Carlton, przyglądając się twarzom osób, które prawdopodobnie zamierzały wejść na pokład tego co oni samolotu, i podejmując decyzję, obok której z nich nie zechce usiąść.

- ...chodzi o przepisy o kwarantannie. Bo widzisz, kota trzeba by było wziąć na kwarantannę na dziewięć miesięcy...

-Ale ten przepis jest przecież głupi! Kot nie ma wścieklizny, nie jest wcale chory. Trzymali mnie

razem z nim przez pięć, a może sześć dni. Więc chyba wiem, czy choruje. Ma pani pojęcie, co on przeszedł? - powiedział chłopiec, choć w rzeczywistości kot nie przeszedł znowu tak wiele, poza tym, że siłą ściągnięto go z drzewa.

- To nie ja ustalam przepisy... - odparła, wznosząc ramionami stewardesa, a w następnej chwili zrobiła coś zdaniem chłopca wręcz nie do pomyślenia: przypięła mu do swetra plakietkę i przyklepała ją dłonią.

Plakietka? James Carlton przekrzywił głowę, żeby ją zobaczyć. Widniało na niej jego nazwisko i cel podróży.

- O nie, do diabła! - zawołał tak wstrząśnięty, że zapomniał o dobrym wychowaniu. - Nie będę tego nosił!

Ja wiem, kim jestem i dokąd jadę! - zakończył i oderwał plakietkę, po czym oddał ją stewardesie.

Kobieta zbladła, nie wiedząc, co ma robić.

- Posłuchaj, James - powiedziała - my po prostu staramy się nie dopuścić do tego, żebyś... zaginął.

To ostatnie słowo z trudem przeszło jej przez gardło.

A sierżant Poole wybuchnął śmiechem.

Kiedy tego samego wieczora, o dziewiątej pięćdziesiąt pięć, Jimmy wylądował na Heathrow, trudno było powiedzieć, kto bardziej się z tego cieszy - James C. Farraday czy Penny.

Farraday usiłował się trzymać - z cygarem w ustach kuksnął chłopca w ramię. Ale cała ta udawana szorstkość bardzo szybko przeszła w serdeczne uściski. Natomiast radość Penny znalazła wyraz w potoku soczystego słownictwa, a także w tym, że dziewczynka ćmiła (dostarczone przez Jury'ego) papierosy. Kiedy już miało dojść z jej strony do wybuchu entuzjazmu i pochwał pod adresem Scotland Yardu, Jury popatrzył na nią znacząco.

Uciszyło ją to natychmiast, jednak Jimmy z łatwością zauważył tę sekretną wymianę spojrzeń.

- Miło mi - powiedział, wyciągając do Jury'ego rękę, wyrażając w ten sposób serdeczną wdzięczność wobec tego górującego nad nim dorosłego i pozbywając się równocześnie szybko innej osoby dorosłej, to znaczy idącej za nim w uniformie British Airways stewardesy.

- Mnie też jest miło - powiedział Jury, bo rzeczywiście po raz pierwszy od wielu dni było mu naprawdę miło.

Tymczasem James Carlton Farraday, który porzucił cały balast przeszłości, by zająć się teraźniejszością, skupił uwagę na siostrze i w sposób nieznoszący sprzeciwu zaczął ją pouczać:

- Uważaj na swój język, Penny. Mówiłem ci nieraz, ludzie zawsze oceniają człowieka po tym, jak mówi - brzmiała pierwsza jego uwaga. A następnie poinformował: - Mamy nowego kota. Został w

Stanach, bo nie pozwolili mi go tutaj przywieźć. I wiesz, w samolocie puszczały taki film... ale ja, no przysięgam, że już go kiedyś widziałem...

- Tak? - zapytała Penny, gdy ruszyli już z miejsca. - A jaki to był film?

- Miał tytuł Zaginiony - odrzekł Jimmy. - I był raczej kretyński...

Jury zauważył, że J.C. Farraday idzie, jakby powodowany uczuciem szacunku, w pewnej odległości za dziećmi.

- Z tym tylko, że grała w nim Sissy Spacek - dokończył Jimmy w chwili, gdy Penny wzięła go za rękę. A potem rozejrzał się szybko naokoło, tak jakby chciał się upewnić, że nikt się teraz nie wtrąci, i zapytał: - Pamiętasz?

- Pamiętam - odpowiedziała Penny, a Jury'emu lotnisko wydało się opustoszałe jak nigdy.

III

Stratford

Szczerze piękność każdej rzeczy.

Thomas Nashe, Litanie w czasie zarazy (przełożył Stanisław Barańczak)

Więc to ten komputerowiec - powtórzył zdumiony Sam Lasko, kręcąc głową. - Nie mogę się nadziwić. Wyglądał przecież na takie niewiniątko.

Siedzieli właśnie wraz z Jurym w centrum koordynacyjnym komisariatu w Stratfordzie.

- Niewiniątko, jakiego wolałbym nie spotkać na swojej drodze - odrzekł Jury. - Planował to od bardzo długiego czasu.

- No cóż, moim zdaniem, nie wyglądasz na zachwyconego.

- Bo nie jestem. A powinienem?

- Przecież rozwikłałeś tę zagadkę. Ja tymczasem myślałem, że te morderstwa popełniał ktoś tutejszy. Jakaś kanalia, która się nudzi...

- Wiesz, Sammy - uśmiechnął się Jury - gdyby założyć, że było tak, jak mówisz...

- No przecież wiesz, co mam na myśli - wzruszył ramionami Lasko. - Tak czy inaczej, zmartwiłem się, że już wyjeżdżasz - dodał z żalobną miną, tak jakby Jury był jego zbyt rzadko widywanym krewnym.

- Nigdy bym się nie spodziewał - zadrwił Jury.

-A powiedz mi, skąd Schoenberg wziął paszport konieczny do podróży z Jimmym?

- Ze Stanów. Jednym z zadań, jakie dał temu prywatnemu detektywowi, było zdobycie szkolnej fotografii Jimmy'ego. Takiej małej, jak oni tam zawsze robią, nadającej się doskonale do paszportu. A następnie postarał się o faksymile metryki urodzenia chłopca. Dostał je z łatwością, podając się za ojca Jimmy'ego. Był poza Jonathanem jedynym człowiekiem, który wiedział, jakie w tym dokumencie figurowało nazwisko.

-1 zawiózł dzieciaka aż do Stanów... - westchnął Lasko. - Byłeś kiedyś...?

- Nie, Sammy, nie byłem. Ale Penny Farraday prawie wymusiła na mnie przysięgę, że przyjadę do nich w odwiedziny.

- Naprawdę nie mogę wyjść ze zdumienia, że to był Schoenberg. - Lasko pokręcił głową. - Pomyśleć, że zadał sobie tyle trudu...

- Ten człowiek miał obsesję, Sammy. On od lat zadawał sobie ten trud. Prywatni detektywi i tak dalej.

- Chryste Panie. Facet musiał naprawdę mieć fioła na punkcie tej Altman.

- Rzeczywiście. Miał go. „Proch Helenę przykrył młodą”. - Jury schował do kieszeni papierosy i wstał. - Tak, jemu na jej punkcie naprawdę odbiło. Do zobaczenia, Sammy.

Znajdował się już prawie za drzwiami, kiedy Lasko (który przez cały czas spoglądał na leżące na biurku papiery) powiedział:

- Posłuchaj, Richard...

- Daj spokój, Sammy.

Za murami Królewskiego Teatru Szekspirowskiego toczyła spokojne wody rzeka Avon.

- Znowu Hamlet - powiedział Melrose Plant. - Na pewno cię nie namówię? Pierwsza część była całkiem dobra. Drugiej nie widziałem.

Nie chciał się zagłębiać w powody, dla których nie widział drugiej części. I to nie raz, tylko dwa razy.

- Dziękuję, nie - odpowiedział Jury. - Tragedii zemsty miałem ostatnio zdecydowanie dosyć. Więc na jakiś czas mi wystarczy. - Był wieczór, nadciągała burza, a refleksy światła na wodzie pogasły. Jury obserwował kaczki, które kołysały się na falach w cieniu wierzb. - Wracasz jutro do Northamptonshire? - zapytał Melrose'a.

- Tak, raczej tak - brzmiała odpowiedź. - Jest tam Agatha. A kiedy ona się tam znajduje, trzeba od czasu do czasu przeliczyć srebra. Szczęśliwie się jednak składa, że amerykańscy kuzyni wrócili już do Wisconsin. Sądzę, że po ostatnich wypadkach po prostu prysnęli do domu. I nic ich nie mogło zatrzymać. Nawet padające z ust Agathy obietnice podwieczorków we dworze. Bo że takowe padały, tego jestem

najzupełniej pewien. Tak więc nasi Amerykanie - Biggetowie, a także uczestnicy wycieczki Honeysuckle Tours - są już w domu. I całkiem bezpieczni. A wiesz - dodał Melrose - mam ochotę zobaczyć wyścigi w Hialeah i zabawić się setnie z lady Dew. No cóż - zakończył - jeżeli nie pójdziesz do teatru, to może spotkamy się później na drinku „Pod Kaczorem”?

- Mam do załatwienia pewną sprawę - odrzekł Jury.

- Aha. Rozumiem.

- Przeciwnie. Niczego nie rozumiesz - Jury uśmiechnął się.

- No wiesz. Widzę, że jesteś dziś bardzo rozmowny.

- W istocie - powiedział Jury, po czym, po chwili milczenia, zapytał: - Czy sądzisz, że ona naprawdę wyjdzie za tego gościa?

- Ona? Za gościa? - powtórzył niewinnie Melrose.

- Jest okropny, prawda? - powiedział Jury, błędząc wzrokiem po drugim brzegu rzeki. - Nigdy bym nie pomyślał, że Vivian spodoba się człowiek tego pokroju. Czy twoim zdaniem ona bardzo się zmieniła? - zapytał na koniec, patrząc na Melrose'a.

- Pytasz o Vivian? - próbował zyskać na czasie Plant, oglądając swoją złotą papierośnicę.

- Nie męcz mnie, Melrose. Oczywiście, że pytam o nią. Nie rozmawiałeś z nią o dawnych czasach?

Melrose wyjął papierosa i podsunął papierośnicę Jury'emu.

- O dawnych czasach? Boże drogi, nie. Zamieniliśmy tylko kilka słów.

Jury wziął papierosa i pokręcił głową.

- No cóż - podjął wątek Melrose. - W każdym razie jeszcze nie są małżeństwem. 1 o ile znam Vivian, nie będą.

Jeżeli chodzi o rzeczy ważne, nigdy nie potrafiła podjąć ostatecznej decyzji. - Było to dość mętne, lecz Melrose zawiesił dalszy osąd i spojrzął na zegarek. - Wiesz, lepiej już pójść. Bo znowu nie obejrzę drugiej części. A co do ciebie, to jeżeli jednak zmienisz zdanie, znajdziesz mnie po przedstawieniu „Pod Kaczorem”... - Melrose przerwał na chwilę, a potem dodał: - Sądzę, że możesz już zapomnieć o całej tej ponurej i zawikłanej sprawie. Jednak powiem ci jeszcze, że w pewnym momencie, podczas przesłuchiwania, nie byłeś taki całkiem twardy. Pod koniec raczej mu odpuściłeś.

- To prawda - przyznał Jury. - Pewnie dlatego, że nie za bardzo podobały mi się moje własne reakcje. To znaczy: stałem tam... i wiedziałem, co Schoenberg zrobił... Jednak z drugiej strony... - Jury zapatrzył się na coraz ciemniejszą wodę. - On ją przecież tak bardzo kochał.

Jury, idąc Ryland Street, dotarł do numeru dziesiątego i zapukał. Drzwi otworzyła mu jakaś kobieta -

drobna i o serdecznym spojrzeniu.

- Jestem znajomym lady Kennington - powiedział. - Czy milady jest w domu?

Drobna kobiecina była tak zaskoczona, że pomyślał, że pomylił domy. Jednak w następnej chwili jej twarz się rozjaśniła.

- Och, pan ma na myśli Jenny - domyśliła się, a kiedy kiwnął potakująco głową, dodała: - Przykro mi bardzo, ale widzi pan, Jenny wyjechała.

Z jej tonu wywnioskował, że ten wyjazd jest rzeczą zdecydowanie ostateczną. Na jego twarzy pojawił się najwyraźniej wyraz takiego rozczarowania, że kobieta poczuła się winna, niczym postaniec przynoszący celowo okropną nowinę.

- Naprawdę bardzo mi przykro - zapewniła. - To było zaledwie wczoraj. Tak, wyprowadziła się wczoraj.

Wczoraj, pomyślał Jury. No cóż, musiało tak być.

Milczał, a ona doszła najwyraźniej do wniosku, że jest mu winna dokładne wyjaśnienie.

- Dostała telefon. Chyba od kogoś z krewnych. I sędzę, że wyjechała wcześniej, niż się spodziewała. - Wyglądało to tak, jakby kobieta chciała bronić lady Kennington, ponieważ stojący w progu obcy mężczyzna, który ani nie odpowiadał, ani nie odchodził, mógł uznać jej wyjazd za jakiś dziwny kaprys. - Bo widzi pan, ja wprowadziłam się tutaj dopiero wczoraj. - Roześmiała się sztucznie: -1 jeszcze się właściwie nie zadomowiłam.

- Przepraszam, że zakłóciłem pani spokój.

- Och nie, wcale nie... - zatrzepotała dłonią.

A potem cofnęła się niepewnie w głąb domu i zaprosiła Jury'ego do środka, jakby w obawie, że nie okazując gościnności, nie tylko go zrani, ale jeszcze na dodatek obrazi.

Jury podziękował, lecz odmówił.

- Nie zostawiła pewnie dla nikogo wiadomości? - zapytał.

Kobieta pokręciła głową z głębokim smutkiem, który wręcz zdawał się ją zawstydząć.

- Nie, nie. U mnie niczego takiego nie zostawiła. Może pan oczywiście spróbować dowiedzieć się u agenta pośredniczącego w handlu nieruchomościami.

Jury podziękował jej jeszcze raz. I zaraz potem, kiedy zamknęła już drzwi, uświadomił sobie, że nie wziął od niej nazwiska i adresu tego agenta. Już, już podnosił rękę, żeby ponownie zapukać... Zaraz ją jednak opuścił. Jutro...

Oddalając się ulicą, zastanawiał się jeszcze, czy wróci tu jutro, czy też może w tej sprawie

zdecydował już za niego los.

Przeciął jezdnię między pubem „Pod Kaczorem” a teatrem i szedł dalej, całkiem bez celu, w stronę rzeki. Pod gałęziami dębów udekorowanych lampkami jak na Boże Narodzenie przesuwali się pospiesznie ostatni, prawie już spóźnieni widzowie, trzymający nad głowami błyszczące od padającego deszczu czarne parasole.

Jury usiadł nad rzeką, na tej samej ławce, na której - zdawałoby się całe wieki temu - siedział z Penny. Ręce wcisnął w kieszenie płaszczu i tkwił nieruchomo, nie zwracając uwagi na deszcz. A kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, podniósł się i ruszył w stronę teatru. Znudzony stróż parkingu stał oparty o swoją budkę, a przez oszklone drzwi teatralnego gmachu wyglądali równie znudzeni, czarno ubrani bileterzy. Jury skręcił w ciemną ścieżkę biegnącą na tyły, wzdłuż rzeki, w pobliżu centrum estampażu.

W pewnej chwili, z niewielkiej odległości, dobiegł go stłumiony śmiech, który, gdy się jeszcze zbliżył, przerodził się w chichoty. Jury wiedział, że ci, co się śmieją, nie mogą go widzieć w tych egipskich ciemnościach. To jacyś uczniacy, pomyślał, sądząc po chichotach i ogień- kach zapalonych papierosów. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, zobaczył chłopców siedzących na murku przed budynkiem i dorycką kolumnadą. Oni natomiast zauważyli go dopiero, kiedy znalazł się naprawdę blisko. A wtedy śmiech i głosy natychmiast umilkły.

Wyszli z teatru, pomyślał Jury, i zabawiają się tutaj, choć powinni być w środku, oglądać Szekspira i czegoś się uczyć.

Chichoty powtórzyły się i zaraz do jego uszu dobiegły także szepty. Zabłyły zapałki, bezczelnie zaczęły się żarzyć papierosy.

- Kto tam? - zapytał jeden z chłopców.

Jury, wpatrując się w ciemność, nie widział wyraźnie nic prócz malutkich ogieńków. Majaczyły mu jednak szkolne mundurki tych, którzy widząc go, poseskakiwali z murka. Kiedy kilku następnych, wiedzionych ciekawością, wyłoniło się z mroku, naliczył ich sześciu czy siedmiu. Pozostali wciąż kryli się w ciemnościach i wciąż nerwowo chichotali.

- No więc, kto tam? - powtórzył ten najodważniejszy tonem, który sam z pewnością uznał za dowód braku lęku przed władzą.

- Nikt - odrzekł Jury, po czym znowu wystrzeliły malutkie płomyki, bo chłopcy zapalali papierosy.

- Pan chyba nie jest nauczycielem? - odezwał się podejrzliwy głos.

- Ależ nie - zapewnił Jury.

Teraz nastąpiło milczące przetrwanie tej informacji.

- A co pan tu robi? - padło następne pytanie.

- Spaceruję. - Jury uśmiechnął się w ciemnościach. - A wy? Co wy robicie tutaj, w centrum



estampażu?

W odpowiedzi zabrzmiały dalsze chichoty, po czym odezwał się głos dziewczęcy:

- My? My zajmujemy się tutaj nie tylko odciskaniem tablic.

Kolejne chichoty dowodziły, że w mroku odchodzi niezdarne obłapianie się i obściskiwanie.

- Proszę nam powiedzieć, kim pan jest - odezwała się znowu dziewczynka, której Jury dawał ze dwa lata mniej niż Penny i która najwidoczniej chciała odróżnić się od głupkowatych kolegów, niepotrafiących, w przeciwieństwie do niej, poradzić sobie z sytuacją.

- Nikim - odrzekł. - Przecież już mówiłem.

Z jakiegoś powodu dziewczynka uznała, że powinna teraz zeskoczyć z murka. Zeskoczyła więc i zaczęła chodzić w kółko ciężkim krokiem, tratując przy tym czarną ziemię, w której ogrodnik, nakładem sporego trudu, coś z pewnością zasiał.

- Tak mówił Odyseusz - stwierdziła.

- Naprawdę? - zdziwił się Jury.

- No cóż, spodziewam się, że pan o nim słyszał? - powiedziała tonem wyższości, sugerującym, że choć lekceważy Szekspira, nie lekceważy bynajmniej Greków. - Wtedy kiedy się znalazł w jaskini cyklopów. I dzięki temu wydostał się z niej. Bo powiedział, że jest Nikim.

- A może miał na myśli, że naprawdę jest nikim. To znaczy może on sam tak sądził. Albo Homer.

Nagrodziła go za ten nieproszony komentarz ciężkim westchnieniem. Po czym, znowu deptając ziemię, z której wyrastały kiełki, wskoczyła z powrotem na murek. Siedziała tam, a jej twarz - w kształcie serca, biała jak u ducha i okolona długimi włosami - majaczyła w mroku.

Jury ruszył dalej nieoświetloną ścieżką, nie mając pojęcia, dokąd prowadzi, i zdając sobie sprawę, że ci młodzi chętnie się go pozbywają, bo jest przecież kolejnym dorosłym ingerującym w ich krótkotrwałą, kradzioną prywatność.

Gdy znalazł się o jakieś sto stóp od nich, usłyszał głos dziewczynki. „Do widzenia”, zawołała za nim tonem osoby dzielącej z nim jakiś wspólny sekret.

Nieco zaskoczony odwrócił się i salutując, odpowiedział: „Do widzenia”. W mroku zabłysnął koniusek żarzącego się papierosa, którym jedna z młodych osób zaciągnęła się właśnie po raz ostatni. I odrzuciła go

jednym ruchem. A papieros, nakreśliwszy w powietrzu mały łuk świetlny, zgasł nagle, szczeł, jak piękność każdej rzeczy.

Przekład: Anna Jarzębowska

Redaktor serii: Filip Modrzejewski Redakcja: Grzegorz Sowula Korekta: Katarzyna Pawłowska,  
Małgorzata Denys Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Przemysław Dębowski [www.octavo.pl](http://www.octavo.pl) na podstawie koncepcji  
graficznej Marka Goebela Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: T Kruesselmann / Photographer's  
Choice / Getty Images / Flash Press Media Fotografia autorki: © Peter Peitsch / peitschphoto.com

Wydawnictwo W.A.B. 02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5 tel./fax (22) 646 01 74,646 01 75,646 05  
10,646 05 11 wab@wab.com.pl [www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Graficzne, Piaseczno, Żółkiewskiego 7A Druk i oprawa: ABED1K  
S.A., Poznań

ISBN 978-83-7414-762-0

Przeczytaj dowolną powieść Marthy Grimes, a będziesz chciał poznać je wszystkie.

„Chicago Tribune”

Świat wykreowany przez autorkę emanuje poezją i lo ona zapiera dech w piersiach. Nie sposób się jej oprzeć.

Marta Mizuro, Onet.pl

Martha Grimes u szczytu swojej pisarskiej formy świetnie prowadzi wszystkie wątki, przeplata kryminał fragmentami humorystycznymi oraz miłosnymi.

[www.czytadelko.com.pl](http://www.czytadelko.com.pl)

Patronat medialny

\* Robert Greene (1558-1592), angielski poeta, dramaturg i pam-flecista; autor m.in. pamfletów literackich, z których jeden zawiera pierwszą wzmiankę o Szekspirze (przyp. tłum.).

1 Sonet 86, w: William Shakespeare, Sonety, przekład, wstęp i opracowanie Stanisław Barańczak,

Wydawnictwo A5, CiS, Poznań-Warszawa 1996, s. 113 (przyp. tłum.).

2 Sonet 79, w: William Shakespeare, Sonety, dz. cyt., s. 107 (przyp. tłum.).

3

Sonet 86, w: William Shakespeare, Sonety, dz. cyt., s. 113 (przyp. tłum.).

4 Sir Robert Cecil (1563-1612), polityk angielski; 1596-1608 sekretarz stanu, od 1608 lord wielki skarbnik. Rywalizował z lordem Essexem i sir Walterem Raleighem. W 1603 zapewnił Jakubowi VI szkockiemu objęcie tronu angielskiego (Jakub I), w 1604 r. doprowadził do zawarcia pokoju z Hiszpanią (przyp. tłum.).

»Znużenie życiem", (łac.), określenie użyte przez Geliusza (Aulusa Gelliusa) w jego Nocach attyckich (II w. n.e.); tu można by raczej mówić o „obrzydzeniu do życia" (przyp. red.).

6 George Plantagenet, książę Clarence (1449-1478), trzeci syn Richarda Plantageneta, brat królów Edwarda IV i Ryszarda II. Odegrał ważną rolę w wojnie dynastycznej zwanej wojną Dwóch Róż.=>

Pamiętany ze sztuki Szekspira Ryszard 111 jako ten, który się utopił w beczce wina zwanego małmazją (przyp. tłum.).

Christopher Marlowe, The Jew of Malta, akt II, scena 3, w przesadzie tłumaczki (przyp. tłum.).

7 Sonet 87, w: Shakespeare, Sonety, dz. cyt., s. 115 (przyp. tłum.)-

W wersji angielskiej jest tu dwuznaczność wynikająca z braku konieczności określenia rodzaju gramatycznego. Język polski wymaga użycia form rodzaju męskiego lub żeńskiego. Stąd każdy Przekład jest pod tym względem interpretacją. W przekładzie Stanisława Barańczaka użycie rodzaju męskiego wskazuje oczywiście na opowiedzenie się za taką, a nie inną (przyp. tłum.).